

# **SPRAWA SALZMANN**



MONIKA KASSNER

# SPRAWA SALZMANN

TRUP, KTÓREGO NIE BYŁO



Copyright © by Monika Kassner  
Copyright © by Silesia Progress, Kotórz Mały 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.



Zrealizowano w ramach stypendium  
Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury

Redakcja:  
Bartłómiej Wanot

Projekt okładki:  
Rafał Szyma

Fotografia na okładce:  
Pocztówka przedstawiająca restaurację U Mally'ego  
użyczona przez Muzeum Powstań Śląskich

Zdjęcie autorki:  
Ewa Zielińska

Skład:  
HAPAX Kamil Sobczak

SILESIA PROGRESS  
ul. Wodna 9  
46-045 Kotórz Mały  
tel.: +48 693 953 661  
<http://silesiaprogress.com>  
zamówienia: [os@silesiaprogress.com](mailto:os@silesiaprogress.com)

Wydanie I

ISBN: 978-83-65558-22-0

## Od autorki

Kartezjusz mawiał, że „czytanie dobrych książek jest niczym rozmowa z najwspanialszymi ludźmi minionych czasów”. Nie mnie oceniać, czy moja książka jest dobra. Państwo osądzą sami. Ale na pewno zabierze Państwa w minione czasy, ponieważ literatura to magiczny wehikuł, którym możemy podróżować w niezliczone wymiary czasu i przestrzeni. Możemy kochać, nienawidzić, cierpieć i zadawać ból bez obawy o zdrowie innych. Zaglądać w czyjeś życie albo samemu je przeżywać. Możemy być, kim chcemy.

Zapraszam w podróż na Górny Śląsk, na spacer po zadymionych ulicach Świętochłowic i Lipin lat trzydziestych. Zapraszam na zakupy do fabryki czekolady i pierników Antoniego Franka, do sklepu kolonialnego Henryka Bonka czy składu obuwia Cyryła Waleckiego. W międzyczasie mogą Państwo odwiedzić kawiarnię Izaaka Lewka, w Zdroju Tyskim Wiktora Wielocha spróbować czegoś mocniejszego, zjeść pyszny obiad w restauracji Stefana Piegsy lub U Mally'ego. Tajemniczy przypadek właściciela ostatniego z wymienionych lokali – niejakiego Georga Salzmanna – stał się kanwą mojej książki. Po drodze natkną się Państwo na trupa i zagadkę kryminalną, którą pomoże rozwiązać główny bohater – młody lipiński radca prawny – elegant, amator piwa i pięknych kobiet, jednym słowem człowiek taki jak my, ze swoimi zaletami i słabościami – Adolf Jendrysek.

Monika Kassner



## Rozdział I

Poranna kawa w niewielkiej, ale gustownie urządzonej jadalni nowego mieszkania smakowała wyśmienicie. Promienie słońca tańczyły po wypolerowanym na wysoki połysk blacie kredensu, a przez otwarte okno dochodziły głosy niedawno obudzonego miasta. Głosom tym nieustannie towarzyszyła nieznośna woń dymu z kominów pobliskiej Huty Silesia i Kopalni Matylda Zachód.

– Jerōnie, zaś tyn smrōd. A do tego ta sadza. Őbejrziej, Adolf, gardiny to musza prac̄ koźdego tydnia. – Narzekanie wycierającej okno Hajdelki wyrwało go ze skupienia nad poranną prasą. – Przeca ōni nōs kejsik wytrujōm.

– Ja, mōsz recht – odezwał się jakby od niechcienia. – Ino kejby pozawiyrali te huty i gruby, kaj by te wszystkie borōki robiły? Jak by utrzymały swoje familije? Ty bydź rada, co jō niy musza tam łazić i zdrowiō targać jak te moje braty. – I dodał ze zniecierpliwieniem: – I sie forszteluj. W koźdō niydziała dziynkują Pōnbōczkowi, co ōni bez tyn pierōński kryzys jeszcze niy potraciyli roboty. Tyla chopōw powyciepowali i terōzki łażōm na hołdy wōngel zbiyrać.

Zły, że przerwała mu interesującą lekturę, podniōsł leżącą na stole gazetę i zasłonił nią twarz. Nagle obezwładniło go to uczucie, które towarzyszyło mu nieprzerwanie od najmłodszych lat. Czasem mniej, czasem bardziej, ale zawsze. Poczucie winy. Bo przecież dzięki pracy starszych braci on – najmłodszy z Jendrysków – kaźdego ranka siada na wygodnym

krześle w jadalni swego wielkiego mieszkania w Lipinach przy ulicy Józefa Piłsudskiego. Najważniejszej drodze na Górnym Śląsku, łączącej Gliwice z Katowicami, zwanej jeszcze do niedawna Kronprizenstrasse. Kiedy oni już przynajmniej dwie godziny fedrujōm na dole, on pije kawę z najlepszej porcelany z Huty Franciszka i delektuje się świeżymi rogalami od Potyki. Hajdelka twierdzi, nie bez racji, że gdyby nie był zdolny i pracowity, na nic by się zdał wysiłek starszego rodzeństwa. Robiłby z nimi i niczego więcej by nie osiągnął. Dzięki własnej pracy wychowali sobie człowieka, na którego pomoc zawsze mogą liczyć. Nie każda górnośląska rodzina ma wśród swoich członków radcę prawnego, zwłaszcza tak obiecującego. Mimo to, odkąd ojciec zdecydował, że cała familia ma łożyć na edukację słabowitego, choć niezwykle błyskotliwego Adolfa, wdzięczność przyprowadzona niemałą szczyptą poczucia winy nie opuszcza go nigdy. Zdając sobie sprawę, jak wielki ciężar spoczął na wątych barkach najmłodszego z synów, ani matka, ani bracia przez te wszystkie lata nie wypomnieli mu decyzji ojca. On zaś uczył się dwa razy pilniej niż cała reszta, a będąc wyjątkowo zdolnym, szybko dał się zauważyć nauczycielom, którzy po rozmowie z matką zrobili wszystko, aby skończył najlepsze gimnazjum i rozpoczął studia prawnicze na uniwersytecie w Breslau.

Tego lipcowego ranka 1934 roku było jednak coś jeszcze, co mąciło wewnętrzny spokój młodego lipińskiego radcy prawnego. Pod gazetą, na pięknie haftowanym przez Hajdelkę obrusie, leżała kartka, która, choć nie powinna, niczym dręczący nozdrza smród z hutniczych i kopalnianych kominów nie dawała Adolfowi spokoju.

Przecież wszystkie kwestie dotyczące rzeczonyj kartki zostały już rozwiązane. Powinna była trafić do kosza razem ze stosem innych załatwionych spraw. Coś jednak nie pozwalało



Adolfowi się z nią rozstać. Gdy tylko jego wzrok padał na wytłuszczony od ciągłego dotykania skrawek papieru, oczy same wodziły po literach, odczytując po raz kolejny listę nazwisk zapisanych na niej równym, nienagannym pismem pracownika Banku Ludowego w Świętochłowicach.

Anton Kuczera  
Edeltrauda Becker  
Edgar Luszczik  
Erwin Kapuszcziok  
Ewald Krisch  
Hubert Operhalski  
Valeska Bittner  
Johann Bomba  
Józef Gabryel  
Ludwik Kaczmarczyk  
Matthias Kowolik  
Otto Drescher  
Rita Weczerek  
Simon Biela  
Simon Schwierk  
Theodor Białas

Wszyscy ci ludzie stracili mnóstwo pieniędzy, udzielając pożyczek niejakiemu Georgowi Salzmannowi – zmarłemu samobójczą śmiercią właścicielowi jednej z najlepszych w Świętochłowicach restauracji, zwanej od nazwiska pierwszego właściciela – U Mally’ego. Zresztą sam Robert Mally również okazał się postacią tragiczną. Gdy wybrano go na honorowego naczelnika Świętochłowic, mocno zaangażował się w działalność na rzecz gminy. Wtedy kupiono w centrum parcelę, na której stanął pierwszy ratusz. Działalność

polityczna i skłonność do hazardu, o której szeptano z ust do ust, wciągnęły Mally'ego w spiralę długów, których nie potrafił spłacić. Nie widząc dla siebie innego wyjścia, pewnego szarego listopadowego dnia roku 1900 odebrał sobie życie. Dlatego, gdy w piwnicy jednego z domów przy ulicy Farnej znaleziono ciało Salzmann, ludzie przypomnieli sobie przypadek Mally'ego i zaczęli opowiadać, że nad restauracją ciąży klątwa, a śmiałka, który zdecyduje się kupić ów lokal, niechybnie czeka ten sam los.

Adolf lubił tę elegancką restaurację. Aby oszczędzić Hajdelce niedzielnego gotowania, zabierał czasem całą rodzinę na najlepszą rybę po węgiersku w okolicy. Gdy składał zamówienie, na twarzach niektórych gości pojawiał się grymas dziwnego oburzenia.

– Fisz w niydziała? – dało się czasem słyszeć z głębi sali.

Hajdelka wstrzymywała oddech, a niczego nieświadome dzieci państwa Jendrysków – Werner i Helga – z wypiekami na policzkach zamawiały na deser ulubioną zupę czekoladową ze śnieżnymi kulkami. Adolf też świetnie się bawił, ostatnie słowa do kelnera wymawiał powoli, lekko podniesionym głosem:

– A do ryby po węgiersku... biały półśłodki Dornfelder.

Nie tylko obiady smakowały bywalcom Mally'ego. W piątkowe wieczory sala taneczna zapełniała się parami spragnionych bliskości zakochanych, a między piosenkami z kręgielni obok raz po raz dochodziły stłumione okrzyki triumfu po zбиciu wszystkich kręgli jednym pchnięciem.

Gdy po miesiącach poszukiwań policja znalazła zwłoki Salzmann i przeprowadziła szybkie śledztwo, którego wyniki ogłosiła w wychodzącej co tydzień „Gazecie Świętochłowi-ckiej”, lokal poszedł pod młotek. Rzekomej klątwie wiszącej nad restauracją rękawicę rzucił tarnowianin, niejaki Adam Preisner, który – szukając dla swojej rodziny urokliwego miejsca

do życia – przybył aż do Świętochłowic. Część ciężących na lokalu ogromnych długów została spłacona, jednak żadna z osób, których nazwiska zapisano na poźółkłej od ciąglego dotykania kartce, nie odzyskała w całości pożyczonych Salzmannowi pieniędzy. Winien był nie tylko sam Salzman, ale też wielki kryzys, który wydatnie obniżył wartość pieniędzy zainwestowanych w pechowy interes przed czarnym czwartkiem 1929 roku. Niektórzy odgrazali się, że pójdą do sądu. Przed złożeniem pozwu porzucali jednak tę myśl, bo jak tu pozywać nieboszczyka, który, jak na złość, nie posiadał żadnych krewnych. Zawstydzeni, w pośpiechu opuszczali gmach wymiaru sprawiedliwości rozgoryczeni bezsilnością i beznadziejnością swojego położenia.

Zerkając przez okno na zbliżający się od strony Chebzia tramwaj, Adolf obracał w rękach natrętną kartkę i zastanawiał się, dlaczego nie potrafi jej po prostu wyrzucić. Przecież czytał raport ze śledztwa i nic nie powinno go niepokoić, a jednak cały czas dręczyły go dziwne wątpliwości. Żeby uspokoić sumienie, postanowił jeszcze raz odwiedzić komisarza świętochłowickiej policji Romualda Bargieła. Może kilka dodatkowych pytań dla potwierdzenia wyników śledztwa pozwoli mu w końcu rozstać się z nieznośnym świstkiem i ostatecznie udobruchać rozżalonych wierzycieli.

Schował kartkę do kieszeni, zrobił łyk kawy, wskoczył w buty i jednym ruchem zgarnął z garderoby teczkę i marynarkę.

Po chwili jechał w stronę Chorzowa. O tej porze tramwaj był prawie pusty. Miejsca obok zajęły dwie starsze kobiety energicznie dyskutujące o zbyt wysokich cenach cukru i innych artykułów spożywczych, a w głębi drzemał barczysty jegomość. W Piaśnikach dwie panie i radca przesiedli się do wagonu linii numer 7, który jechał do Świętochłowic. Wewnątrz było już tłoczniej, a większość pasażerów zmierzała

na śródowny targ. W powietrzu unosił się zapach taniej wody kolońskiej zmieszany z wonią potu i najtańszych papierosów Junak. Na przystanku przy hali targowej tłum wysypał się z tramwaju niczym cukierki z papierowej torebki. Wszyscy zmiierzali prosto na targ. Każdy chciał kupić jak najwięcej i jak najtaniej. Tylko jeden pasażer wybrał inny kierunek, idąc prosto do komisariatu gminnej policji, mieszczącego się po drugiej stronie skrzyżowania w budynku dawnego ratusza projektu wziętych berlińskich architektów Emila i Georga Zillmannów.

– Szanowny radca prawny Jendrysek. Czym możemy służyć? – Okrągła twarz komisarza nie wyrażała zadowolenia z wizyty nieoczekiwanego gościa.

– Sprawa Salzmanna. Pewnie nie muszę panu więcej wyjaśniać. – Adolf usiadł wygodnie naprzeciw Bargieła, udając, że nie zauważył grymasu na twarzy policjanta.

– Ta sprawa, jak pan doskonale wie, jest już zamknięta. Czytał pan raport. Samobójstwo i tyle. Nie ma o czym mówić. Mamy ważniejsze sprawy na głowie. – Komisarz cedził przez zęby, mając nadzieję na szybkie pozbycie się intruza.

– Jako przedstawiciel wierzących Salzmanna muszę mieć absolutną pewność, że śledztwo zostało przeprowadzone rzetelnie i bez żadnych uchybień. Mam kilka pytań, które chciałbym panu zadać i które, mam nadzieję, ostatecznie rozwiążą moje wątpliwości. – Jendrysek starał się nie zwracać uwagi na poirytowanie policjanta.

– Zgoda. Pytaj pan, ale po raz ostatni. Więcej już do tej sprawy nie zamierzam wracać. – Bargieł, rozsiadłszy się wygodnie w skórzanym fotelu niewielkiego, ale schludnie umeblowanego biura, poczęstował gościa papierosem Silesia. Adolf zaciągnął się dymem i poczuł, jak napięte dotąd mięśnie rozluźniają się.

– A więc do rzeczy – przerwał milczenie. – Czy dawka Veronalu obecna we krwi denata na pewno była śmiertelna?

– Jestem pewien.

– Rozumiem, że to stuprocentowa pewność, ponieważ zatrucie Veronalem uznaliście za główną przyczynę śmierci Salzmanna. – Jendrysek zmierzył rozmówcę krytycznym spojrzeniem, ale ten ani drgnął.

– W istocie. Choć dawka środka nasennego, którą przyjął denat, nie musi być śmiertelna dla każdego. Wszystko zależy od indywidualnych predyspozycji organizmu i stopnia uzależnienia – ciągnął spokojnie komisarz. – Jemu, jak widać, wystarczyła.

– Ale czy macie stuprocentową pewność? – Adolf nie dawał za wygraną.

– Ależ pan uparty! – zachnął się komisarz. – Wiedźcie zatem, że w tego typu przypadkach stuprocentowej pewności nie ma nigdy. Trup był wyschnięty na wiór. Wyglądał jak egipska mumia. Doktor Wolnik miał twardy orzech do zgryzienia.

– A czy przypadkiem w ciele Salzmanna nie znaleziono żadnego innego środka, który mógłby spowodować śmierć?

– Ekspertyza, której wyniki zresztą znacie, nie wspomina o niczym innym. Czego pan w ogóle szuka? – Komisarz nie wytrzymał, wstał i energicznie podszedł do okna. – Wierzyście Salzmanna nie odzyskają już ani złotówki, nawet gdyby pan stawał na głowie. – Bargieł odwrócił się w stronę Jendryska, a szczęki chodziły mu ze zdenerwowania. – Towarzystwa ubezpieczeniowe nie wypłacają odszkodowań w przypadku samobójstwa.

– I właśnie dlatego chcę znać najdrobniejsze szczegóły śledztwa. Żegnam. – Adolf wstał z krzesła, zgasił papierosa i wyszedł.

Na schodach spotkał posterunkowego Alberta Melcera – wysokiego mężczyznę o nienaturalnie pociągłej twarzy. To on odebrał wiadomość o znalezieniu zwłok i jako pierwszy dotarł na miejsce zdarzenia.

– Moje uszanowanie. – Melcer odezwał się przyjaźnie. Obaj nieraz wyskakiwali na wspólne piwo, ale odkąd Adolf został radcą prawnym, posterunkowy nie miał śmiałości go zapraszać.

– Dobry dziyń.

– Byzuch u kōmisorza sie niy udol? – zapytał, widząc zdennerwowanie na twarzy Jendryska.

– Wyście znōdli Salzmanna? – Adolfa nagle olśniło.

– Niy jō, ino starō Aleksinō, co poszła po kartōfle do pywnice – odparł Melcer z uśmiechem. – Jō ino robiōt ôglyńdziny.

– I wszystko je w raporcie?

– Ja. – Melcer zawahał się i ściszył głos. – Można pōra rzeczy tam niy ma.

– Jakich?

– Niy chca tukej gōdać, bo ftoś usłyszcy, a jō niy potrzebuja problemōw. Mogymy sie kajś trefić po służbie?

– No dyć. Wele ôsmyj na biyrze u Lindnera. Jō stawiōm.

\*\*\*

Mimo parnego wieczoru piasnicka gospoda Lindnera była pełna. Każdy chciał odetchnąć, zamoczyć usta w chłodnym bursztynowym płynie i zapomnieć o trudach kończącego się dnia. Także w zadaszonym ogródku piwnym, otoczonym wysokimi drzewami, wszystkie miejsca były zajęte. Tylko dzięki życzliwości znajomego barmana – niejakiego Schulza – Adolf znalazł wolny stolik w ustronnym miejscu. Niezauważony mógł oglądać, co dzieje się wokół. W dni powszednie

lokal odwiedzali głównie mężczyźni. Rozmowy toczyły się na różne tematy: od problemów w pracy przez sport po hobby, jakim najczęściej była hodowla gołębi. Z zasłyszanych rozmów Adolf wywnioskował, że tego wieczoru większość klienteli stanowią gołymbiörze. Zamówił dwa żywce – dobre polskie piwo, z powodzeniem konkurujące z górnośląskimi i niemieckimi trunkami. I gdy zanurzył wąsy w gęstej pianie, nadszedł posterunkowy.

– Presa choby na szpilu Naprzodu. – Melcer przywitał się i usiadł naprzeciw Adolfa.

– Mösz recht. Juzech myśłoł, co sie tukej dzisiej niy siedny-my. Gödej, coś widzioł w pywnicy, bo mi cosik we tym raporcie niy sztimuje. – Adolf od razu przeszedł do rzeczy.

Posterunkowy przechylił kufel i jednym haustem opróżnił połowę jego zawartości.

– Nic żech niy widzioł. Zasuszōnego chopa w beżowym mantlu i sraczkowatym ancugu, co w jednyj kapsi mioł fiolka po Veronalu, a we drugij papiōry i tyła – odparł Melcer, wycierając wąsy wierzchem dłoni.

– To przeca wiyam. Gödej ô tym, czego we raporcie niy ma.

– Dwōch rzeczy.

– Jakich? – Adolf wyciągnął papierosy i poczęstował towarzysza.

– Niy bydź taki gibki. Dej mi pedzieć. – Melcer wypuścił dym nosem. – Kej znōdli ciało i yntlich udało im sie je zidentyfikować, kōmisorz chcioł gibko zawrzeć śledztwo, bo bezmaśc mioł go naciskać ftoś z wierchu. Bezto döchtör Wolnik mioł ino dwa dni na ôglyńdziny, a niy wszystko, co ôdkrył, mōg szrajbnōńć we raporcie.

– Co ty gödōsz. Pojakymu?

– Bargieł dostoł prikaz, co raport musi być jasny i – jak ôn to gödoł – spōjny.

- Nale padej, co ôdkrył Wolnik?
- Podug dôchtora w ciele Salzmanna bōł Veronal, ale niy ino. Niy wiym, co to jeszcze mogło być, bo kōmisorz żödneho niy chcioł do Wolnika dopuścić.
- Dôchtōr richtich musioł cosik ôdkryć, bo by Bargieł niy robiył tyła auflaufu – odparł Jendrysek, opierając podbródek na dłoni.
- Ô tym, że cosik niy sztimuje, dowiedzioł zech sie ôd asystynta dôchtora – Alojza Seemanna. Sōm byś musioł pogōdać z Wolnikym, ôn ci to wyekleruje. Mō cie w zōcy, jak żeś mu pōmōg znōjs tego gizda, co go ôbkrōd.
- Ja, byś wiedzioł. Miołech cufal, a bezto dôchtōr mō u mie pierōnowy dug wdziynczności. Ale kejby co inkszego bōło przyczynōm śmierci Salzmanna, toby wyłaziyło, co možno niy popełniył samobōjstwa, ino ftoś mu pōmōg.
- Ja, śledztwo by sie ciōngło jak smrōd po galōtach, a Bargieł niy lubi robić pod presōm, tym bardziej z dwōch zajtōw.
- Toć. A ta drugō sprawa?
- Umrzik bōł tak zasuszōny, co żōdyn niy umioł go poznać, nale wszyscy, co go dobrze znali, pedzieli, co to je ôn. Zresztōm papiōry, kere mioł we kapsi, potwierdzały jego tōżsamość. Ino jedna baba, co bezmaść bōła jego libstōm, pedziała kōmisorzowi, co Salzmann nigdy by sie niy ôblyk w beżowy mantel i taki rzadny sraczkowaty ancug. Bargieł pōmyśloł, co ôna mō richtich ptōka, i po swojymu gibko jōm ôdprawiył.
- A wiysz, jake było jeji miano? – zapytał Adolf.
- Jakoś na „p” abo „b”, nale terōzki sie niy spōmna. – Albert pokręcił głową.
- Szkoda. Bargieł možno mioł recht, nale richtich cosik tukej niy sztimuje. Musza sie jak nōjgibcij trefić ze Wolnikym – odparł Jendrysek, obracając w palcach papieros.



– Jutro rano majōm przywiyź jakigoś umrzika ze Katowic, to nim dōchtōr zacznie go ciōńć, bydzie piył bōnkawa. Zōwdy tak robi, dyć wtedy mozesz go trefić.

– Tak zrobia. Wiysz co, Albert, porzōndny z ciebie karlus, niy taki pogupiały jak Stanik Belka. Ōn sie myśli, co jak przijechoł tukej kajś spode Lwowa, to juź je wielkō perzōna i wszystkie rozумы pozjōdoł.

– Starszy posterunkowy Paweł Esterski, wiysz – tyn co richtich we Lwowie mieszkoł – lachoł sie z niygo i gōdoł, co Belka przijechoł z jakijś wsi zabityj dechami, Lwowa na ôczy niy widzioł, a siano mu ze szczewikōw wyłazi.

– Ja. Na co to nōm przyszło, co take z Grażyńskim poprzyjydzali i sie do rzōndzyniō bierōm.

Porozmawiali jeszcze trochę o robocie, o dzieciach – zwłaszcza o nowo narodzonym synku Melcera – Richacie – i po trzecim piwie poszli do domów. Następnego dnia czekała Adolfa trudna rozmowa, z którą wiązał wielkie nadzieje, ale też wielkie obawy.



## Rozdział II

Tego ranka Adolf wyszedł wcześniej. Miał pewność, że Wolnik skrywa w zanadrzu jakieś rewelacje. Jadąc tramwajem do Świętochłowic, cały czas myślał, co takiego odkrył doktor, co pominięto w raporcie. Komu zależało, aby te informacje nie ujrzały światła dziennego? I z jakiego powodu?

Budynek świętochłowickiego szpitala stał na wzniesieniu nad miejscową rzeką Rawą. Z tyłu na dużej płaskiej przestrzeni rozciągał się Stary Cmentarz. Gabinet doktora znajdował się za prosektorium i niewielką kostnicą. Radca przeszedł przez zimne szpitalne korytarze i nieśmiało zapukał do masywnych drzwi gabinetu Wolnika.

– Proszę – usłyszał stanowczy, acz spokojny męski głos.

Niepewnym ruchem nacisnął klamkę i wszedł do niewielkiego, chłodnego wnętrza, w którym stały dwa brązowe skórzanego fotele, niski stół w stylu art déco, biurko i regał na fachową literaturę medyczną. W jednym z foteli w nonszalanckiej pozie z filiżanką kawy w ręku siedział niewysoki krępy mężczyzna.

– Witajcie, Jendrysku. – Wstał i podał gościowi rękę. – Co was do mnie sprowadza?

– Witajcie doktorze. Sprawa Salzmanna. – Adolf postanowił od razu przejść do sedna.

Słyszac nazwisko Salzmanna, Wolnik zmieszał się i sięgnął po leżącą na biurku paczkę cygar Coronas.

– Zapalicie? – zapytał, wyciągając jedno dla siebie.

– Chętnie. – Adolf poczęstował się i ciągnął dalej. – Dowiedziałem się, że raport po sekcji zwłok Salzmanna nie zawiera wszystkich informacji, które uzyskaliście podczas badania. Wiem też, że nie zatailiście ich z własnej woli. Chciałbym poznać prawdę w tej kwestii, ponieważ nie ukrywam, że ekspresowe śledztwo wydało się podejrzanе nie tylko mnie, ale także niektórym z moich klientów.

Wolnik zaciągnął się cygarem i ciężko westchnął.

– Dobrze – powiedział. – Jestem wam winny przysługę i czuję, że nadszedł moment, kiedy powinienem spłacić mój dług, ale przekazuję zdobyte informacje w największej tajemnicy. Co z nimi zrobicie, to już wasza sprawa.

Adolf wypuścił dym i słuchał doktora w skupieniu.

– Już od samego początku było dla mnie jasne, że nie tylko Veronal, ale coś jeszcze przyczyniło się do śmierci Salzmanna. Dawka, którą zażył, mogła zabić najwyżej wątłą kobietę, ale nie wysokiego, postawnego mężczyznę. Nie bardzo wiedziałem też, skąd akurat w tej piwnicy klimat egipskiej pustyni, który zmienił ciało w mumię, i zacząłem szukać innych przyczyn takiego stanu zwłok. Od razu też zwróciłem uwagę na nienaturalnie ciemny kolor skóry denata i jego paznokcie, na których widać było prążki. To wszystko wskazywało na przedśmiertny kontakt zmarłego z arsenikiem.

Radca skoczył w fotelu jak oparzony, ale nie chcąc przerywać, słuchał dalej.

– Kontakt skóry z silnymi związkami arsenu powoduje jej mumifikację – dodał doktor. – Nie miałem zbyt dużo czasu na wnikliwą analizę, ale badanie metodą Marsha potwierdziło obecność arsenu na skórze denata.

– Jak rozumiem, przyczyna śmierci podana w aktach Salzmanna powinna brzmieć: otrucie arsenikiem – przerwał nerwowo Jendrysek.

Wolnik spojrzał na niego wymownie, ale się nie odezwał.

– To całkowicie zmienia postać rzeczy, zwłaszcza w kwestii odszkodowania dla moich klientów. – Adolf prawie krzyknął, ale od razu się uspokoił. – A tak przy okazji. Na czym polega ta metoda?

– Pomaga wykryć małe ilości arsenu. Opracował ją brytyjski chemik James Marsh. Próbką zawierająca arsen pod wpływem wodoru tworzy gaz – arsenowodór. Podczas jego spalania na porcelanowej płytce pojawia się tzw. lustro arsenowe, czyli metaliczna plamka rozpuszczalna w roztworze podchlorynu sodu lub nadtlenu wodoru.

– To rozumiem, ale skąd arsen na ciele Salzmanna? – powiedział zdziwiony Jendrysek. – Ktoś wysmarował go arsenikiem?

– Nie arsenikiem, ale roztworami zawierającymi arsenian potasu – płynem Fowlera i Salwarsanem.

– Ale to przecież leki na choroby skóry?

– W rzeczy samej, jednak przedawkowane mogą prowadzić do zatrucia, a te do śmierci. Wygląda na to, że ktoś podał mu Veronal i prawie wykąpał w mieszance tych płynów.

– Słyszałem, że komisarz dostał rozkaz, aby jak najszybciej zamknąć śledztwo.

– Nie tylko. Rozkaz dotyczył też utajnienia sprawy i przyszedł z Katowic. Z samej góry – odparł doktor ściszym głosem, jakby bał się, że ktoś może go podsłuchiwać.

Podnosząc się z fotela, Adolf czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Wyprostował się jednak, starając się ukryć wzburzenie.

– Rozumiem, że w zaistniałej sytuacji nie pozostaje mi nic innego jak prowadzić własne śledztwo. Nie mogę narazić na szwank waszej reputacji. – Zgasił cygaro, uściśnął dłoń doktora i chwiejnym krokiem skierował się ku drzwiom.

– Uważajcie na siebie Jendrysku. To nie jest zabawa. Ci, którym zależy na zatuszowaniu tej sprawy, mogą być

niebezpieczni – brzmiał za plecami Adolfa stłumiony głos doktora.

Po wyjściu z gabinetu Wolnika oszołomiony radca, nie zważając na przechodzących obok ludzi, szedł ulicą Wolności prawie na oślep.

– Ôböcz, Hyjdla. Taki gryfny mody karlus, a ôzarty już ôd samego rana. – Głos jednej z mijających Adolfa kobiet brzmiał jak z odległej planety.

Od omdlenia ratował go tylko nieznośny ból głowy. Zapalił papierosa i tak głęboko wciągnął dym, że przez chwilę zrobiło mu się czarno przed oczami. Oparł się o mur jednej z kamienic i zaczął tępo wodzić wzrokiem po oknie wystawowym naprzeciwko.

„Lokal familijny – pierwszorzędna kuchnia obywatelska...” – czytał mimowolnie. – „Stale dobrze chłodzone i pielęgnowane trunki pierwszorzędnych firm. Specjalny wyszynk piwa tyskiego, jasnego dubeltowego, bokowego i słodowego...”

– Tego mi trza – pomyślał i wszedł do właśnie remontowanego, ale czynnego lokalu Wiktora Wielocha o nazwie Zdrój Tyski.

Pokonawszy wysokie schody, znalazł się w nastrojowym wnętrzu. Stoliki oddzielono gustownymi drewnianymi przegrodami, które niczym parawany zapewniały gościom pewną dozę intymności. Mimo wczesnej pory lokal nie był pusty. Rano można było tutaj zjeść całkiem smaczne śniadanie. Adolf zajął jeden z boków i wziął do ręki menu. Kelner zjawił się prawie natychmiast.

– Co podać szanownemu panu? – zapytał.

– Dobrze schłodzony bok – odparł radca i przypomniał sobie, że dziś jeszcze nic nie jadł. – I jajecznicę na boczku – dodał.

– Oczywiście.

W oczekiwaniu na posiłek zastanawiał się, co robić. Z jednej strony czuł się zobowiązany wobec swoich klientów, a z drugiej

obawiał się niesprecyzowanego niebezpieczeństwa, o którym wspomniał doktor, a nade wszystko załamania radcowskiej kariery. Przecież był dopiero na początku.

– Z pustym basym niy idzie myśleć – wymamrotał do siebie i gdy kelner podał posiłek, postanowił oddać się jedzeniu wyjątkowo smacznej jajecznicy.

Przy sąsiednim stoliku siedziało kilka kobiet i głośno prowadziło gorączkową rozmowę.

– A wycie, co mi wczorej gōdała starõ Skalcynõ? – zaczęła jedna z nich. – Bezmaść Frida õd Klouziny wyciepli õd Mally’ego.

Słyszac nazwę Mally’ego, Jendrysek zaczął przysłuchiwać się rozmowie, która wcześniej go wręcz irytowała.

– Niy gōdej, Truda. A pojakymu? – odezwała się druga. – Przeca jõ jõm w tamtym tygodniu trefiyła i padała, co mõ nõjlepszo robota, jako sie mogła forsztelować. Można cosik napochała.

– Bezmaść miała cosik porwać – stwierdziła Truda.

– Co ty to gōdõsz. Frida? Przeca õna co dziyń do kościoła lõtõ – stwierdziła druga.

– Na jij szychcie gościõm sie coś potracyło, a Preisnerowi põra flaszek wina i jakeś krauzy ze pywnice – dodała pierwsza.

– A jõ zaś słyszała, co goście sie õd Mally’ego wykudzajõm, bo po cmõku ftoś po siyni łazi i larmo robi. Pierõn wiy, co sie tam richtich dzieje. Można jaki umrzik strazy? – powiedziała trzecia.

– Niy przezywej a gupot niy gōdej – pouczyła ją druga.

– Jõ wiy – przerwała im pierwsza. – To jes ta klõntwa Salzmanna.

– Fanzõlisz, Gryjta, choby potrzaskanõ.

– Gõdõm wõm. To je prõwda.

\*\*\*

Adolf nie słuchał dalej. Jednym haustem dopił piwo. Został pokazywany napiwek i zbiegł po schodach. Idąc ulicą Wolności, zastanawiał się, jakim sposobem znajdzie wspomnianą przez kobiety Fridę. A jeśli nawet mu się to uda, o co ją zapyta? Skąd w ogóle pomysł, aby jej szukać? Jakiś impuls? W tym momencie nie potrafił odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Postanowił najpierw zbadać, jak się sprawy mają w niegdyśszej restauracji Salzmanna.

Minął budynek dawnego ratusza, który doprowadził Mally'ego do śmierci, Starą Aptekę Knechtla, zakład pogrzebowy Kutynioka i podążając wzdłuż torów tramwajowych, skierował się prosto w stronę ulicy Bytomskiej. Poranek był piękny. Przy wejściach do sklepów rozmawiały kobiety, a wokół nich biegały dzieci. Gdy znalazł się przy wejściu na teren kościoła Świętych Piotra i Pawła, jego wzrok przyciągnęły czerwone pantofelki stojące na wystawie sklepu niejakiego Izaaka Lewka – Żyda, który w kamienicy naprzeciw świątyni przy ulicy Wolności 8 oprócz sklepu z obuwem prowadził także kawiarnię. Podawano tam pyszne lody o wyszukanych smakach.

Podszedł do sklepowej witryny. Przedpołudniowe słońce zdawało się przeglądać w wypolerowanej skórce pantofelków, które w świetle nabrały koloru łąkowego maku.

„Bydōm ône pasowały na wyzgerne stōpki Hajdelki?” – nagła myśl zakiełkowała mu w głowie i wszedł do środka.

W sklepie panował półmrok i specyficzny zapach wypastowanych butów, które równymi rzędami stały na regałach, cierpliwie czekając na swych nowych właścicieli.

– Czym szanownemu panu służyć? – Sklepową ciszę przerywał spokojny głos sprzedawcy.

– Chodzi o rozmiar czerwonych pantofelków z wystawy.

– Tych z pięknej cielej skóry?

– W rzeczy samej.



– Trzydzieści cztery. Santa Fe – najnowszy model od Baty dla prawdziwej elegantki. Naprzeciw w sklepie firmowym u Waleckiego na pewno zapłaci pan drożej – odparł sprzedawca, podając Adolfowi jeden z pary.

– Przyszła właścicielka ozdobi stópkę eleganckim bucikiem, a stąpając po miękkim podłożu, pozostawi kwiatowe ślady. Cudo. Ważą jedynie kilkadziesiąt gramów – ciągnął, reklamując swój towar.

Rzeczywiście lekkość pantofelka była imponująca.

– Ile chcecie za to cudo? – zapytał Adolf po namyśle.

– Dwadzieścia trzy złote.

„Gryfne, nale Hajdelka niy potrzebuje dziesiöntyj pōry szczewikōw, i to jeszcze w takij cynie” – pomyślał, odkładając pantofelek na ladę.

Mimo wielkiej miłości do żony Adolf Jendrysek był przede wszystkim człowiekiem praktycznym i wiedział, że te czerwone pantofelki za zawrotną sumę dwudziestu trzech złotych podzielą los reszty bucików zamkniętych w pokaźniej szafce stojącej w przedpokoju.

– Przyjdę tu z żoną, żeby mogła przymierzyć. Buty za dwadzieścia trzy złote, nawet takie eleganckie, powinny dobrze leżeć – powiedział, żeby nie drażnić sprzedawcy. Uniósł kapelusze i wyszedł.

Mijając po lewej dom towarowy braci Drost, a delikatesy Lublińskiego po prawej, szedł w górę ulicy Bytomskiej w kierunku restauracji U Mally’ego. Zostawiając za sobą Śląski Bank Ludowy i meble Wincentego Pogody, chwilę później stał przed głównym wejściem wzniesionego na planie prostokąta dwupiętrowego budynku z czerwonej i żółtej cegły. Z prawej strony zbudowano wieżę, której kopuła witała jadących od strony Piaśnik, a trzy rzędy półkolistych okien z opuszczonymi do połowy markizami dodawały budowli lekkości i wytworności.

Jendrysek skierował się wprost do baru, który o tej porze był jeszcze pusty. Rzędy stolików przykrytych białymi haftowanymi obrusami i ozdobionych świeżymi letnimi kwiatami zapraszały na poranną kawę. Wybrał jednak kufel wyśmienitego ciemnego Gleiwitzer Löwenbräu z piwnicy Hugona Scobla i poprosił barmana o rozmowę z kierownikiem. Siedząc przy barze, wyczuł na zapleczu jakieś poruszenie. Za wahadłowymi drzwiami zauważył nerwowo gestykulującego barmana. Drugiej osoby niestety nie widział. Chwilę później w drzwiach pojawił się gładko ogolony postawny mężczyzna ubrany w smoking, czego w tym lokalu pilnowano nawet w dni powszednie. Mimo eleganckiego ubioru i z pozoru opanowanych ruchów kierownik baru Alfred Tomalla nie potrafił ukryć zdenerwowania.

– Padej gibko, z czymś prziszło, bo mōmy tu dzisiaj kupa aufflufu skuli wczorajszyj kradzieże i wybōcz, ale niy mōm czasu terōzki gōdać – wyciągnął szybko rękę na powitanie starego znajomego.

Radca prawny Adolf Jendrysek, kierownik baru w restauracji U Mally'ego Alfred Tomalla i posterunkowy Albert Melcer chodzili razem do jednej klasy. W dorosłym życiu każdy z nich wybrał dla siebie inną drogę, ale łączyło ich jedno: Lipiny. Cała trójka uważała je za najlepsze miejsce do życia i żaden z nich nigdy nie myślał o przeprowadzce. Tu mieli wszystko, czego potrzebowali. Górny Śląsk, a razem z nim przemysłowe Lipiny, nie tylko dla nich, ale dla wielu innych, stały się ziemią obiecaną. Ci trzej mieli to szczęście, że ta ziemia należała do nich, a oni do niej. Zawsze mogli powiedzieć: „My sōm stōnd” i mówili to przy każdej nadarzającej się okazji.

– A jō prawie chca ô tym gōdać – odrzekł spokojnie Adolf.

– A pojakymu ty już ô tym wiysz? – Alfred szczerze zdziwiony aż usiadł na krześle obok.

- Chopie, ô tym juź na mieście gōdajōm.
- O pierōnie! To juź drugō noc. Myślelimy, co to ta mało ôd Klouziny, Frida. A tu dzisiej zaś sie z pywnice straciła krzinka nōjlepszego wina.
- Tak źech sie forsztelowoł, co ta małō Frida niy mō z tym nic spōlnego. A na policyjō źeście zwōniyli?
- A kaj. Niy chcymy, coby nōm sie goście wylynkli, choć i tak pōra sie juź wykludziyło. Sami poradzymy chycić tego pierōnskigo kradziōka. Dōwōm gowa, co to je ftoś ze ôbsługi. Szeź juź z nimi gōdō – upierał się Alfred.
- Wysz to na zicher? A moźno ftoś z wierzieli Salzmanna chce sie ôdkuć? Sprzedō potym skradziōny tōwōr na szaberplacu za doś wielkō suma. Przeca nōjstarsze wina z pywnice Salzmanna miały chyba ze funfcich.
- Co ty to gōdōsz? A jak by tukej wlōz? – Alfred pokiwał głowā z niedowierzaniem.
- Jeszcze niy wiym, ale myśla, co mogymy sie tego dowiedzieć, jak niy dzisiej w nocy, to jutro abo pojutrze. Myśla, co kradziōk bydzie corōz zuchwalszy i yntlich wleci.
- Mogymy? – Alfred zapytał szczerze zdziwiony.
- Dobrześ słysoł – odparł niez pomieszany tym pytaniem Adolf.
- Ale co ci do tego? Niy musisz nōm pōmōgać. – Kierownik nie dawał za wygranā.
- Niy musza, ale chca, bo mōm tukej swoje sprawy, i prosiłbych cie, cobyś mie wziōn do wachowaniō na dzisiyjszō noc. – Jendrysek podniōsł sie z krzesła, jakby to była dla niego sprawa życia i śmierci.
- Kej tak ci zależy. – Alfred juź nie oponował. – Ino szeź niy moźe wydzieć. Prziđ sam po dziesiōntyj, kej ôn pudzie juź do siebie.
- Toć, że przida. Do wieczora. – Jendrysek poźegnał się i wyszedł.



### Rozdział III

– Wszystkie baby zōwiszczōm mi takigo chopa, ino żōdnō jeszcze niy spōmiarkowała, co żyć z tobōm to choby z umrzykym. Durch cie niy ma, a kej żeś je, i tak nic niy gōdōsz. – Głos Hajdelki wyrwał Adolfa z głębokiego zamysłenia.

– Te twoje kamratki ci takie gupoty ôsprawiajōm abo żeś to sama wymyśliła? – W takich chwilach wolał sakrazm. Lepiej uciąc dyskusję niż wdawać się w niepotrzebne sprzeczkki.

– Srogi uczōny sie znōd. Kej żeś pokōńczył te szkoły, myślisz, co mie możesz ôbrazać? Niy mōm do kogo gymby ôtworzić, bo abo kajś lōtōsz, abo czytōsz te pierōnske gazety. – Talerz żuru, zamasyście postawiony przez żonę, aż zatańczył przed Adolfem.

– No to ô czym chcesz gōdać? Ino gibko, bo za niydugo musza sie zbiyrać. – Odłożył gazetę i zaczął jeść.

– No ja. – Hajdelka przysiadła na krześle naprzeciw. – A kaj to zaś lecisz?

– Niy moga ci pedzieć. – Adolf złagodniał. – I niy gorsz sie, nale niy byda dzisiej społ w dōma.

– Niy gorsza sie, ino mi tesno. Siedza w tyj chałpie choby w hereszcie. A myślisz, co jō niy widza, że sie czymś starōsz?

– Przeca niy je żeś gupiō. Gupij baby bych sie niy wziōn. – Adolf objął Hajdelkę i pocałował. – Terōzki niy moga jeszcze nic pedzieć. Musza załatwić jedna fest ważnō sprawa i niy chca cie nerwować.

– Jużeś mie znerwowoł. – Hajdelka wstała od stołu. – Mōsz szczyńście, co ci wierza i to mie trocha uspokajō.

\*\*\*

Kwadrans po dziesiątej wieczorem Adolf wchodził po kamiennych schodach prowadzących do głównego wejścia restauracji U Mally’ego. Koniec lipca był tego roku wyjątkowo ciepły. Jendrysek zrezygnował z płaszcza. Wystarczył ciemny garnitur i kapelusz. Alfred czekał na przyjaciela przy barze, nerwowo zaciągając się papierosem.

– Preisner poszoł. Muszimy słyż do piwnicy i sie rozdzielić. Trzimej taszlampa i pōdź za mnōm. – Podał Jendryskowi koc i latarkę – Yma mie tukej zastōmpi.

Gdy zesli po stromych schodach, Jendrysek zobaczył ciemny wąski korytarz rozwidlający się w przeciwne strony. Barman prowadził w prawo. Ich oczom ukazały się wielkie regały wypełnione zakurzonymi butelkami wina. Alfred wskazał kompanowi miejsce kryjówki za jednym nich, a sam skierował się w lewo do spiżarni, w której przechowywano składniki najbardziej wyszukanych dań, z jakich słyneła restauracja.

– Ino niy śpij – przestrzegł Adolfa na odchodnym.

– Niy starej sie. Zimno tukej jak w psiarni – odparł urażony Adolf.

– Kej bydziesz co widzioł, klupnij w ruła. Jō zrobia tak samo.

– Dobra.

Mimo piwnicznego chłodu i twardej posadzki Adolf wy-mościł sobie dość wygodne pośłanie, jednocześnie próbując ukryć się przed okiem wyczekiwanego intruza. Robiło się coraz zimniej, godziny dłużyły się coraz bardziej, a ciało Jendryska opanowywały coraz większe dreszcze. Zaczął szczerze żałować, że nie wziął czegoś cieplejszego. Koc nie wystarczał.

Zegar na wieży kościoła Świętych Piotra i Pawła wybił drugą. Nagle na zewnątrz coś się poruszyło. Z prowadzącego do winiarni piwnicznego okienka ktoś wyciągał kratę. Próbując opanować dreszcze, Adolf zacisnął pięści. Czuł, jak strużka zimnego potu spływa po jego skroni. Przez pozbawione krat wąskie okienko do piwnicy wślizgnęła się czarna, niewysoka, lecz wyjątkowo smukła postać. Wciągnęła za sobą okazałych rozmiarów torbę, do której z regału przy okienku zaczęła wkładać jedną po drugiej butelki wina. Oszołomiony radca stał przyklejony do ściany i wpatrywał się w postać tępyim wzrokiem. Wtem przypomniał sobie o umówionym sygnale i zastukał w rurę. Jak na komendę intruz skoczył w ciemność piwnicznego okienka, wciągając za sobą torbę. W ostatnim momencie Jendryskowi udało się chwycić za jej róg. Szarpnął mocno, ale przeciwnik zdołał wyrwać torbę i uciec. Gdy nadbiegł Alfred, Adolf stał pod okienkiem z zaciśniętymi zębami.

– Chyciłyś go? – zapytał.

– Przeca widzisz, co go niy ma. – Wzdrygnął się. – Mōm ino to.

W otwartej dłoni trzymał metalową skuwkę wpiętą w kawałek oderwanej skóry. Nie mógł się ruszyć. Drżał na całym ciełe, nie wiedział, czy to z zimna, czy ze strachu. Dał się podejść jak uczeń. Znów ogarnęło go to nieznośne poczucie winy.

– No to mōmy kōncek tasie i kradziōka z wyszukanyim gustym – westchnął ciężko Alfred, oglądając półkę, z której zniknęły wina.

– Pojakymu? – zapytał Jendrysek ze szczerym zdziwieniem.

– Porwoł pōra flaszek nōjdrogszego wina. Widać, wiedziōł, co brać.

– Gödoł zech, co keryś z wierzicieli Salzmanna, keremu umrzik wisioł kupa piyniyndzy, prōbuje sie ôdkuć.

– Ino to musi być taki, co bōł tukej i wiy, kaj kryjymy nōjwiynksze rarytasy – stwierdził Alfred, gładząc wąsy.

– To już jes jakiś trop. Musicie dać znać na policyjō. Őne chycōm tego kradziōka, bo wōm wyniesie cołkō pywnica i bydziecie gołe kej śwynty turecki – odparł Adolf, częstując przyjaciela papierosem.

– Pōdź na wyrch. Szluknymy sie po jednym na rozgrzōnie i zakurzymy. Potym sie lygniesz u mie na zadku. – Tomalla wskazał przyjacielowi schody na górę.

– A kej kradziōk przidzie nazōd? Trza by wrzić ta krata. – Jendrysek schował papierosy do kieszeni.

– Ja, mōsz recht.

Pół godziny później siedzieli w pustym barze przy kieliszku Stocka, palili Płaskie Extra i analizowali wydarzenia dzisiejszej nocy.

– Gōdołech, co tyn, fto wōs ôbkrōdō, to na zicher niy je ta mało Frida – zaczął radca, wychylając kieliszek wódki.

– Mioł żeś cufał. – Alfred poszedł w ślady kompana.

– Niy ma co gōdać. Musisz rozmōwić sie z Preisnerem i zawiadōmić policyjō – stwierdził poważnie Jendrysek.

Coś jednak nie dawało mu spokoju. Kiedy próbował przypomnieć sobie złodzieja, za każdym razem przed jego oczami pojawiały się smukła czarna postać i jej kocie ruchy. Teraz jednak nie zamierzał zaprzętać sobie tym głowy. Był zbyt zmęczony i po kilku głębszych chętnie położył się w pokoju służbowym przyjaciela.

\*\*\*

Rankiem, po rozmowie z Alfredem i Adolfem, właściciel wezwał policję.



– Tylko dyskretnie, co mi gości nie wypłoszycie – przestrzegł Preisner.

– Bez obaw – odparł Alfred.

Za kwadrans w barze pojawiło się dwóch policjantów w granatowych mundurach. Preisner od razu zaprosił ich na zaplecze. Adolf i Alfred dołączyli do niego.

– Kiedy zaczęły się te kradzieże? – zapytał starszy posterunkowy Paweł Esterski.

– Tydzień nazõd. We piõntek – odparł Tomalla

– Belka, notuj. – Esterski zwrócił się do młodszego rangą towarzysza.

– Może pan powtõrzyć? – Posterunkowy Stanik Belka od niechcienia polizał kopiowy ołówek.

– Tydzień nazõd, we piõntek – powtõrzył Alfred, gładząc się po łysiejącym czole.

– Yyy. – Belka zrobił taką minę, że Esterski wyrwał mu ołówek i notes, i sam zaczął pisać.

– Co zginęło?

– Põra flaszek drogigo francuskigo wina i sztyry krauzy kawioru.

– Tylko tyle? – odezwał się Belka.

– Aż tyle. Jedna flaszka tego wina kosztuje tyle, co põł twojigo geltu – wtrącił poirytowany Tomalla.

– A następna kradzież? Kiedy była? – Nie zważając na zdenerwowanie kierownika baru, posterunkowy ciągnął dalej.

– Dwa dni nazõd.

– A õ ta dzisiyjszõ yntlich zapytõcie? – Tomalla coraz bardziej tracił cierpliwość.

– Po kolei. A co dziś zginęło?

– Piyńc flaszek nõjdrogszego wina – odparł Alfred – Ino to wõs interesuje? Adolf widzioł tego kradziõka. õn sie włõmoł

ô drugij. Wyciõng krata i włõz do pywnice bez ôkno, a potym citnył. Musioł wiedzieć, kaj szukać. Ino ôstawił to – na wielkiej dłoni Alfreda leżała metalowa skuwka wyrwana z torby z kawałkiem skóry.

– Dziękuję. To mi się raczej nie przyda. Chyba nie sądzi pan, że będę sprawdzał wszystkie torby w Świętochłowicach – odparł Esterski i ledwo rzucił okiem na zdobycz. – Pokażcie nam tę piwnicę.

Policjanci obejrżeli regały, z których skradziono wino, i zapisałi coś w notatniku.

– Zabezpieczcie kratę – powiedział Esterski, wychodząc.

– Ino tyła mieli nõm do powiedzyniõ? – Rozdrażniony Alfred nalał dwa kufle piwa.

– Kej zech ôbejrzoł Stanika Belki, jużech wiedzioł, co bydzie. Wysłali nõjbardziej rozgarniyntego policajã – odpowiedział z przekazem Adolf. – Bydymy musieli sami rozwiõnać ta zagadka.

– Ino jak? – Zrezygowany Tomalla wzruszył ramionami.

– Põdź jeszcze rõz na dõł. Terõzki jes widno, można my coś przeoczyli. – Adolf poklepał przyjaciela po szerokich plecach.

Jeszcze raz przejrżeli regał po regale, zwłaszcza te, z których zniknęło wino i inne specjały, ale niczego nie znaleźli.

– Tukej musi cosik być. – Jendrysek nie dawał za wygranã. – Cosik... Põdź sam gibko!

– Przeca tukej nic niy ma. – Widząc Adolfa w części z mięsiwem, Alfred machnął rękã, ale w końcu podszedł do przyjaciela.

– Robiliście tukej jaki remõnt? – zapytał tajemniczo Adolf.

– Niy, my niy. To jeszcze Salzmann. Na wiosna, zanim sie stracił, bodej w marcu. A czamu pytõsz?

– Badnij tyn ślad. – Adolf skierował wzrok na podłogę.

– Ja. Ftoś bezmaść włōż szczewikym na mokrō wylewka. Ino co to mō do rzeczy?

– Niy co, ino fto. Mulōrz chyba niy łązi po świyżym zōlu, co sie go przed chwilōm wyłoł, a tym bardziej niy ôstawiō takich śladōw. – Radca pochylił się jeszcze bardziej.

– Jakich śladōw?

– Już zech je kajś widzioł. Poświeć ino tukej. Musza je lepij ôbejrzeć.

Alfred skierował latarkę we wskazane przez Adolfa miejsce.

– Santa Fe! – zawołał Jendrysek.

Tomalla oniemiał.

– Fanzōlisz choby potrzaskany – Zrezygnowany machnął ręką i skierował się na górę.

– Czerwōne krōmfleki ôd Baty. Model Santa Fe! – próbował tłumaczyć rozgorączkowany Adolf.

Alfred popatrzył na przyjaciela z politowaniem.

– Przeca mulōrz niy łązi w krōmflekach, i to czerwonych. W porzōndku z tobōm? Jō ci naloł rano ino jedyn biyr.

– Badnij tukej. Przeca to ślad babskiego szczewika, a tu mōsz ôdbity krōmflek. – Adolf obwiōdł palcem po śladzie.

– Richtich. Nale ty wiysz, co to je za szczewik, bo pojakymu byś znoł jego kolor – odparł Alfred z rezerwą.

– Wiym i niy wiym. Pōdź ôbejrzymy jeszcze zōl tam, kaj wczorej był kradziōk.

– Tyż tukej sōm. Aże dwa! – zawołał zdziwiony Tomalla i podrapał się w łysiejące czoło.

– Gut. To terōzki mogomy iś na wyrch, bo już mōm głōd, a z pustym basym niy umia jasno myśleć. – Głos Adolfa dochodził ze szczytu schodōw.

Było jeszcze wczēśnie i w pustym barze nic nie wadziło swobodnej rozmowie. Alfred przygotował tym razem dwie

mocne kawy, a kucharka podała białą kiełbasę z musztardą i świeżym chlebem.

– Gödej ô tych szczewikach, bo mi tukej nic niy sztimuje – powiedział Alfred, siadając do stolika.

– Czekej, ino trocha zjym i spröbuj sie to wszystko do kupy poskłodac – odparł Adolf, krojąc kiełbasę.

Tomalla również oddał się jedzeniu, czekając z niecierpliwością na opowieść przyjaciela.

– Kej wczorej szołech tukej bez miasto, włözłech do sklepu Lewka. We szaufynstrze stoły piykne czerwõne krõmfleki. Kej przedwõcz mi je pokõzõł, miały zõla, co ôstawiõ taki sam ślad kej tyn z pywnice.

– No gut – przerwał mu Alfred. – Nale co to mõ spõlnego z naszõm sprawõm?

– Tego żech ci niy gödoł, boch myśloł, co mi sie zdõwało... Nale terõzki jes żech blank zicher, co tyn nocny kradziõk to bõła baba.

– Mielimy recht! – Alfred uderzył pięścią w stół. – To bezmaść była Frida ôd Klouziny. Ino trza jõm chycić. Zwõnia na policyjõ – energicznie wstał.

– Stõj! Dej pokõj. Przeca to niy mogła być Frida. Ôd kedy ôna tukej robi? – Głos przyjaciela zatrzymał Tomallę w pół drogi do telefonu.

– Ôd miesiõnca – odpowiedział i zorientował się, jak łatwo rzucić na kogoś bezpodstawne oskarżenie.

– A ślady sõm ze wiosny. To niy ôna. I niy ôna dzisiaj tukej bõła. To mogła być jedna a ta sama baba. – Jenrysek zapalił papierosa i poczęstował przyjaciela.

– To zaś my sõm w rzici. – Alfred odchylił się na krześle, puszczając kółka dymu.

– A kaj. Mõmy kradziõka, skuwka z kõnckym skõry i wiy-my trocha ô szczewikach. A nõjważniejsze, co wiy-my, kradła

baba. A ôna najsamprzōd mogła tu być w tych szczewikach i bezto wiy, na co sie ciepąć. Abo można to se nawet wszystko przirychtowaćać – dedukował Adolf. – Ino ty niy myśl, co ôna tukej dzisiej przidzie. Terōzki na jakiś czas bydziecie mieć pokōj – dodał.

– No to jak chcesz jōm znōjs? – spytał zbity z tropu Alfred.

– Coś wymyśla. Znōsz mie. – Jendrysek uśmiechnął się tajemniczo, podziękował za śniadanie i wyszedł.



## Rozdział IV

Gdy znalazł się na zalanej porannymi promieniami Bytomskiej, przeszedł na drugą stronę ulicy, minął zamkniętą jeszcze restaurację Stefana Pięgsy, zakład fotograficzny Rembrandt, którego witrynę zdobiły dziecięce fotografie tradycyjnie wykonywane przy okazji roczków, i szybko skierował się do sklepu Lewka. Poranne słońce grzało przyjemnie, a letni wiatr dodawał energii do działania. Czuł się lepiej niż wczoraj. Przynajmniej miał jakiś punkt zaczepienia. Nie wiedział, czy to dobry trop, ale jakiś na pewno. Gdy wyszedł zza rogu, czerwone pantofelki od razu przyciągnęły jego wzrok.

„Najnowszy model od Baty dla prawdziwej elegantki. Naprzeciw w sklepie firmowym u Waleckiego na pewno zapłaci pan drożej”. Nagle przypomniały mu się słowa sprzedawcy i tym razem postanowił odwiedzić skład galanterii Cyryla Waleckiego, który sprowadzał firmowe buty od Baty.

– Dzień dobry. Czym szanownemu panu służyć? – U wejścia powitał go głos młodziutkiej ekspedientki ubranej w elegancki ciemnoniebieski kostium firmowy.

– Dzień dobry. Chodzi mi o lekkie pantofelki z czerwonej skóry. O, takie jak te na wystawie naprzeciw. – Wskazała ręką sklep Lewka.

– Tych już nie mamy. Zapasy z kolekcji wiosennej sprzedaliśmy dwa tygodnie temu. Może jakiś inny model mógłby pana zainteresować? Jaki rozmiar? Dla żony? A może narzeczonej?

– dopytywała ekspedientka.

- Widzi pani, ja nie...
- Ależ nasz asortyment sprosta nawet tak wyszukany gustom jak pański. – Nie dawała za wygraną.
- Cóż, mam do pani nietypowe pytanie – odparł nieco zniżonym głosem.
- Tak? Zatem czym jeszcze mogę szanownemu panu służyć? – Na jej twarzy pojawiło się lekkie zdziwienie.
- Czy prowadzicie rejestr stałych klientów? – zapytał trochę zmieszany.
- Tak. Także tych, którzy skorzystali z najlepszej oferty. Wysłałyśmy im katalogi.
- A czy udostępniacie te dane jakimś osobom lub firmom?
- Może pan być całkowicie spokojny. Wykorzystujemy je tylko do własnych celów handlowych.
- To dobrze – udał, że głęboko wzdycha, jak ktoś, kto ma zamiar ukryć drogi zakup przed niepowołanym okiem żony.
- Podszedł do regału z najnowszą kolekcją i zaczął po kolei oglądać wszystkie najdroższe buty. Odwrócił się do ekspedientki, trzymając w ręce ozdobiony złotymi liśćmi zgrabny chabrowy pantofelek zapinany na fikuśną klamrę w kształcie kwiatu.
- Czy jest rozmiar 34? – zapytał.
- Chwileczkę, sprawdzę w magazynie. – Ekspedientka wyszła na zaplecze i po chwili wróciła.
- Niestety tego rozmiaru już nie mamy. Może zechciałby pan obejrzeć te? – Zdjęła z półki złoty bucik wyszywany w kwiaty tej samej barwy.
- Piękne. W jakiej cenie? – zapytał Adolf.
- To jedno z najdroższych. Trzydzieści dwa złote.
- Biorę. Proszę zapakować – powiedział, uśmiechając się.
- Chwileczkę. Muszę spisać pana dane. Ma pan może dowód osobisty? – zapytała dziewczyna.



– Owszem. – Wydobył z kieszeni złożony wpół szaroniebieski kartonik i położył na ladzie.

Ekspedientka wyciągnęła spod lady wielką księgę oprawioną w czarną skórę z wygrawerowanym na okładce złotym butem.

– Adolf Jendrysek, radca prawny, Lipiny, ulica Józefa Piłsudskiego 17 mieszkania 4 – przeczytawszy na głos, wpisała dane do księgi. – Proszę podejść do kasy, zapakuję pantofelki. – Zamknęła księgę, odłożyła i wyszła na zaplecze.

Jendrysek nie zamierzał spełnić prośby ekspedientki, przynajmniej nie od razu. Odwrócił się tyłem do kasy, nachylił i zaczął przewracać kartki księgi, szukając amatorów wiosennej kolekcji, którzy w marcu zakupili czerwone pantofelki model Santa Fe.

„Santa Fe, Santa Fe. Doktor Hugo Eckert – dwudziestego marca, sędzia Ernst Kollman – dwudziestego trzeciego marca, Inga Bittner – dwudziestego szóstego marca. Inga Bittner?”

Nagle przypomniał sobie nazwisko Bittner na liście wierzycieli Salzmanna. Zapamiętał adres i w ostatnim momencie zamknął księgę.

– Proszę pokwitowanie.

– Tak szybko? Przepraszam, już płacę. – Udał, że głos ekspedientki wyrwał go z zamyślenia, i szybko podszedł do kasy. Drżącą ręką wyciągnął z kieszeni trzydzieści dwa złote, po czym wrócił z rachunkiem.

– Dziękujemy za zakup i zapraszamy ponownie – powiedziała ekspedientka, wręczając Adolfowi szykownie zapakowane pudło.

Szybko wyszedł na ulicę. Odszedł kilka kroków od sklepu, wyciągnął notes i zapisał: Inga Bittner, Świętochłowice, ulica Kolejowa 7 mieszkania 6.

„Kej zdobywanie informacyji bydzie mie tyła kosztować, w przyszłym tygodniu byda bankröt” – pomyślał z goryczą.

\*\*\*

– Czyś ty ôgupioł? Bank żeś ôbkröd abo co? Przeca te szczewiki kosztujöm fortuna. – Hajdelka zawodziła nad otwartym pakunkiem.

– Chciołech ci wynagrodzić ôstatnie dni. Miałaś recht. Był zech niy do zniesiyniö – odparł niewinnie Adolf.

– I musioł żeś mi narychtować gyszynk za trzydziyści dwa złote? – oparła ręce na biodrach, jakby chciała powiedzieć: „Cyganić toś ty nigdy niy poradziył. Cołki czös wajösz, co möm za wiela szczewiköw, a tukej kupujesz mi nastympne, a droge jak pierön”.

– Nale sie niy gorsza, kociku. Jakbyś zgöd, co zech sie je u Waleckiego upatrziła. Ino myślałach, co mi powiesz, że möm ptöka. A tukej takö niyspodzianka – rzuciła mu się na szyję i pocałowała tak mocno, że stracił równowagę.

– Jerönie, bo mie kipniesz. Niy przy bajtlach. Na wieczör inakszyj pogödömy. – Objął ją wpól i uśmiechnął się požądliwie. – A terözki ôbiöd, bo zech je diösecko głodny.

\*\*\*

– Helga, symnij tyn hut do ôbiadu. – Hajdelka wskazała ręką na wieszak w przedpokoju.

– Niy, bo mi po ślypiach blysko. – Mała córka Jendrysków jeszcze głębiej naciągnęła kapelusz na głowę.

– Adolf, padej jij coś, bo niy strzimia i jeszcze przy ôbiedzie spuszcza jij lyjty. – Hajdelka podniosła z podłogi lać.

– Chyba żeś słyszała, co mama pedzieli? – odparł Adolf, sięgając po soczystego brateringa.

– Niy symna, bo mi blysko – upierała się dziewczynka.

– Pōdź no sam, a gibko. – Ojciec stracił cierpliwość.

Helga powoli wstała i ociągając się, podeszła do Adolfa.

– Co ty mōsz na czole?

Starszy brat – Werner – podniósł wzrok znad talerza i otworzył usta pełne zasmażanych ziemniaków. Spod kapelusza dziewczynki wystawało wielkie, opuchnięte czoło, jakby cierpiała na wodogłowie.

– Nic, ino my grali, fto nōjdużyj wytrzymie ōdbijać bal czołym – przyznała się niewinnie.

– Dej mi zgadnōńc. – Adolf zawiesił głos. – I żeś wygrała – powiedział, próbując powstrzymać śmiech.

– Narychtuj jij ōkład – zwrócił się do żony. – A ty już nikaj niy pōdziesz, ino do pryka i fertich. Już żeś dzisiej nazgobiyla.

– Dobrze ci tak – odezwał się Werner z zadowoleniem i dał siostrze kuksańca w bok.

Helga pokazała mu język i usiadła z kwaśną miną. Ale w duchu cieszyła się z wygranej. Co tam spuchnięta głowa, ważne, że jest najlepsza.

\*\*\*

W nocy nieznośny smród nie dokuczał tak bardzo jak za dnia. Adolf przysunął się do Hajdelki i objął ją krzepkim ramieniem. Świeża pościel chłoneła zapach różanej wody.

– Mamo. Niy umia spać. Gowa mi rośnie. – Mała Helga stała w drzwiach sypialni, trzymając się za głowę.

– Pōdź. Zrobia ci zimny ōkład z kamelkōw. – Hajdelka zaprowadziła córkę do kuchni.

Gdy wróciła, woń róż wypełniła cały pokój. Adolf zatopił się w niej bez opamiętania.

Hajdelka, zmęczona pracowitym dniem, spała obok jak dziecko. Radca nie mógł zasnąć. Myśli pędziły jedna za drugą: Inga Bittner, garnitur Salzmanna, czarna postać z piwnicy, ślad pantofelka. To wszystko nie pozwalało mu zmrużyć oka. Postanowił, że nazajutrz odwiedzi tajemniczą Ingę. Miał nadzieję czegoś się dowiedzieć.

## Rozdział V

– Ciotka, badnijcie moja nowõ kecka. Szykownie wyglõndõm? – Inga kręciła się przed lustrem umieszczonym po wewnętrznej stronie drzwi wielkiej szafy z fornirowanego drewna, ustawionej pod ścianą sypialni niedużego mieszkania w czynszowej kamienicy przy ulicy Kolejowej. Promienie południowego słońca wypełniły cały pokój, tańcząc na podłodze i frontach wypolerowanych mebli.

– Zaś sie strojisz? Wziynabyś sie za jakõ robota, a niy ino za łachami lõtõsz, po kafyjach, a po nocach sie kajś smykõsz. Skõranie boske z tõm dziouchõm – narzekała Valeska Bittner.

– Niy ma sie co gorszyć. Przeca kupuja za swoje. Jeszcze dõwõm na kust. – Dziewczyna zmarszczyła piękne, oliwkowe czoło.

– Dõwõsz, dõwõsz. Nale nikaj niy robisz, a piyniõndze mõsz, i tym sie starõm – odpowiedziała ciotka już łagodniej.

– Stracyliście kupa piyniyndzy bez tyn interes ze Salzmanym, to starõm sie wõm jakoś põmõc. Mõm swoje sposoby. – Uśmiechnęła się szeroko i znów okręciła przed lustrem. – Ida do Waznera po hut, a potym na kafyj. Niy wiym, kej byda nazõd – dodała, biorąc ze stołu niewielką torebkę.

\*\*\*

Adolf wyszedł z domu później niż zwykle i wsiadł w najbliższy tramwaj do Świętochłowic. Piątek był dniem targowym, ale

o tak późnej porze wagon zajmowało tylko kilkanaście osób, w większości matki z dziećmi. Odetchnął na wspomnienie ostatniej podróży w tłumie niedomytych ciał. Usiadł z tyłu i pogрузzył się we własnych myślach: „Ô co spytōm Inga? Jako ôna je? Gryfnō abo rzadnō?”. Nie lubił ładnych kobiet. Z wyjątkiem własnej żony. Czuł się przy nich nieswojo.

Gdy wysiadł niedaleko kościoła Świętych Piotra i Pawła, słońce stało już wysoko. Minęły go pchające wózki dwie młode kobiety. Przed wejściem do kawiarni Lewka ustawiła się kolejka po lody. W cieniu nieopodal gospody Leksa kilku starszych mężczyzn prowadziło ożywioną rozmowę.

Skręcił w prawo w stronę ulicy Kolejowej i w tej samej chwili spostrzegł idącą w jego kierunku młodą kobietę w kwiecistej sukience. Sunęła chodnikiem, kołyszając zmysłowo biodrami. Schylił głowę i chowając się za rondem kapelusza, patrzył na oddalającą się piękność. Oczarowany zdążył jeszcze dostrzec jej brązowe loki opadające na odsłonięty dekolt. Rozejrzał się wokół, czy ktoś go nie obserwuje, ale nikogo nie spostrzegł. Przyspieszył kroku i już za chwilę stał przed wejściem do trzypiętrowej czynszowej kamienicy przy ulicy Kolejowej 7. Pchnął ciężkie drzwi i wszedł do zaciętej klatki schodowej. Mieszkanie pod numerem 6 znajdowało się na pierwszym piętrze. Zawahał się na moment, zanim trzykrotnie zapukał do drzwi opatrzonej wizytówką „Familie Bittner”.

– Jerōnie, kogo zaś sam niesie? – z głębi mieszkania dobiegł głos starszej kobiety.

Po chwili w drzwiach stanęła tęga postać z zaciętym wyrazem twarzy i gładko zaczesanymi w kok ciemnymi włosami.

– Adolf Jendrysek – radca prawny. – Zaskoczony przedstawił się, uchylając kapelusza. Inaczej wyobrażał sobie piękność kupującą czerwone pantofelki z kolekcji Santa Fe.

– Ingi niy ma. Wylazła na Świyntochlowice. Co ôd nij chcecie? Juzaś jakiś szac sie prziplōntoł – zmierzyla go wzrokiem najsurowszego sędziego.

– Žōdyn szac. Jes zech tukej służbowo. – Czuł, że ze wstydu czerwienieje na twarzy. – Kaj idzie jōm trefić?

– A jō wiyim, kaj ôna sie smykō? Ino kupa ôstudy z tōm dziouchōm. Bezmaść siedzi we kafyju u Hinka abo Filusa.

– Sroge podziynkowania. Musza gibko z niōm pogōdać. – Ostatnie słowa wypowiadał, zbiegając po schodach ucieszony, że spotkana w drzwiach kobieta nie okazała się tą, której szukał.

– Abo czekejcie. – Kobiocy głos zatrzymał go na samym dole. – Miała iś do Waznera po ôbsztalowany hut.

Wiktor Wazner prowadził swój niewielki sklep oferujący znakomite wyroby modniarskie w okazałej rogowej kamienicy przy zbiegu ulic Wolności i Aptecznej naprzeciw Starej Apteki Knechtla. Kiedy Adolf wybiegł z Kolejowej na Apteczną, na schodach sklepu zobaczył spotkaną niedawno piękność. Pocztał ucisk w gardle i zatrzymał się w pół kroku, po czym machinalnie sięgnął do kieszeni po papierosa. W śnieżnobiałym kapeluszu z szerokim rondem i koronkowych rękawiczkach wyglądała zjawiskowo. Smukła niczym modelki z katalogów pobliskiego domu mody Rudolfa Bartona. Świadoma swojej urody i czaru, jaki wokół siebie roztaczała, pewnym krokiem ruszyła w stronę apteki. Jendrysek poprawił kapelusz i wolno podążył w kierunku kobiety.

– Inga Bittner? Moje uszanowanie. – Uchylił kapelusz w geście powitania.

– Czy my się znamy? – Lekko zdziwiona spojrzała na niego wielkimi brązowymi oczami. Przed nieznanymi – zwłaszcza mężczyznami – lubiła udawać damę, dlatego zawsze rozma-

wiała po polsku lub po niemiecku. Wydawało jej się, że w ten sposób jest jeszcze bardziej tajemnicza i pociągająca.

– Niestety nie, ale muszę z panią porozmawiać. Służbowo – wypalił jednym tchem.

– Nie wiem, z kim mam przyjemność. Nie przedstawił się pan. I cóż to za pilna służbowa sprawa, że napada mnie pan tak znienacka? – odparła nieco poirytowana.

– Najmocniej przepraszam. Radca prawny Adolf Jendrysek.

– O czym zatem, radco, chce pan rozmawiać? – zapytała niezbita z tropu.

– Czy znała pani niejakiego Georga Salzmanna – postanowił zapytać wprost.

– Wszyscy go znali. Dlaczego pan pyta? – Nieco zaskoczona zasłoniła twarz rondem kapelusza i przyspieszyła kroku.

– Nie zamierzam pani niepokoić. Chciałem wiedzieć, czy znała go pani bliżej. – Podążył za nią.

– Nie znałam go bliżej niż pan. Nie rozumiem, dlaczego zwrócił się pan z tą sprawą właśnie do mnie. Jeśli chce mnie pan przesłuchać, proszę okazać stosowny nakaz – rzuciła nerwowo i nie czekając na jakąkolwiek reakcję ze strony Adolfa, dodała:

– Proszę dać mi spokój. Spieszę się. Żegnam pana. – Nagle przystanęła, podała Adolfowi rękę i obdarzywszy go przeciągłym spojrzeniem wielkich brązowych oczu, odeszła.

Jendrysek zdał sobie sprawę, że nie ma żadnych argumentów, żeby ją zatrzymać. Nie mógł zapytać wprost, czy to ona zeznawała na policji lub – co wydało mu się wielce prawdopodobne – czy to ona zostawiła kwiatowe ślady na świeżej jeszcze wylewce w piwnicy U Mally'ego. Wszystkie pytania, które w tej chwili przychodziły mu do głowy, zdawały się naiwne i wiedział, że dziewczyna na żadne z nich nie musi



odpowiadać. Uchylił jedynie kapelusza i zły na siebie stał pod sklepem Waznera, zastanawiając się, co robić dalej.

\*\*\*

Nagle poczuł ucisk w żołądku. Syrena z pobliskiej Huty Florian oznajmiła koniec szychty, a towarzyszący jej na wieży kościoła zegar właśnie wybił drugą. Adolf postanowił coś przekąsić. Pomyślał, że to dobra okazja do rozmowy z Alfredem Tomallą. Pracownicy zakładu pogrzebowego Jana Kutynioka właśnie polerowali czarne niczym bramy piekieł drzwi pogrzebowej karety. Minąwszy ich, Jendrysek wszedł do sklepu kolonialnego Henryka Bonka i kupił pół funta aromatycznej kawy sprowadzanej z dalekiego francuskiego Konga. Czując, że żołądek coraz bardziej domaga się posiłku, na Bytomskiej przyspieszył kroku. Nie zwracał zbytnio uwagi na przechodzących obok robotników, którzy po ciężkiej dniówce szarym tłumem powracali do domów. Tylko przelotem pomyślał o swoich czterech braciach kończących szychtę w Kopalni Matylda Zachód w Lipinach. Ale gdy tylko znalazł się u wejścia do lokalu pod numerem 26, zaraz o nich zapomniał.

Dzięki przysłaniającym okna markizom w restauracji panował leniwy półmrok, ale i przyjemny chłód. Kilkoro gości właśnie skończyło obiad i wstało od stolików. Jendrysek wybrał miejsce w głębi sali i gdy zjawiała się kelnerka, zamówił zupę dnia, którą dzisiaj była kartoflanka.

– I proszę wezwać kierownika baru – dodał, gdy przyjęła zamówienie.

Za parę minut Alfred Tomalla postawił przed gościem talerz pachnącej zupy z pokrojonymi w kostkę ziemniakami

i innymi warzywami. Wszystko posypano koperkiem i zieloną pietruszką.

– Wiysz już coś? – odezwał się Alfred, zapalając papierosa.

– Niy za wiela. Nale chyba znöd zech ta baba, kerö kupiyła krömfleki Santa Fe. Mianuje sie Inga Bittner – odparł Jendrysek z ustami pełnymi ziemniaków.

– Gödołś z niöm? – dopytywał się Tomalla.

– Ja. Ino niy chciała nic pedzieć, a jö niy chciot za fest naciskać, coby sie niy skapła, co cosik ô nij wiym – skłamał.

– Po pröwdzie to nic wiyncej niy möm – przyznał z ubolewaniem w głosie. – A wiysz można, kaj miyszkö ta Frida Klose, co to żeście jöm wyciepli, bo bezmaść miała porwać te wasze szpecjały? – zapytał uszczypliwie.

– Niy bydź taki frechowny – odparł urażony Alfred. – Już nazöd u nös robi. Terözki sprzöntö izby po gościach, co sie dzisiaj rano wykludziyli.

– Weź mi jöm tukej zawołej. – Adolf spuścił nieco z tonu.

– Ino niy bydź dō nij taki uszczypliwyy, bo dzioucha jest fest wystraszone. – Tomalla zgasił papierosa i wstał od stołu.

Chwilę później w szerokich drzwiach prowadzących do hotelowego korytarza pojawiła się drobna, wręcz eteryczna postać pokojówki w czarnej dopasowanej sukience przepasanej białym fartuszkim. Blond włosy zebrała na czubku głowy i spięła w kok przypominający złotą kulę.

– Chcieliście mie widzieć. – Dygnęła nieśmiało. – Idzie ô te rzeczy, co sie potracyły na mojj szychcie?

– Ja. Siednij sie, frelko. – Wycierając usta, zapraszającym gestem wskazał jej niezasunięte przez Tomallę krzesło.

– Söm żeście policaj abo inkszy detektyw? Wszystko zech już pedziała inkszym policajöm i nic już niy wymyśla – stwierdziła rezolutnie.

– Jes žech prywatny detektyw – odparł Jendrysek z zadowoleniem. Nigdy nie przypuszczał, że wypowiedzenie tych dwóch słów tak mocno połączycze jego męską dumę – Gödej wszystko, coś widziała.

– Można wy cosik wyeklerujecie z tyj sprawy – oznajmiła i zaczęła opowiadać o wydarzeniach tamtej feralnej nocy.

– Miałaś wtedy nocno szychta. Posprzōntałaś niykere izby, bo goście kajś poszli, i narychtowałaś dwie na piyrszym sztoku na nowych, co mieli sie skludzić rano nastymnego dnia. Potym słażłaś na dōł do pralnie wciepnōńc czōrne rzeczy i poszłaś do dyżurki, coby wybiglować czystō pościel. Wtynczas zdoło mi sie, co w pywnicy słysza jakēs rōmplowanie. Choby sie cosik kipowało, bo ôna je gynau pod dyżurkōm. Słuchałaś chwila, nale wszystko ucichło i zabrałaś sie do roboty, bo czas lecioł. Pōmyślałaś, co Yma abo Erwin poszli do pywnice, kipli cosik i narobiyli larma. Rano wyszło, co ftoś porwoł złote zauszniczki jednyj srogij pani, co žech u nij sprzōntała. Inkszo, nowo skludzōnō, zazwōniyla z izby, kerō žech narychtowała, ze skargōm, co mō taki bajzel, choby diōboł tam wpōd i nawywijoł. Aż žech sie poryczała. Coby tego bōło mało, to yntlich wylazło, że z pywnice stracyło sie pōra flaszek nōjdrogszego wina.

– A widziałaś można cosik, co cie zeszerowało abo zdziwiyło? – zapytał Jendrysek, zapalając papierosa.

– Hmm... – zastanowiła się. – Bōło cosik takigo. Nale niy gōdałaś policajōm, bo i tak by mi niy uwierzyli. Wele dwanōstyj poszłaś zaniyś wybiglowanō pościel do tego srogigo szranku, co stoi na kōńcu siyni na piyrszym sztoku. Nōgle mignōł mi przed ślypiami czōrny ciyń, kery zarōzki sie stracył. Choby rozplynōł sie w lufcie. Stanyłaś kej wrytō. Wybiglowane zōgōwki i deki wyleciały mi na zōł. Zaczłaś

sie telepać. Kej yntlich ôdważyłach sie ôbejrzyć za winkel, žōdnego tam niy bōło.

– Poradzisz mi pedzieć, jak ta postać wyglōndała? – do-pytywał, zaciągając się papierosem.

– Kej próbujaj sie jōm spōmnieć, wydōwō mi sie... te jeji ruchy... wydōwō mi sie, choby to bōła... baba – odpowiedziała Frida niepewnie. – Nale mie sie tak chyba ino zdōwało – do-dała.

Jendrysek odruchowo pomyślał o Indze sunącej chodni-kiem niczym nimfa. Nagle wstał, podziękował Fridzie i po-prosił, aby pilnie wezwała kierownika baru.

– Coś taki gibki? Niy umisz poczekać? – oderwany od pracy Alfred spotkał Jendryska w pół drogi do stolika.

– Niy, bo już na zicher wiyam, kogo zech widzioł porywać flaszki z waszyj pywnice – wypalił, a jego twarz z emocji aż poczerwieniała.

– Dej pokōj, przeca widziołś ino ciyń. – Tomalla próbował ostudzić przyjaciela.

– Mōsz recht, nale dzisiej, kej spotkołch Inga Bittner i pa-trzołch, jak sie ruszo, zdoło mi sie, co tak samo ruszoł sie tyn ciyń ze pywnice. A kej Frida pedziała, co na siyni widziała jakōś czōrnō postać i że zdōwało sie jij, co to bōła baba, wtedy zech już wiedzioł, że w pywnicy ôböczył zech Inga – stwierdził Adolf z powagą, układając wszystkie fakty.

– Na liście wierzieli Salzmanna stoi miano Valeska Bitt-ner, a to jes jeji ciotka. Starō Bittnerka straciya kupa piy-niyndzy i možno znōdły sposōb, coby sie ôdkuć – dodał po namyśle.

– Možno i mōsz recht, ino jak jōm trefić, coby z niōm gōdać, ino terōzki już na ôstro? – Alfred podrapał się w czoło, jak miał w zwyczaju, gdy ciężko się nad czymś głowił.

– Na pōra dni dołbych jij pokōj, bo jeszcze jōm wystraszymy i nōm citnie – poradził Adolf – a potym cosik sie wykleruje.

– Bydziesz jutro na szpilu? – krzyknął Alfred za odchodzącym Jendrykiem.

– Jerōnie. Z tego wszystkiego bych zapōmniōł.



## Rozdział VI

Restaurację u Filusa odwiedzały głównie rodziny z dziećmi. Pocięchy nie mogły się doczekać, kiedy zasiądą w kąciku z kolorowymi książeczkami, a potem zjedzą pyszne ciasto z podwójną bitą śmietaną lub śmietankowe lody z maleńkimi wafelkami. Chętnie zaglądały tam również młode dziewczęta, wybierając osłonięte egzotycznymi roślinami ustronne miejsca, w których bez skrępowania mogły plotkować o interesujących je sprawach. Przy jednym z takich schowanych w głębi sali stolików siedziały dwie młode elegantki, delektując się białą kawą i ciastkiem z podwójną bitą śmietaną.

– Jaki piękny kapelusz, moja droga. – Jedna z dziewcząt wstała od stolika na widok wchodzącej do lokalu Ingi.

– Dziękuję, kochana. Wybrałam najnowszy model – w Berlinie i Paryżu przebój tego lata – odpowiedziała Inga, prezentując przyjaciółkom nowy nabytek.

– Ty to masz gust. I rękawiczki. Jaka misterna robota. Idealnie pasują do kapelusza – odezwała się druga.

– Nie mogłam się oprzeć – stwierdziła dziewczyna, wyciągając przed siebie ręce.

– Dzień dobry szanownej pani. Co podać? – Głos kelnera przerwał zachwyty nad garderobą Ingi.

– To samo co paniom, poproszę – odpowiedziała, spoglądając spod kapelusza.

– Jak pani sobie życzy.

– Nie uwierzycie – zaczęła Inga nerwowo. – Spotkałam dziś mężczyznę.

– Dla ciebie to chyba nic dziwnego – odparła jedna z przyjaciółek, popijając kawę.

– Nie, ale ten pytał o Salzmanna. Wystraszyłam się nie na żarty – odpowiedziała Inga, ściągając rękawiczki.

– A o co konkretnie? – zapytała druga.

– Pytał, czy znałam go bliżej. Dlaczego przyszedł z tym właśnie do mnie? Boję się, że coś wie – wyznała zbita z tropu. – Poza tym stwierdził, że przyszedł do mnie służbowo.

– Ja bym się zbytnio nie martwiła – stwierdziła pierwsza.

– Po przedstawieniu u komisarza nikt nie będzie cię więcej niepokoił. Myślę, że to jakiś przypadek.

– Tak. Zwłaszcza, kiedy powiedziałam, że Salzmann nie ubrałby się na brązowo. – Inga zaśmiała się nerwowo. – Po tym stwierdzeniu komisarz uznał, że jestem niespełna rozumu.

– I nadal tak uważa. Nie przesadzaj. To spotkanie to czysty zbieg okoliczności – zapewniła ją druga.

– No nie wiem. Jakoś dziwnie na mnie patrzył – odparła Inga jakby nieobecna.

– O, coś mi mówi, że był przystojny – zaśmiała się pierwsza.

– Przestań – zganiła ją Inga. – Chociaż nie mogę powiedzieć. Elegancki garnitur. Droga woda kolońska. Maniery dżentelmena, a i twarz niczego sobie. Rzeczywiście pociągający jegomość – dokończyła rozmarzona.

– Widzisz. Nie ma się czego obawiać. Może widział cię już kiedyś i po prostu chciał cię zaczepić. Nie brałabym tego do siebie – zauważyła druga z przyjaciółek.

– Pewnie macie rację – stwierdziła młoda Bittnerówna, nie mogąc zapomnieć tajemniczego oblicza nieznanego. Miała nadzieję, że kiedyś jeszcze go spotka.

\*\*\*



Adolf cieszył się w duchu, że na chwilę odetchnie od sprawy Salzmann'a. Zwłaszcza że w jego lipińskim biurze przy ulicy Nadziei 3 czekało wiele spraw, których zleceniodawcy, opłaciwszy sowite wynagrodzenie, z niecierpliwością oczekiwali na efekty.

Jak każdy szanujący się kibic, myśli o pracy musiał jednak odłożyć do poniedziałku. Sobota zapowiadała się ekscytująco, zwłaszcza dla fanów dwóch sąsiadujących ze sobą piłkarskich drużyn – Naprzodu Lipiny i Śląska Świętochłowice. Owo sobotnie popołudnie miało wreszcie rozstrzygnąć, która z drużyn wejdzie do pierwszej ligi.

Już po drugiej trybunie stadionu Naprzodu sąsiadującego z dwoma cmentarzami – lipińskim i chropaczowskim – zaczęły się zapęlniać. Piękna letnia pogoda zwała tłumy kibiców obu drużyn. Przed czwartą brakło miejsc i części niewpuszczonych maruderów pozostało wsłuchiwanie się w odgłosy dochodzące z boiska. Adolf, Alfred i Albert wybrali się w trójkę półtorej godziny przed meczem i zajęli miejsca, które gwarantowały im dobry widok. O szesnastej drużyny wyszły na murawę. Prezentacja zawodników odbywała się przy gromkich brawach i okrzykach kibiców. Sędzia dał sygnał do rozpoczęcia i piłkarze rozbiegli się po boisku. Obie drużyny traktowały ten mecz jak wrota do wielkiej kariery i żaden z zespołów nie miał zamiaru ustąpić pola przeciwnikowi. Kibice co chwilę wstawali z ławek, niektórzy już nie siadali. Wszyscy darli się wniebogłosy, dopingując grających. Wynik jeden do jednego, gwarantujący świętochłowickiej drużynie wejście do pierwszej ligi, jak na złość dla kibiców Naprzodu, nie chciał się zmienić. W ostatnich minutach spotkania obrońca Śląska Świętochłowice pod własną bramką faulował jednego z napastników Naprzodu. Sędzia podyktował dla lipinian rzut karny. Publiczność wstała. Na wykonawcę upragnionego gola wybrano

utalentowanego strzelca rodem z Chropaczowa – Erwina Michalskiego. Gdy ten przygotowywał się do oddania strzału, trybuny umilkły. Rozbieg. Strzał. I dziki ryk fanów Śląska Świętochłowice rozniósł się po Lipinach. Kibice Naprzodu zawyli z bólu, patrząc, jak piłka szybuje wysoko ponad bramką i ginie na chropaczowskim cmentarzu, pogrzebana wraz z nadzieją na wejście ich klubu do pierwszej ligi.

Po feralnym meczu grupki kibiców Naprzodu smętnie umykały na piwo do miejscowych gospód i restauracji. Zaś szczęśliwcy ze Świętochłowic, głośno śpiewając, wracali do siebie, aby tam świętować zwycięstwo ich ukochanego klubu.

Trzej kompani, rozgoryczeni, szli w milczeniu do gospody Eherta. Mijali ich inni kibice, głośno przeklinając strzelca feralnego karnego – Erwina Michalskiego. Jak się później okazało, Michalski musiał cichaczem uciekać z Lipin przed zlinczowaniem przez fanów własnego klubu.

U Eherta było tłoczno. Przy barze ustawiła się pokaźna kolejka. Każdy chciał zatopić smutki i zapomnieć o dotkliwej porażce ukochanej drużyny. Dym z tanich papierosów gęstą mgłą unosił się ponad głośno rozmawiającymi, a nawet krzyczącymi mężczyznami. Na stałych bywalców, mimo że czasem wybierali inne lokale, zawsze czekał w ustronnym miejscu wolny stolik.

– Trzy żywce. – Adolf pokazał barmanowi gestem umiarkowanego i opadł na krzesło.

– Pierōna, jō to czuł – odezwał się Albert.

– A kaj. Kej syńdzia podyktował elwra, już zech myśłoł, co my wygrali. A tu take coś – narzekał Alfred.

– Darymny futer – osądził Adolf, stawiając piwo przed kompaniami.

– Po prōwdzie to myśla, co tyn Michalski bezmaść bōł podkupiōny – stwierdził po namyśle Alfred.

– A to niy je aby sprawa dlõ policyje? – zapytał Adolf z przekąsem.

– Forszteluj sie, jak udowodnia, co ftoś go podkupiõł? – zapytał zdenerwowany Melcer.

– Tak zech ino pedziõł – stwierdził Jendrysek – A tak przy ôkazyji. Niy wiysz, kedy policyjõ yntlich zajmie sie sprawõm kradzieże U Mally’ego?

– Na razie sõm w rzici. Majõm ino tyła, co ôd wõs – odparł posterunkowy i wychylił kufel do dna.

– Zarõz prziniesã jeszcze po jednym. – Tomalla nagle wstał od stolika, pozbierał kufle przyjaciõł i podszedł do baru. Za chwilę przed kaźdym z nich stała druga kolejka zimnego piwa.

– Można powiyecie, co mõm ptõka abo za fest sãpia, nale zdoło mi sie, że coś zech na tym szpilu uwidziõł – odezwał się tajemniczo, siadając.

– A jõ, krõm Michalskigo, co nõs pogrõnżył, niy widziõł zech nic ciekawego – stwierdził Albert z wyraźnym smutkiem na pociągłej twarzy.

– Zakurz sie. – Adolf podał Tomalli papierosa. – A potym gõdej, bo widza, co ci to richtich niy dõwõ pokõj.

– Ino niy myślcie, co jõ je gupi abo ôżarty, bo pijymy do-piyro drugõ raja – odparł Alfred i swoim zwyczajem podrapał się po łysiejącym czole.

– Gõdej, chowie. Znõmy cie ôd bajtla, wiymy, kej fanzõlisz – odparł Melcer z udawanã powagã.

– Toś mie pocieszył. – Na twarzy Alfreda pojawił się nieśmiały uśmiejch. – Na szpilu, kej my czekali, aże Michalski wciepnie tor, i wszyscy patrzyli ino na niego, ôbejrzoł zech sie i zobõczyłech srogigo chopa w brõnõtnym mantlu. Prawie sie cis miyndzy ludzi. Chop kej chop. Ino mioł take rzadne ryże wosy.

– To juź wiym, pojakymu Michalski niy wciepnõł tego tora. Boś, pierõna kandego, uwidziõł ryszawego – zarymował Albert.

– Fanzölisz choby potuczöny. – Alfred popatrzył na przyjaciela spode łba – Niy idzie ô to, że böł ryszawy, ino ô to, że zdöwało mi sie, co kajś zech go już widzioł.

– I już wiysz, fto to bezmaść böł? – zapytał Adolf, popijając piwo.

– Już niy wiym... – Tomalla znowu podrapał się w głowę.

– Niy bydź kej bajtel, niy dej sie prosić. Przeca niy bydymy sie śmiöć – uspokajał go posterunkowy.

– Zdöwało mi sie... – Alfred zaciągnął się papierosem i zniżył głos – co tyn chop to böł... Salzmänn – wydukał i od razu napił się piwa.

– To ci sie richtich zdöwało. Salzmänn już ôd wiosny leży na Starym Smyntörzu w Świyntochłowicach. Söm zech wachował przy trule, coby žödyn niy pröbowoł przy nij majstrować – odparł szczerze zdziwiony Melcer.

– Po mojymu to za fest sie starösz, coby zaś niy böło włömaniö, i bezto ci sie już zdöwö – osądził spokojnie Adolf, podnosząc ze stołu paczkę papierosów. – Jö bych bardziej chcioł, coby chycić Inga na gorkim uczynku, boch je zicher, co ôna wös öbkrödö. Potym zaś mordyrza Salzmann, bo zdö mi sie, co ftoś mu pömög przekludzić sie na tamtyn świat.

– Patrz, a tego żeś mi niy gödoł, co kogoś podejrzewösz ô te kradzieże U Mally’ego, i to jeszcze baba. A po jakymu żeś do tego doszoł? – odparł urażony Melcer.

– Niy gorsz sie, nale niy miołch ani czasu, ani pömyślönku, coby iś z tym do ciebie. Kej my wachowali z Alfredym, to po ćmöku zdöwało mi sie, co tyn kradziök to niy może być chop. Za mały i za chudy. Potym Frida Klose – ta mało, co jöm nöjsömprzöd wyciepli – tyż go öböczyła i pedziała mi to samo – stwierdził poważnie Adolf.

– Gödösz, co tyn kradziök to mö być baba i mianuje sie Inga? A jak mö na nazwisko? – spytał posterunkowy.

– Bittner. Inga Bittner. Cosik ci to gōdō? – zapytał Jendrysek.

– Juž žech ci padoł, co ta libsta ôd Salzmanna mianowała sie na „p” abo na „b”... i tukej Bittner by sztimowało, nale przeca niy zapytōm sie kōmisorza, a dōchtōr Wolnik pojechał na urlaub i dopiero bydzie nazōd pod kōniec nastympnego tydnia. A tak po prōwdzie, jes żeś zicher, co to je ona? – dodał posterunkowy.

– Myśla, że ja. Ino musza to udowodnić. A ty, chowie – poklepał Alfreda po plecach – niy starej sie. Dopadnymy jōm, ino muszemy cosik ôbsztalować.

– Dzisiej nōjgorsze, co bez tego gizda diōseckigo – niy byda gōdoł jigo miana – czōrta dopōlōnego, niy wyleźlimy z grupy – dodał zrezygnowany Melcer.

Trzej kompani jeszcze długo siedzieli przy piwie. Żadnemu nie chciało się wracać do domu, żeby nie słyszeć: „Przeca gōdałach, co te wasze ôberwańce i tak niy wygrajōm”.



## Rozdział VII

Adolf już w piątek zaplanował, że niedzielę spędzi z rodziną. Zwłaszcza że ostatnio nie poświęcał żonie i dzieciom zbyt wiele czasu. Chciał wyjechać za miasto i zapowiadało się, że nawet nieznośny ból głowy nie może mu w tym przeszkodzić. Ale kiedy wrócili z porannego nabożeństwa, rozpętała się burza, która zmusiła Jendryska do porzucenia planów wypoczynku na łonie natury. Zbyttno się tym zresztą nie zmartwił, a nawet ucieszył, bo mógł w spokoju dojść do siebie po ciężkim sobotnim wieczorze.

– Jes żech ciekawõ, wiela jeszcze wytrzymie tyn nasz kościõł  
– zagadnęła Hajdelka, stawiając na stole w jadalni poranną kawę i bułeczki z aromatyczną malinową konfiturą własnej roboty, po które spod stołu zaraz sięgnęły małe dziecięce rączki.

– Niy wiyim, nale chyba niy za dugo. To bez ta gruba. Co niydziela przibywo rysõw. Dzisiej õbõczyłech nowõ nad głównym wejściym – odparł Adolf i napił się kawy.

– Bydymy musieli jezdzić do Chorzowa choby nasze staziki. A bõło tak blisko – narzekała Hajdelka.

– Niy starej sie naprzõd, bo jeszcze go niy rozebrali. Na razie mõmy kaj rzykać – pocieszył ją. – Farorz Scholz cołki czas przy nim majstruje. Można cosik wymyśli.

– Chciałabych, coby Werner i Helga mieli kõnfirmacyjõ u nõs, a niy kaj ińdzij – zaczęła szydełkować, huśtając się w bujanym fotelu.

Rozpogodziło się dopiero przed wieczorem. Zachodzące słońce przeglądało się w wypolerowanym deszczem bruku. Ku ogólnemu zdziwieniu mieszkańców – przyzwyczajonych do codziennego smrodu i dymu – zapach późno kwitnących w tym roku lip zmieszany z intensywną wonią maciejki wyciągał z domu niczym pełnia księżycy wabiąca lunatyków. Jendryskowie wyszli na spacer sami. Dzieci postanowili zostawić w ogródku sąsiadów, którzy razem z synami rozpalali wieczorne ognisko. Główną ulicą Józefa Piłsudskiego spacerowały pary zakochanych, przed domami mężczyźni grali w szkata i palili fajki, a kobiety siedziały w laubach, w międzyczasie nawołując swoje pociechy do domów. Gdy wrócili, Adolf położył się wcześniej, zaś Hajdelka poszła odebrać Helgę i Wernera.

Radca wstał o świcie, ubrał się i schował dokumenty do skórzanej teczki.

– Hajdelka, narychtuj mi dzisiaj śniødanie do biõra, bo chca jak nõjwcześnij zacząõć. – Stanõwszy w drzwiach kuchni, zobaczył żonę opatrującą małej Heldze obolałe stopy.

– Coś ty zaś nawynõkwiãła?! – krzyknął wystraszony nie na żarty.

Helga zaczęła cichutko łkać, a matka – zacisnõwszy zęby – nie przerywała owijania stóp dziecka jałowõ gazõ.

– Nic – odpowiedziała, połykając łzy i spoglõdajõc na ojca wielkimi piwnymi oczami.

– Gõdej õjcu, kej pytõ – ponagliã jõ zniecierpliwionõ Hajdelkõ.

– Gõdej, co zech sie jeszcze fest niy znerwowõł.

– Wetã zech sie.

– Jõ wiedziõł. A õ co?



– Co kej przejda gołymi szłapami po gorkich wōnglach, dostana cołko tytka liebesperlōw – odparła Helga, wyciągając papierową torebkę pełną kolorowych landrynek wielkości perełek.

– No to do kōńca tydnia siedzisz w dōma i jysz liebesperle – stwierdził uspokojony nieco Adolf.

– Ino kupa ôstudy z tōm dziouchōm. To je zepsute synczy-sko – podsumowała Hajdelka, a w jej głosie dało się słyszeć zmęczenie nieobliczalnymi pomysłami córki.

– Spuchniōne czoło, poparzōne szłapy. Co ty jeszcze nawywijōsz? – Ojciec zapytał Helgę z wyrzutem.

– Już sie dōwōm pokōj. Te wety sie niy wercōm – stwierdziła dziewczynka z powagą.

Rodzice wybuchnęli śmiechem. Hajdelka zabrała się za przygotowywanie mężowi śniadania, a Adolf wziął córkę na rękę i zaniósł do pokoju.

– Ino ôbiecej mi, co już skōńczysz z tymi wetami – stwierdził, kładąc Helgę na łóżko.

– Ôbiecuj. Już niy byda suchać gupich dorad – zapewniła go i pocałowała ojca w czoło tak, jakby to on był dzieckiem.

W biurze czekało go więcej pracy, niż przypuszczał, ale nie przejmował się tym zbyt. Chciał na chwilę zapomnieć o Salzmannie, skradzionych rzeczach, Alfredzie, a przede wszystkim o Indze, na której wspomnienie ścisnęło go w gardle. Odganiając natrętne myśli, jako człowiek praktyczny pocieszał się, że z takich kobiet nie ma wielkiego pożytku. Nie potrafił wyobrazić sobie Ingi z gromadką dzieci przy boku gotującej obiad.

Cały poniedziałek i wtorek przesiedział w pracy, wypełniając stosy dokumentów i przyjmując interesantów. Papierów ubywało wprost proporcjonalnie do zbierających się w popielniczce niedopałków. Kiedy słońce chowało się za murem

familoka po przeciwnej stronie ulicy, Adolf postanowił wyrzucić niedopałki i wracać do domu. W chwili gdy pochyłał się nad koszem, drzwi biura gwałtownie się zatrzasnęły. Odwróciwszy się, zobaczył leżącą na podłodze zwykłą zieloną kopertę. Podniósł ją i szybko obejrzał. Nie było na niej adresata ani nadawcy. Wyskoczył z biura, rozejrzał się po ulicy, ale nikogo nie zauważył. Wrócił i ostrożnie otworzył przesyłkę. W środku znalazł wydrukowane na firmowym papierze restauracji U Mally'ego zaproszenie na piątkową degustację dwóch nowych trunków chorzowskiej fabryki likierów Meisner, Poniecki & CIE. U dołu dopisano: „Dla jednej osoby”.

\*\*\*

Mimo zapewnień przyjaciółek Inga nie mogła znaleźć sobie miejsca. Myślała nawet o wyjeździe. Na jakiś czas. Ale obawiała się, że jej nagłe zniknięcie może się wydać podejrzane. Dlatego postanowiła pozostać w mieście i zapomnieć. Najlepiej rzuci się w wir życia towarzyskiego. Wierzyła, że wszystko się ułoży. Opuści tę norę przy Kolejowej, w której czuje się niczym ptak do niedawna wolny, a teraz zamknięty w ciasnej klatce. Po wszystkim wyjedzie i wreszcie rozpocznie dostatnie życie. Nie widziała się w roli żony śląskiego robotnika z gromadką dzieci. Nie umiała gotować, nie lubiła sprzątać. Czuła się kobietą wyzwoloną. Jedyne, na czym się znała i co kochała, to moda. Tak. Nie ma się czym martwić. W najgorszym wypadku znajdzie pracę w jakimś ekskluzywnym domu mody w rodzinnym Chorzowie, na przykład w Domu Konfekcyjnym przy placu Wolności albo u Heizla czy Zeldera. Nieco uspokojona postanowiła iść na zakupy. Nic tak nie koi kobiecych nerwów jak nowa sukienka czy kolejna para eleganckich butów. Dom mody Rudolfa Bartona przy ulicy

Bytomskiej 12 wydał się jej najlepszym miejscem do spełnienia wszystkich kobiecych zachcianek.

Po powrocie okazało się, że wcale nie czuje się lepiej. Piękna wieczorowa suknia i para idealnie dobranych czarnych bucików tylko na chwilę odeгнаły dręczące ją myśli. „Co będzie, jeśli ją złapią? A przecież musi wrócić do Mally’ego jeszcze co najmniej dwa razy.”

– Jerōnie! Zaś zakupy! Tyś chyba ôgupiała z tymi łachami!  
– Szorstki głos starej Valeski Bittner przerwał potok trapiących Ingę myśli. – Przeca życiō ci niy styknie, coby to wszystko ôbnosić. Mōsz. Dzisiej ftoś to do ciebie prziniōs. – Podała dziewczynie zieloną kopertę.

Młoda Bittnerówna usiadła na łōzku i drżącymi rękami otworzyła przesyłkę: „W piątek trzeciego sierpnia restauracja U Mally’ego uprzejmie zaprasza na degustację nowych trunków chorzowskiej fabryki likierów Meisner, Poniecki & CIE”. U dołu widniał dopisek: „Dla jednej osoby”. „Nareszcie miła odmiana” – pomyślała Inga. Nie zastanawiała się długo nad powodem tego zaproszenia. Może ktoś z obsługi pamiętał jej wizyty w restauracji jeszcze z czasów Salzmann’a. Postanowiła, że w piątkowy wieczór założy zakupioną dziś kreację. Czarne myśli wyparowały jak za dotknięciem czarodziejkiej różdżki.



## Rozdział VIII

W piątkowy wieczór U Mally'ego zebrała się elegancka klientela. Byli i tacy, którzy aby skosztować nowego specjału znanej chorzowskiej firmy, przyjechali z Katowic, Nowego Bytomia, a nawet z leżącego za granicą Hindenburga. Sala restauracyjna zapełniała się gośćmi, a damy prezentowały najnowsze kreacje zgodne z ogólnoświatowymi trendami. Na przekór poprzedniej dekadzie moda lat trzydziestych znów pokochała zgrabne kobiece ciało, zachęcając panie do ekspozowania smukłej talii, kształtnych bioder i głębokiego dekoltu. Dlatego w oczekiwaniu na rozpoczęcie degustacji męskie oczy wodziły za każdą z wchodzących do sali piękności.

Adolf przebrał się w pokoju służbowym kierownika baru. Zadbał o to, aby garnitur zakupiony w sklepie z konfekcją męską Leopolda Prawera dostarczono wcześniej. Nie chciał niepokoić żony nadmiernymi wydatkami, wolał też uniknąć niepotrzebnych pytań z jej strony. Tłumaczył sobie, że jest tutaj służbowo i w tej sytuacji nie może zwracać sobie głowy dodatkowymi problemami. Nie lubił przyjęć, które większość gości traktowała przede wszystkim jako możliwość pokazania się. Bywał w towarzystwie tylko z powodów zawodowych, cały czas pamiętał, że pochodzi z robotniczej rodziny, a jego rodzice przyjechali za chlebem do Lipin z podopolskiej wsi. Na razie jednak odłożył te myśli na bok. Na wszelki wypadek ściągnął obrączkę i schował ją do kieszeni. Następnie wszedł

do sali restauracyjnej, po czym usiadł przy wskazanym przez kelnera stoliku.

\*\*\*

Tego dnia Inga postanowiła porzucić czarne myśli i spędzić wieczór na zabawie. Od śmierci Salzmanna nie była na żadnym raucie ani nawet na przyjęciu, a ciągłe zakupy i kawy z przyjaciółkami powoli zaczynały ją nudzić. Dziś obiecała sobie dobrą zabawę i tej obietnicy zamierzała dotrzymać.

Stanąwszy przed wielkim lustrem w ciemnej sypialni, którą odstąpiła jej ciotka, dobitnie podkreślając: „Kej sie gibko czego niy znōjdiesz”, aż oniemiała z zachwytu. Mimo przejściowych kłopotów dawno nie była w tak dobrej formie. Obawiała się, że częste wizyty w miejscowych kawiarniach odbiją się na jej figurze, ale ku jej zadowoleniu nic podobnego się nie stało. Po drugiej stronie lustra stała oszałamiająca piękność o idealnych kształtach greckiej bogini. Światło – odbijające się od połyskującego materiału sukni – tworzyło smugi podkreślające jej smukłą talię. Lśniące brązowe włosy upięta srebrną spinką z rubinowym oczkiem – pamiątką od ukochanego – która, miała nadzieję, odmieni jej los. Założyła czarne lakierowane pantofelki, aksamitny kapelusz tego samego koloru, narzuciła cienkie palto i wybiegła z domu. Lekkim krokiem zmierzała do restauracji U Mally’ego, nie zważając na oglądających się za nią mężczyzn.

\*\*\*

– Witam szanowne grono. – Głos krępego łysawego jegomościa prowadzącego wieczorną imprezę wyrwał Adolfa z zamyślenia. – Panie i panowie. Chciałbym przedstawić

najnowszy produkt szanowanej na rynku alkoholi królewsko-huckiej, o pardon... od czerwca już chorzowskiej wytwórni Meisner, Poniecki & CIE. Dziś mają państwo niepowtarzalną okazję spróbować dwóch wyrobów niedopuszczonych jeszcze do masowej produkcji – śląskiego likieru weselnego Trojak. – Pulchną dłonią wskazał na przezroczystą butelkę wypełnioną jasnoczerwonym płynem i opatrzoną niebieską etykietą. – W tak czarowny letni wieczór należy się weselić, toteż śląski likier weselny umili szanownemu państwu atmosferę...

– Przepraszam. Kelner wskazał mi ten stolik. Można?

Adolf, odwróciwszy się w kierunku, z którego dochodził głos, aż oniemiał z wrażenia. W lśniącej czarnej sukni stała przed nim zjawiskowa Inga Bittner.

– Oczywiście. – Radca podskoczył, aby odsunąć jej krzesło. – Towarzystwo pięknej damy to miła odmiana tego wieczoru – wykrztusił z siebie.

– Mam wrażenie, że pana skądś znam – stwierdziła, podstawiając Jendryskowi do zapalenia długiego papierosa w szklanej lufce.

– Owszem – zawahał się, ale mówił dalej: – Próbowałem z panią rozmawiać na temat Salzmanna, ale udało się pani mnie pozbyć – odparł, służąc kobiecie ogniem.

– Rzeczywiście – skrzywiła się. – Radca prawny Adolf Jendrysek. Mam nadzieję, że dziś nie będzie mnie pan stawiał w niezręcznym położeniu? – zapytała, mrużąc oczy.

– Ależ droga pani, dzisiejszego wieczoru nie jestem w pracy i tak samo jak pani zamierzam się dobrze bawić – uśmiechnął się spłoszony własną śmiałością.

– Uspokoił mnie pan nieco – odetchnęła z ulgą. – Pan nie pyta, ja nie odpowiadam...

– I vice versa – przerwał jej, zaciągając się cygarem najbardziej nonszalancko, jak tylko potrafił.

– Zatem umowa stoi – odpowiedziała, a na jej twarzy pojawił się słodki uśmiech.

– Zgodzi się pani popróbować specjałów, które ten łysawy jegomość od Meisnera i Ponieckiego tak zachwala? – zapytał, odwracając głowę w kierunku stołu zastawionego butelkami Trojaka i Beskidówki, której reklamy, zajęci rozmową, nie zdążyli usłyszeć.

– Oczywiście. Przecież po to tu przyszłam – odpowiedziała, gasząc papierosa.

Jendrysek odetchnął z ulgą. Potrzebował czegoś na ośmieszenie. Czuł, że zdrętwiałe kończyny odmawiają mu posłuszeństwa, sztywne niczym sterczące gałęzie uschniętego drzewa. Gdy kelner podał dwie kolejki Trojaka i Beskidówki, Adolf wychylił wszystkie cztery szklaneczki jedna za drugą. Inga zaś sączyła powoli, zwłaszcza Trojak o pięknym rubinowym kolorze i wyrazistym smaku malin, i poziomek. Prowadzącego wieczór zastąpiła orkiestra, która dźwiękami szybkiego charlestona zaprosiła gości do tańca. Goście jakby na to czekali i w mgnieniu oka sala taneczna zapełniła się wirującymi parami.

– Pani tańczy? – zapytał nagle, zaskoczony swoją śmiałością.

– Owszem – odparła i podała Adolfowi rękę.

Radca nie należał do mistrzów parkietu, jednak rozluźniony mięśnie alkoholem, nie odstawał zbytnio od reszty tańczących. Nerwy powoli puszczały i znów zaczął myśleć, w jaki sposób skłoni Ingę do mówienia. Za to Inga czuła się nad wyraz dobrze u boku tego niewysokiego przystojnego bruneta o przenikliwym, inteligentnym spojrzeniu. Jak bardzo się myliła, myśląc, że radca pracuje dla policji albo co gorsza jest detektywem i prowadzi prywatne śledztwo. Cały wieczór upłynął im na tańcach przerywanych kolejkami trunków, które



wyjątkowo przypadły gościom do gustu. Łysawy jegomość od Meisnera, Ponieckiego & CIE uznał wieczór za udany i oznajmił na pożegnanie, że chorzowska wytwórnia alkoholi pierwszą partię Trojaka i Beskidówki wypuści w przyszłym roku. Po twarzach niektórych panów przemknął grymas rozczarowania, ale łysawy jegomość ukontentował ich, zostawiając każdemu po butelce obu likierów. Niektórzy z gości zaczęli wychodzić, powoli dołączali do nich inni, aż sala prawie opustoszała. Inga poczuła się senna.

– Pewnie mają tutaj jakieś wolne pokoje. Jestem zbyt zmęczona, aby iść do domu. – Szklanym wzrokiem spojrzała na Adolfa.

– Zapytam – odparł i podszedł do baru.

– Möcie jakõs wolnõ izba? – zapytał Tomallę, który jak na zawołanie wyszedł z zaplecza. – Dama je juź wykamanõ – dodał z uśmiechem.

– Ja. Cosik sie znõjdzie. Ino niy rõb gupot – przestrzegł go Alfred, podając klucz do jednego z pokoiw.

– Dej pokõj. Zaprowadza jõm na wierch i pomyslymy, jak z niõm gõdać – odparł i podszedł do stolika.

Wziawszy Ingę pod ramię, próbował zaprowadzić ją na górę. Niestety była zbyt słaba, żeby iść o własnych siłach, dlatego wziął jej bezwładne ciało na ręce, wniósł po schodach i położył na łóżku. Zapach jej perfum rozniósł się po pokoju, mieszając się z wonią alkoholu i leśnych owoców. Spodobała się Adolfowi ta dziewczyna – z jednej strony posągowo piękna, z drugiej zaś wyjątkowo swobodna w obyciu. Zreflektował się zaraz, wszedł do łazienki i włożył głowę pod kran. Nie mógł przecież zapomnieć, po co tutaj przyszedł. Mimo to przeklinał Alfreda, który dał mu klucz do najbardziej oddalonego od recepcji pokoju. Wyszedłszy z łazienki, stwierdził, że to elegancka sypialnia z małżeńskim łóżem nakrytym złotą satynową

narzutą. Delikatnie rozpiął dziewczynie buty i ustawił pod łóżkiem, po czym okrył ją kołdrą. Podniósł się i chciał już wyjść, gdy jego wzrok jeszcze raz padł na parę damskich pantofelków, które przed chwilą sam równiutko ustawił pod łóżkiem. Wziął jeden z nich i dokładnie obejrzał ze wszystkich stron. Kształtem przypominał te od Baty z kolekcji Santa Fe. Schował but pod marynarką i po cichu zamknął drzwi pokoju. Idąc na dół, pomyślał, że w sytuacji, kiedy nie wiedzą, jak zachowa się Inga podczas rozmowy, pokój na szarym końcu hotelowego korytarza to bardzo sprytny pomysł. Szybko zszedł po szerokich hotelowych schodach wyłożonych ciemnoczerwonym dywanem. Alfred czekał już na niego przy jednym ze stolików, a hotelowa obsługa uwijała się, sprzątając salę restauracyjną.

– Usnęła – stwierdził Adolf, siadając obok przyjaciela i zapalając papierosa. Tego wieczoru na cygara nie mógł już patrzeć.

– Jak chcesz z niõm gõdać? – zapytał Alfred i rozciągnął pod stołem nogi.

– Jeszcze żech õ tym niy myõsło, nale coś musimy sprawdzić – odparł Jendrysek, stawiając na stole czarny lakierowany pantofelek.

– Jerõnie, co ty to robisz? Szczewikõw niy stawiõ sie na stole. To je na õstuda. – Alfred szybkim ruchem zdjął but ze stolika.

– Alfred, tyõ je choby ta starõ Bańczyczka, co mieszko wele nõs na drugim sztoku. Kej czõrny kot przeleci jij bez drõga, to idzie nazõd do dõm, choby sie põlyto – zaśmiał się radca.

– Gõdej, co chcesz, nale jõ swoje wiym – stwierdził urażony Tomalla. – Po co ci tyn szczewik?

– Zbiyrej sie. Idymy do pywnice. Spasujmy go do õladõw tamtych szczewikõw. Dyć õne sõm bezmaõc take same – odrzekł Adolf, wstając od stolika.

– Kej ôna moze zarôzki wstôc – stwierdził Tomalla nerwowo, drapiąc się po łysiejącym czole.

– To drabko leć po klucze – ponaglił go Jendrysek.

W piwnicy skierowali się wprost na miejsce, w którym wcześniej znaleźli najwięcej kobiecych śladów. Adolf schylił się i postawił pantofelek na pierwszym prawym śladzie, jaki znalazł.

– Gynau – powiedział do siebie zadowolony.

Potem jeszcze spróbował na dwóch innych. Podniósł się, a na jego twarzy było widać ukontentowanie.

– Mōmy jōm Alfred. To sōm gynau te same ślady. Nawet krōmflek sztimuje.

– Ty mōsz łeb. – Na twarzy Tomalli również pojawił się uśmiech.

– Niy puszczy my jij, kej sie niy prziznō – stwierdził non-szalancko radca, wychodząc z piwnicy. – Ida na wiyrch. Czas, coby wstała.

\*\*\*

Inga się przebudziła. Na początku nie wiedziała, gdzie jest, ale później przypomniała sobie, że poprosiła o pokój. Rozejrzała się wokół i stwierdziła, że taki pokój chciałaby mieć u ciotki. Wielkie łóżko, miękka pościel, eleganckie meble. I łazienka. Cóż więcej trzeba kochającej luksusy samotnej dziewczynie. Pomyślała, że Adolf nie chciał jej przeszkadzać i zostawił, aby się przespała. Jak to miło z jego strony. Trochę bolała ją głowa, ale starała się nie zwracać na to uwagi. Wtem coś jej się przypomniało. Radca nie nosił obrączki.

\*\*\*

W korytarzu paliło się kilka zawieszonych na ścianach lamp, które dawały słabe światło. Adolf zastanawiał się, w jaki sposób rozpocznie rozmowę. Miał nadzieję, że nie będzie musiał użyć siły. Tego nie chciał najbardziej. Rozmyślając, dotarł pod drzwi pokoju. Stał jeszcze chwilę, zanim nacisnął klamkę. Wewnątrz panował mrok, miejscami rozjaśniony światłem księżyca, które padało na kołdrę pionowymi srebrnymi smugami. Zdawało mu się, że Inga śpi. Usiadł na łóżku i odstawił pantofelek na miejsce. Żeby przyzwyczaić wzrok do ciemności, popatrzył w okno. Nagle poczuł na ramieniu miękki dotyk czyjeś dłoni. Odwrócił się, a jego usta dotknęły ust Ingi. Znieruchomiał. Kątem oka zauważył, że na krześle przy niewielkim okrągłym stoliku leży suknia dziewczyny. Zesztywniał jeszcze bardziej. Rozpinając guziki jego koszuli, Inga nie przestawała go całować. Poczuł, jak ze zdejmowanymi częściami garderoby ulatują mu z głowy wszystkie myśli. Nie potrafił się bronić. Wydawało mu się, że razem z ciałem dziewczyna zawładnęła też jego umysłem. A przecież miało być odwrotnie. Nigdy wcześniej nie spotkał kobiety tak delikatnej, a jednocześnie tak stanowczej w działaniu. Dał się porwać chwili. Niczym najbardziej wyszukane danie smakował każdy centymetr jej ciała.

\*\*\*

– Wykąpię się – powiedziała Inga, całując tors Adolfa.

Gdy okryta ręcznikiem wyszła z łazienki, zastała Jendryska siedzącego przy stoliku w kompletnym ubraniu.

– Myślałam, że ci się podobało – odparła na ten widok urażonym tonem.

– Owszem – uśmiechnął się i zapalił papierosa.

Po tym, co go spotkało, fascynacja urodą dziewczyny minęła, a jego wielka nieśmiałość wobec kobiet ulotniła się

niczym dym z papierosa, którego właśnie zapalił. Inga stała się jedną z wielu, które znał, niekoniecznie tak blisko. Ku własnemu zdziwieniu poczuł się silniejszy niż dotąd. Już nie szukał słów, a język ani kończyny nie drętwiały.

– Ubierz się. Musimy wrócić do rozmowy, której tak bardzo chciałaś uniknąć – odparł chłodnym tonem.

– Dzisiejszego wieczoru obiecałeś dać mi spokój – odparła obrażona.

– Chciałaś powiedzieć: „wczorajszego”. Dziś mamy już sobotę, co do której niczego nie obiecywałem – stwierdził, zaciągając się papierosem.

– Nie mam ci nic do powiedzenia. Wracam do domu – odpowiedziała, wkładając suknię. Gdy sięgnęła po buty, pod łóżkiem stał tylko lewy.

– Tego szukasz? – zapytał Adolf, a przed nim na krześle w świetle lampy lśnił czarny pantofelek. – Oddaję zgubę. Już wnosiłem cię na górę. Znosić nie zamierzam.

– Zgubę? Po co ci był mój but? – zapytała, włożywszy go na nogę. – Wychodzę – zabrała kapelusz i nie czekając na odpowiedź, skierowała się do drzwi.

– Zamknięte – stwierdził Adolf. – Ponieważ nie masz ochoty na spokojną rozmowę o Salzmannie, będziesz musiała gdzieś ze mną pójść – dodał, a na jego twarzy pojawił się grymas, którego wcześniej nie zauważyła.

– Powiesz mi, gdzie mam iść, albo zacznę krzyczeć. – Próbowana odpowiadać stanowczo, ale wargi jej drżały.

– Proszę bardzo. I tak nikt cię nie usłyszy. Goście twardo śpią po wczorajszym wieczorze. – Otworzył przed nią drzwi.

Podniosła wysoko głowę i przeszła obok Adolfa, obrzucając go szyderczym spojrzeniem. Gdy ten zamykał pokój, powiedziała:

– Wykorzystałaś mnie. Niecznie mnie wykorzystałaś.

– Ja to widzę inaczej. Nie rzucałem się w twoje ramiona. To był twój pomysł. Powinnaś być dumna, że ci uległem – stwierdził z sardonycznym uśmiechem. – A teraz zapraszam na dół – wskazał na schody.

Gdy schodzili głównym wyjściem, Inga zerwała się do drzwi, ale Adolf przytrzymał ją silnym uściskiem.

– Tędy, szanowna pani – wskazał ręką w kierunku piwnicy.

Dziewczyna zatrzymała się na moment, spojrzała na niego zdziwionym wzrokiem, po czym ruszyła naprzód. Na dole czekał Alfred Tomalla.

– Alfred Tomalla. Kierownik baru – przedstawił się elegancko Tomalla.

Cała trójka znalazła się w piwnicznej spiżarni, z której tydzień temu zniknęły butelki najdroższego wina. Adolf szedł pierwszy, za nim Inga, a na końcu Alfred. Jendrysek przystanął nagle i popatrzył na betonową podłogę. Spojrzawszy w to samo miejsce, Inga znieruchomiła.

– To twoje ślady, Ingo. – Adolf szepnął jej na ucho.

– Absolutnie – odparła podniesionym głosem. – W co ty chcesz mnie wplątać? – zawołała.

– W marcu u Cyryla Waleckiego kupiłaś czerwone pantofelki od Baty, model Santa Fe. Potem podczas remontu piwnicy przyszłaś tu z Salzmannem i zostawiłaś te ślady na świeżo wylanym betonie – powiedział twardo Jendrysek. – To ciebie widziałem tydzień temu, pakującą do torby butelki wina z tego regału – wskazał ręką na puste półki pod oknem.

– Bzdura! Te ślady mogło zostawić wiele kobiet. Skąd przypuszczenie, że to właśnie ja? Nigdy nie udowodnisz, że tu byłam! – broniła się, czując, że jej twarz czerwienieje.

– Zdejmij bucik, Kopciuszku – zażartował Adolf. – I podaj mi go z łaski swojej.

Alfred przyglądał się tej scenie w milczeniu i tylko od czasu do czasu nerwowo drapał się po czole.

– Proszę. – Stając na jednej nodze, z pogardą na twarzy podała Adolfowi jeden z butów.

– Teraz popatrz. – Radca postawił pantofelek na jednym ze śladów, a podeszwa i obcas idealnie wpasowały się w pozostawione w betonie otwory.

– To niczego nie dowodzi. Nie tylko ja noszę piątkę – odparła z sarkastycznym uśmiechem na ustach.

– O dowodach porozmawiasz z policją. Nasza rola tutaj się kończy. Zapraszam na górę – odpowiedział sucho i zwrócił się do milczącego Tomalli:

– Alfred, szkyrtnij ino na policyjō. Dej im znać, co my chycyli tego kradziōka, co go ōd tydnia niy poradzōm znōjś.

– Cóż wam po policji? I tak nic na mnie nie macie. Odcisk buta? Źałosne – odparła Inga, obrzucając Jendryska nienawistnym spojrzeniem.

Gdy weszli do pustej restauracji, wszystkie krzesła były podniesione, a sprzątaczką wycierała podłogę. Jeden z kelnerów zastąpił dzwoniącego na policję Alfreda, ściągając krzesła ze stolika w głębi sali.

– Czy coś państwu podać? – zapytał, kłaniając się wpool.

– Poproszę o gorzką herbatę – odpowiedziała Inga, siadając do stołu.

– Pani nie czuje się dobrze – wyjaśnił kelnerowi Jendrysek.  
– Dla mnie kawa. Czarna i mocna – dodał.

– Zarōzki przijadōm – odparł Alfred, który przed chwilą minął się z odchodzącym kelnerem i usiadł obok Adolfa.

Za chwilę na stoliku pojawiły się białe porcelanowe filiżanki z pobliskiej Huty Franciszka. Wszyscy troje milczeli. Inga drżącymi dłońmi objęła filiżankę i zaczęła powoli sączyć gorący napój. Utraciwszy całą pewność siebie, wyglądała

niczym mała dziewczynka oczekująca na karę za wyrządzoną wcześniej psotę. Na twarzy Adolfa nie sposób było dostrzec żadnych emocji. Machinalnie sięgnął po papierosy i poczęstował Alfreda. Po chwili, w oczekiwaniu na policjantów, obaj bezgłośnie wypuszczali kłęby dymu.

– Dobry wieczór, a raczej dzień dobry. – Głos starszego posterunkowego Pawła Esterskiego wyrwał całą trójkę z zamyślenia. – Mieliśmy telefon, że złapaliście złodzieja. – Esterski powiódł wzrokiem po pustej sali. – Zaprowadźcie mnie do niego.

– A, to wy – stwierdził Jendrysek z niesmakiem, ale zaraz zmienił ton, gdy zza Esterskiego wyłonił się posterunkowy Albert Melcer.

– Tutaj. – Alfred wskazał na siedzącą obok Ingę.

– Tutaj, to widzę panów w towarzystwie szanownej narzeczonej świętej pamięci Georga Salzmann. Uszanowanie wielmożnej pani. – Posterunkowy pochylił się i polskim zwyczajem pocałował wierzch wyciągniętej dłoni Ingi.

– To właśnie jest złodziej – stwierdził nieco zbity z tropu Jendrysek.

– Z całym szacunkiem, radco, ale chyba nie ściągnęliście nas o czwartej nad ranem, żeby sobie z nas żartować? – Kanciasta twarz Esterskiego wykrzywiła się jeszcze bardziej.

– Jak widzicie, jestem śmiertelnie poważny – odparł Adolf z zaciętą miną.

– Szanownym panom uderzyły do głów nowe trunki serwowane przez jegomościa od Meisnera i Ponieckiego, i wymyślili, że to ja dokonałam tych wszystkich kradzieży. – Ośmielona przez Esterskiego Inga odezwała się znad filiżanki herbaty. – Jako dowód mojej winy wskazują pozostawione w betonowej podłodze piwnicy ślady damskich butów, które pasują do mojego rozmiaru.



– Nawet jeśli pani zostawiła te ślady, to w żaden sposób nie dowodzi jej winy – stwierdził Esterski, patrząc na Adolfa zimnym wzrokiem.

– Może i nie. – Jendrysek postanowił bronić swojej tezy. – Ale w tę noc, kiedy zobaczyłem złodzieja, wydawało mi się, że to była kobieta. Nie wspomniałem o tym, bo nie byłem pewien. Później moje przypuszczenie potwierdziła jednak Frida Kloze, mówiąc, że zjawą, którą widziała feralnej nocy w korytarzu, była raczej płci żeńskiej.

– Podczas przesłuchania niczego podobnego nie zeznała – stwierdził zniecierpliwiony Esterski.

– Przecież z góry założyliście, że dziewczyna jest winna i nie chcieliście jej słuchać – zachnął się Adolf. – Bała się, że jeśli wspomni o kobiecie w przebraniu, utwierdzi was w przekonaniu o swojej winie.

– Dobrze. Ale fakt, że złodziej był kobietą, nadal nie dowodzi, że kradła właśnie Inga Bittner. – Esterski trzymał się swojej wersji.

– Rozumiem, że nie jestem tu już potrzebna. – Inga wyчуła, że to jedyna szansa, aby uciec. – Zaczyna świtać, zatem pozwól panowie, że udam się do domu.

– Nie uważacie, starszy posterunkowy – włączył się do rozmowy milczący dotąd Melcer – że w tej sytuacji warto sprawdzić każdy trop? Nawet tak niedorzeczny jak ten?

– Jak chcecie to zrobić, Melcer? Błysznicie no swoim intelektem – zaśmiał się sarkastycznie Esterski.

Adolf zasępił się, a Tomalla swoim zwyczajem nerwowo gładził łysiejące czoło.

– Poczekajcie, panowie. – Jendrysek nagle wstał i wyszedł na zaplecze.

Już po chwili był z powrotem.

– Jeśli się jej nie pozbyła, powinna mieć torbę, do której pasuje ta skuwka z kawałkiem skóry. – Na otwartej dłoni Adolfa leżała srebrna metalowa skuwka wpięta w kawałek ciemnobrązowej skóry oderwanej od większej całości. – Ostatnio nie byliście nią zbytnio zainteresowani, ale jakoś nie miałem odwagi jej wyrzucić. Może teraz się wam przyda?

Twarz Ingi zastygła z przerażenia, ale od razu wróciła do poprzedniego wyrazu.

– Tym bardziej warto sprawdzić każdą poszlakę – stwierdził Melcer, patrząc na Esterskiego z wyrzutem. – Pozwolicie radco, że zabiorę skuwkę jako dowód w sprawie – dodał, wrzucając przedmiot do torebki.

– Dobrze więc – odparł zmieszany Esterski. – Pani pójdzie z nami, panno Bittner – zwrócił się do Ingi.

– Bez nakazu niczego nie wskóracie – oznajmiła wojowniczo.

– Melcer, zadzwonię do komisarza po nakaz przeszukania mieszkania Valeski Bittner przy Kolejowej, o ile się nie mylę, panno Bittner, siedem mieszkania sześć?

Inga nie odezwała się ani słowem.

– Niech Stanik Belka dostarczy go jak najszybciej – krzyknął za odchodzącym do telefonu posterunkowym.

– Panią proszę z nami. A szanownym panom dziękujemy. Wezwanie na komisariat przyjdzie w stosownym czasie – Esterski obrzucił obecnych wyniosłym spojrzaniem.

\*\*\*

– Nerwuje mnie tym Esterski. Różdzi się chyba u siebie – stwierdził Alfred, ale Melcer zdążył już Adolfowi dać znak, że jak tylko czegoś się dowie, zadzwoni.

– Niy nerwuj sie. Albert bydzie wachowoł, coby znōdli ta tasia i wziynli jōm na policyjō – odparł spokojnie radca.

– Niy ch wachuje, coby sie niy straciła na amynt – stwierdził nerwowo Tomalla.

– Tyś je richtich choby starō baba. Gōdōm ci, co Albert tego przywachuje. – Zapalił papierosa i zaczął bujać się na krześle, wypuszczając kółka dymu.

– A terōzki ida do dōm sie lygnōńć. – Zgasił niedopałek i wstał od stołu. – Przeblyka sie ino na zadku. Po co Hajdelka mō ōbōczyć tyn mōj nowy ancug. Zacznie wajać, a jō już dzisiej niy mōm gowy do słuchaniō babōw. – Nie czekając na reakcję Alfreda, zniknął za drzwiami jego służbōwki.



## Rozdział IX

Gdy Inga wychodziła z restauracji w towarzystwie policjantów, nad Bytomską zdawało się świtać. Mieszanina gęstej mgły i oparów z pobliskiej Huty Falva tamowała dopływ porannego światła i szczypała w oczy. Szli powoli, co jakiś czas napotykając wyłaniające się z mgły grupki robotników ciągnących szarą masą na poranną szychtę. Ich twarze wyglądały na zmęczone ciężką, monotonną pracą. Niektórzy byli nie tylko bardzo młodzi, ale i wyjątkowo przystojni. Każdy z tych młodzików zdawał sobie jednak sprawę, że siła i uroda przeminą, a jeśli dożyje czterdziestki, będzie się czuł i wyglądał jak starzec. Ale nikomu nie pozostawiano wyboru. Zwolnieni przymierali głodem albo kopali węgiel w pobliskich biedaszybach. Wszyscy starali się przetrwać.

Inga chętnie wmieszała by się w ten szary tłum, zwłaszcza że wśród robotników zauważyła kilka kobiet, które rozpoznała po zakrywających włosy chustkach. Jedna z nich ni stąd, ni zowąd splunęła dziewczynie pod nogi. Patrząc na rozmazany od gryzącego w oczy dymu makijaż i wystającą spod eleganckiego płaszcza czarną połyskującą suknię, pomyślała pewnie, że policjanci prowadzą na komisariat jedną z tych ladacznic, co to zamiast żyć skromnie, jak Bóg przykazał, bałamuca mężczyzn swoją urodą. Wtedy Inga przypomniała sobie wczorajszą noc i przyspieszyła kroku. Jeszcze nikt tak źle jej nie potraktował. Nienawidziła Adolfa z całego serca. Na razie jednak nie miała w sobie tyle siły, by obmyślać zemstę.

Tę kwestię postanowiła odłożyć na później. Póki co miała na głowie ważniejsze sprawy.

Na rogu ulic Katowickiej i Bytomskiej, przy wejściu do zamkniętych jeszcze delikatesów Lublińskiego, z gęstej mgły wyłonił się posterunkowy Stanik Belka.

– Komisarz przysłał nakaz. – Podał Esterskiemu zaklejoną kopertę. – Ale ostrzega, żebyście zbytnio nie wierzyli tym dwóm jegomościom, zwłaszcza radcy. Usłyszawszy jego nazwisko, szef poczerwieniał aż po czubki uszu – dodał, patrząc na Melcera z ironicznym uśmiechem.

– Ty się, mody, ô nic niy starej. My się poradzimy – odezwał się Albert poirytowany słowami Belki.

– Ja tylko przekazałem słowa komisarza – odgryzł się urażony posterunkowy.

Zaraz potem skręcili z Wolności w Aptechną i już chwilę później stali przed domem przy Kolejowej 7. Pchnęli ciężkie drzwi i weszli do ciemnej klatki schodowej, kierując się na pierwsze piętro.

– Jeronie, ta dzioucha kedyś gowy zapõmni – narzekła stara Bittnerowa, ubierając podomkę. – Przeca gõdałach, co mõ brać klucze. Niy styknie, że sie smykõ po nocy, jeszcze musza stõwać a dźwyrze õdmykać – marudziła do siebie w drodze do drzwi. – Gõdałach...

– Dzień dobry. Valeska Bittner? – zapytał starszy posterunkowy Paweł Esterski głosem poważnym i chłodnym, nijak niepasującym do mizernego wzrostu policjanta.

– Ja. A ô co sie rozchodzi? – zapytała Bittnerowa, rozpieając się w drzwiach.

– Przeprowadziliśmy zgubę. – Esterski wskazał ręką na stojącą za Melcerem Ingę. – Mamy też przeszukać to mieszkanie. Rozkaz komisarza – dodał, jakby nigdy nic, podstawiając Valesce pod nos kartkę przyniesioną przez Belkę.

– Co mōcie?! – krzyknęła Valeska Bittner. – Straciylach kajś bryle, a kej niy widza, to wōs niy wpuszcza, bo pōjakymu mōm wiedzieć, coście niy sōm jake przebiyrańce – stwierdziła z powagą.

– Dejcie pokōj, Bittnerko – odezwał się spokojnie Melcer. – My niy sōm żōdne przebiyrańce, ino nōjprōwdziwsze policaje. Szukōmy istnego, co ōbkrōd restauracyjō U Mally’ego. Dostalimy cynk, co to bezmaść bōła waszō Inga, i coby jōm ōczyścić z podejrzyń, musimy wōm przeszukać chaupa – dokończył najspokojniej, jak potrafił.

– Dziynka Bogu, coś ty, syneczku, jes nasz, a niy jakiś cha-dziaj, kej te dwa istne. Niy ma cie gańba z nimi łązić? – Spoj-rzawszy na oniemiałych z wrazenia policjantów, poprawiła podomkę. – Szukejcie, czego chcecie. Ino mi bajzlu niy narobić – dodała surowo. – A ty, starō kamelo, idziesz do kuchni. – Wzięła dziewczynę za rękę i wepchnęła do kuchni niczym małe niegrzeczne dziecko, po czym przekręciła klucz. Następnie usiadła w fotelu i wzięła do ręki niedokończoną robótkę.

Inga odetchnęła z ulgą. Zrzuciła płaszcz i podeszła do wielkiego białego byfyja, w którym jej ciotka chowała wszystko, czego potrzebuje szanująca się ślaska gospodyni. Otarcia na gałkach i wypukłościach frontów dolnych szuflad zdradzały ślady codziennego użytkowania. Nieco z tyłu w centralnym miejscu stał pojemnik na chleb. Powyżej w szybkach witryny, ciętych w kwiatowe wzory, odbijało się poranne słońce.

Dziewczyna włożyła rękę za byfj i z przerażeniem odkryła, że niczego tam nie ma. „Jak to? Przecież właśnie tu ukryłam uszkodzoną podczas ostatniej wyprawy torbę” – pomyślała. Jeszcze bardziej przysunęła się do ściany i ponownie spojrzała w szparę między murem a kredensem. Wtem w odbijającym się od okna świetle coś błysnęło. „Jest” – powiedziała do siebie i poczuła ulgę. Cichutko podeszła do drzwi, po czym

przyłożyła do nich ucho. Słyszała tylko stukanie zamykanych szuflad i skrzywienie otwieranych drzwiczek szaf. Stała po prawej stronie kredensu i z całej siły przyciągnęła go do siebie. Mimo że ciężki mebel przesunął się ledwie o kilka centymetrów, usłyszała dźwięk zsuwającej się na podłogę torby. Wygrzebała ją spod kredensu. Upewniwszy się, że nikogo nie ma na podwórzu obok, wyrzuciła torbę przez okno. Kiedy ciotka otworzyła drzwi, dziewczyna spokojnie nastawiała wodę na herbatę.

– Wiedziałem, że nic tu nie ma – stwierdził nerwowo Ester-ski, otwierając i zamykając szuflady kredensu. – Miałem nie słuchać ani was, Melcer, ani tym bardziej tych dwóch detektywów od siedmiu boleści – ciągnął dalej, coraz bardziej podnosząc głos. W końcu całując Ingę i jej ciotkę w dłoń, pochylił się przed kobietami w głębokim ukłonie i przepraszając, wycofał się do drzwi. Stara Bittnerowa odwróciła się tyłem do wychodzących policjantów, wycierając wierzch dłoni w podomkę.

\*\*\*

– W coś ty się, dzioucha, wplōntała? Niedoczekanie! W familiji Bittnerōw niy bōło jeszcze żōdnego kradziōka. Takō gańba! – chwyciła się za głowę.

– Przeca nic zech niy porwała. Ftoś padoł policajōm, co mie widzioł kraść U Mally'ego. Ino mu sie zdowało – odparła Inga na swoją obronę.

– Jō ci tam, dzioucha, niy wierza – stwierdziła stara ciotka, wycierając czoło chusteczką.

\*\*\*



Policjanci schodzili na dół w milczeniu. Każdy pogrążony we własnych myślach. Gdy wychodzili z klatki, minęła ich stara, tęga kobieta.

– Ô, szandary. – Zatrzymała się w progu. – Niy wiyecie, fto miyszkö na piyrszym sztoku po prawyj? – Wskazała ręką okna Bittnerowej.

– A czamu pytöcie? – zapytał posterunkowy Melcer, odwracając się w stronę kobiety.

– Jö niy je stönd – zaczęła się tłumaczyć. – Przijechałach niydöwno do siostry i kej zech szła z koframi bez plac na zadku – wskazała podwórko domu obok – ftoś wyciep bez ôkno takö tasia.

Dopiero teraz policjanci spojrzeli na ręce kobiety, w których trzymała wielką, brązową, skórzaną torbę.

– Dejcie ta tasia. Ôna je ôd jednyj dzioušky sam z wierchu – odpowiedział zadowolony Melcer, zabierając torbę z rąk nieznajomej kobiety.

– Jak jö wöm dziynkuja. Niy musza już włazić na wyrch. Potym dostöwöm hercklekotów. Ale z wös usuźne karlusy. Niych Pönböczek mõ wös w swojij ôpiece – odparła z ulgą.

Gdy weszli z powrotem do klatki, Belka zapalił światło, a Melcer gorączkowo oglądał torbę ze wszystkich stron.

– Tukej – stwierdził z zadowoleniem, dopasowując odebraną skuwkę do zniszczonego rogu torby.

– Wracamy na górę – zakomenderował Esterski. – Tym razem mieliście szczęście – zwrócił się do Melcera. – Wy, Belka, stoicie przy oknie, na wypadek gdyby panna próbowała uciec.

Nic takiego się jednak nie stało. Gdy Inga zobaczyła posterunkowego Melcera z torbą w dłoniach, z jej wielkich brązowych oczu popłynęły łzy. Już nie miała siły uciekać.

– Pöjdzie pani z nami – odezwał się starszy posterunkowy.

Inga już zdążyła się przebrać. Wstała od stołu. Na prostą letnią sukienkę koloru dojrzałego groszku zarzuciła ciemnozielony sweter i nie myśląc o kapeluszu, wyszła pośpiesznie w towarzystwie policjantów. Nie oglądała się za siebie. Pod dom, jakby na zawołanie, podjechał nowiuteńki, czarny, policyjny ford.

– Proszę bardzo, szanowna pani – powiedział Esterski z uśmiechem, otwierając drzwi. – Koledzy przysłali po panią najlepszy wóz – zażartował.

Ale Inga nie była w nastroju do żartów. Z grobową miną wsiadła do samochodu. Dziękując Bogu, że nie musi iść pieszo z policyjną obstawą przez pół Świętochłowic, obiecała sobie, że już nigdy niczego nie ukradnie. Cały czas analizowała wczorajszą noc. Nie mogła sobie wybaczyć, że tak łatwo dała się zwieść sprytnemu radcy. Był taki szarmancki i pociągający. A jednak pod pozorem zauroczenia rozpracowywał ją krok po kroku. Dlaczego była tak nieostrożna?

– Proszę z nami. – Głos starszego posterunkowego Esterckiego wyrwał dziewczynę z zamyślenia. Dwaj policjanci zaprowadzili ją na górę, wprost do biura komisarza Romualda Bargieła.

– Witam specjalistkę od mody – rzekł sarkastycznie Bargieł, gdy weszła do jego biura.

Od razu wyczuła, że komisarz nie ulegnie jej wdziękom. Zresztą po ostatniej nocy mężczyzna miała serdecznie dość.

– Proszę spocząć. – Wskazał na stojące na środku pomieszczenia krzesło. – Nieładnie, panno Bittner – ciągnął dalej, ironizując. – Próbowала pani zarobić na śmierci narzeczonego?

– Oczywiście, że nie – odparła w swojej obronie, wygładzając nerwowo suknię, ale ton jej głosu nie brzmiał zbyt przekonująco.

– Zaraz się o tym przekonamy – odpowiedział, wyciągając papierosa. – Posterunkowy Belka, notujcie – zakomenderował, podchodząc do otwartego na oścież okna.

– Nazwisko?

– Bittner – odpowiedziała Inga, siedząc sztywno na niewygodnym krześle.

– Imiona?

– Inga Gertruda.

Zanim komisarz zaczął zadawać pytania związane ze śledztwem, minęło sporo czasu.

– Czy to pani własność? – zapytał, dopasowując do rogu torby wyrwaną część.

– Tak – odparła, spuszcżając oczy.

– Zatem proszę nam opowiedzieć, co robiła pani w nocy z czwartku na piątek dwudziestego szóstego lipca.

Inga opowiedziała ze szczegółami o kradzieży wina z piwnicy restauracji U Mally’ego. Wspomniała też o tej, po której aresztowano bogu ducha winną młodziutką Fridę Klose. Operacje nie były trudne, ponieważ nowy właściciel nie zmienił układu regałów piwnicznych od czasu wiosennego remontu. Brała tylko najlepsze wina, szampany i luksusowe towary – kawior czy łososia w puszkach – które na czarnym rynku osiągały najwyższe ceny.

– A co zrobiła pani z zarobionymi pieniędzmi? – przerwał jej komisarz, strzepując z munduru papierosowy pył.

– Kupowałam drogie stroje, perfumy i biżuterię. Część przeznaczyłam na podróże. – Trochę skłamała, ponieważ za pieniądze ze sprzedaży skradzionych rzeczy nigdzie nie pojechała. Lokowała je zupełnie gdzie indziej, ale była pewna, że tej zagadki policja nie rozwiąże.

– A więc wydała pani wszystko? – zapytał komisarz podniesionym głosem, a jego okrągłą twarz wykrzywił paskudny grymas.

– Zgadza się – odrzekła krótko niewzruszonym tonem, patrząc mu przy tym prosto w jasne zimne oczy.

– A co wczorajszej nocy robiła pani w restauracji U Mally'ego? – cedził przez zęby.

– Zostałam zaproszona na degustację najnowszych alkoholi od Meisnera i Ponieckiego – odpowiedziała krótko.

– Zaprosił panią radca Adolf Jendrysek? – dopytywał komisarz.

– Nie. Zaproszenie z restauracji otrzymałam pocztą, a jego poznałam na miejscu – odparła wyniośle. – Posadzono nas przy jednym stoliku – dodała beznamiętnie, modląc się w duchu, aby Bargieł nie drążył dalej tego tematu.

– Dobrze więc. – Komisarz wstał z krzesła. – Belka, zaprowadź panią do celi. U nas poczeka na proces. Jeszcze żeśmy z nią nie skończyli – dodał, wskazawszy na drzwi, po czym pogładził lśniące od brylantyny włosy.

\*\*\*

Adolf postanowił wrócić do domu na piechotę. Przeżycia ostatnich godzin nie dawały mu spokoju. Zanim uległ Indze, cieszył się, że dopadające go co jakiś czas nieznośne poczucie winy ustąpiło. Teraz jednak wróciło ze zdwojoną siłą. Przecież zdradził żonę. Tego nie umiał sobie darować. Przez chwilę zastanawiał się, co powie Hajdelce. Przypomniał sobie wypadki wczorajszej nocy i doszedł do wniosku, że przecież Inga nie ma pojęcia o istnieniu Hajdelki. Przy Alfredzie nie wspomniała ani słowem o tym, co działo się w pokoju. Zdecydował, że zatrzyma ten sekret dla siebie. Dopóki Inga nie piśnie słowa, on też będzie milczał. Miał nadzieję, że ich wspólna noc pozostanie tajemnicą. W tej sytuacji nie pozostało mu nic

innego, jak tylko czekać na wiadomość od posterunkowego Alberta Melcera.

Zanurzył się w porannej mgle, minął kuźnię Franza Franka pod numerem 27 i przystanął pod krzyżem, schowanym za ostatnim budynkiem przy ulicy Bytomskiej. Patrząc na figurę Chrystusa, odniósł wrażenie, że rzeźba utkwiła w nim zimny, nieobecny wzrok. Nagle poczuł się nieswojo i szybko podążył w kierunku Lipin. Żeby skrócić sobie drogę, postanowił skręcić w lewo i dojść do domu bitym traktem wytyczonym na tyłach Kopalni Matylda Wschód. Gdy wszedł na jezdnię, nagle z mgły wypadł czarny samochód. Radca ledwo uskoczył w bok. Maszyna błyskawicznie zatoneła we mgle, a Adolf stał na chodniku z walącym sercem. Nie zdążył odczytać rejestracji, ale wydawało mu się, że widział fordą 5. W tej chwili zapragnął znaleźć się jak najszybciej w domu. Za kwadrans wyszedł na ulicę zwaną Ostatni Grosz. Jego świętej pamięci ojciec, który nie wrócił z frontu wielkiej wojny, opowiadał mu, że niegdyś stała tu gospoda, w której po otrzymaniu wypłaty nieroztropni robotnicy, wydawszy ostatnie pieniądze, kończyli pijacką wędrówkę. Gdy wyszedł na Piłsudskiego – główną ulicę Lipin – mijał otwarte już sklepy. Przed piekarniami Hadasika i Potyki ustawiały się kolejki po sobotnie wypieki. W delikatesach Szustera właśnie odbierano towar, a z cukierni Demela dochodził słodki zapach pączków z różanym nadzieniem.

Wszedłszy do przedpokoju, znalazł na ławce kartkę z informacją, że Hajdelka wybrała się z dziećmi do matki. Poczuł ulgę. Nie był jeszcze gotowy do rozmowy z żoną. Zmęczenie dało o sobie znać. Zasłonił okna sypialni i osunął się na łóżko.



## Rozdział X

Sen nieco uspokoił Adolfa. Przebudził się około południa. Ucieszyło go, że wróciwszy od matki, Hajdelka nie podejmowała tematu wczorajszego wieczoru. Niepokoila go jedynie sprawa torby. Zastanawiał się, czy Albertowi udało się ją znaleźć i tym samym zdemaskować Inge.

– Coś taki nerwyjs? – Nagle głos żony wyrwał go z zamyślenia. – Ôd ôbiadu wykurziłś aże sztyry cygarety. Starösz sie czymś?

– Żebyś wiedziała. Czekōm na wiadōmość ôd Melcera w sprawie, kerōm sie terözki zajmują – odparł szczerze.

– Niy nerwuj sie. Bydzie, co mõ być. – Postawiła przed mężem filiżankę czarnej kawy, a dzieciom wręczyła po pucharku szpajzy. – Kōń mõ wielkō łeba, niych sie starö – dodała.

– Mōsz tego wiyncyj? – zapytał Adolf, wskazując na pucharki pełne żółtego kremu.

– Ja. Nale przeca ty niy je żeś za takimi maszketami – stwierdziła autorytarnie.

– Mōsz recht, ino dzisiej ta citrōna tak fajnie wōniö, aże mi ślinka leci – odparł przymilnie.

Kiedy Hajdelka zniknęła w kuchni, nagle rozległo się pukanie do drzwi.

– Ôtworza – krzyknął i pobiegł do przedpokoju.

– Dobry dziyń. – W progu stał Albert Melcer.

– Wlyż, a gibko. – Adolf zaprosił gościa do gabinetu.

– Nale ino na chwila, bo leca drabko do dōm – odpowiedział, zdejmując czapkę i siadając w fotelu przy małym stoliku naprzeciw okna.

– Gōdej, coście znōdli. – Adolf zapalił papierosa i poczęstował gościa.

– Dziynki, nale sie spieszą. – Melcer podniósł rękę w geście odmowy. – Mōsz szczyńście. Ino bez cufal znōdli my ta tasia. Inga wyciepla jōm bez ôkno, nale jakōś starō baba jōm znōdła i nōm prziniesła.

Usłyszawszy tę nowinę, Adolf opadł bezwładnie na fotel.

– Bargieł kōzoł ci sie stawić na policyjō we strzoda ô jedynōstyj. Bydziesz zeznōwoł kej świadek.

– Już zech myśloł, co nic żeście niy znōdli – stwierdził, wycierając chusteczką spocone czoło. – Dej pozōr na ta dzio-ucha. To je twarđō sztuka. Zarōzki wōs czymś zbałamuci i bydziecie tańcować, jak wōm zagrō – dodał po namyśle.

– Niy starej sie, Adolf. Kej ôboczyła u mie ta tasia, zaczęła ślimtać choby mały bajtel. A na komisariacie do wszystkego sie prziznała – odparł spokojnie Albert, wstając z fotela. – Ida do dōm, boch je fest wykamany. Niy gōdej tego żōdnymu, nale Bargieł zarzōndziył, co Inga ôstanie u nōs do rozwiōnzaniō sprawy.

– Toś mie terōzki uspokojył – stwierdził Adolf, gasząc niedopałek. – Wisza ci fest srogi biyr. – Podał przyjacielowi rękę i zaprosił do wyjścia.

– Kej zawrzymy ta sprawa, wybierymy sie do Alfreda. – Melcer podał Adolfowi rękę i zbiegł ze schodów.

Uspokojony nieco Adolf ze smakiem zabrał się za pachnącą cytryną szpajzę. Nigdy wcześniej – nawet gdy był dzieckiem – ten puszysty deser nie smakował mu tak bardzo jak dziś.

\*\*\*



Rankiem w środę, ósmego sierpnia Adolf wczesnie zjadł obfite śniadanie. Zażył sobie jajecznicę na boczku, ulubiony chleb od Potyki i mocną czarną kawę. Bez pośpiechu przejrzał poranną prasę, po czym wyszedł na tramwaj. Na szczęście o tej godzinie wagon do Świętochłowic był już prawie pusty. Wszyscy, którzy wybrali się na środowy targ, wysiadali obładowani z zatłoczonej siódemki na przystanku po przeciwnej stronie piasnickiego skrzyżowania. Zadowolony Jendrysek zajął jedną z pustych drewnianych ławek z tyłu wagonu. Jadąc w dół Bytomskiej, przyglądał się mijającym tramwaj wozom pełnym węgla. Starał się o niczym nie myśleć. Skupił wzrok na sklepowych witrynach po lewej stronie ulicy: pościel Arnolda Kiełbasy, drukarnia Leksana, restauracja Stefana Piegsy, meble Wincentego Pogody... Popatrzył na zegarek. Miał dużo czasu. Postanowił wysiąść na przystanku niedaleko kościoła. Idąc powoli ulicą Wolności, minął grupę starszych kobiet ubranych po chłopsku. Zza szeroko otwartych drzwi kawiarni w domu Lewka dochodził wielojęzyczny gwar – śląski mieszał się z niemieckim i polskim. Po drugiej stronie ulicy, pod numerem dziewiętym, przed Bankiem Ludowym, stał otwarty samochód, z którego dwaj młodzi mężczyźni, zapewne pracownicy banku, wynosili ciężkie metalowe skrzynie i zanosili do wnętrza budynku. Całej operacji pilnował stojący przy samochodzie uzbrojony strażnik, ani na chwilę nie spuszczając oka z otwartego bagażnika. Idąc dalej, Adolf minął sklep rowerowy Franciszka Dyballi i zatrzymał się przed witryną fabryki cukierków i czekolady Antoniego Franka. Przyglądając się leżącym na wystawie łakociom, obiecał sobie w drodze powrotnej słodkie zakupy dla Wenera i Helgi.

Chwilę później stał przy ulicy Vogta przed znanym mu dobrze budynkiem komisariatu świętochłowickiej policji – dwupiętrowym neogotyckim gmachem z czerwonej cegły,

którego dach zwieńczono zgrabną sześciokątną wieżyczką przykrytą szpiczastym daszkiem. Front budowli i jeden z jej boków wykończono trójkątną attyką charakterystyczną dla średniowiecznych mieszczańskich kamienic. U szczytu frontowej ściany umieszczono zegar. Dochodziła jedenasta. Adolf szybko wspiął się na górę po wąskich kamiennych schodach i usiadł w poczekalni przed gabinetem komisarza Romualda Bargieła.

– Witajcie, Jendrysku. – Komisarz uprzejmie wskazał radcy krzesło naprzeciw jego biurka. – Jak widzę, w sprawie kradzieży U Mally’ego prowadzicie prywatne śledztwo. Jesteśmy wdzięczni za ujęcie złodzieja, ale resztę radzę zostawić profesjonalistom. Nie chciałbym, żeby ktoś ucierpiał przez wasze wtykanie nosa w nieswoje sprawy. – Nagle ton głosu Bargieła stał się ostry niczym brzytwa.

– Po pierwsze nikomu nic się jeszcze nie stało, a po drugie bez mojego prywatnego śledztwa niczego byście nie znaleźli – odparł radca niezrażony tonem komisarza.

– Owszem, pomogliście nam, ale na przyszłość nie wyręczajcie policji.

– Z przyjemnością, pod warunkiem, że policja sobie poradzi – uśmiechnął się ironicznie.

– Szkoda czasu. Skąd znacie Ingę Bittner? – Komisarz nagle zmienił temat.

– Poznałem ją na wieczorku promującym najnowsze alkohole od Meisnera i Ponieckiego – skłamał Jendrysek.

– Na pewno nie spotkaliście się wcześniej? – Policjant wbił w Adolfa lodowate spojrzenie.

– Nie przypominam sobie. – Radca wytrzymał wzrok komisarza.

– Zatem chciałbym usłyszeć z waszych ust, w jaki sposób wpadliście na trop naszej pięknej złodziejki – zapytał Bargieł, robiąc wrażenie szczerze zainteresowanego.

Adolf zaczął szczegółowo opowiadać historię nocnej obławy i oderwanej z torby skuwki.

– Ale to niczego nie dowodzi – przerwał komisarz z uśmiechem, wyciągając przy tym swoje ulubione papierosy Silesia.

– Zapalicie?

– Dziękuję. – Jendrysek poczęstował się i opowiadał dalej.

– Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że złodziejem jest Inga, ale moją uwagę przyciągnęły ślady damskich butów zastygłe w piwnicznej podłodze.

– Dobrze. Ale jakim sposobem odkryliście, że to ślady Ingi Bittner?

Fakt, że Bargieł chciał znać najdrobniejsze szczegóły śledztwa, nieco zaniepokoił Jendryską, ale niczego nie dał po sobie poznać.

– Aby zostać stałym klientem w salonie Cyryla Waleckiego i zdobyć w ten sposób dane kobiety, która w marcu zakupiła buty z kolekcji Santa Fe, byłem zmuszony kupić żonie najdroższe w sklepie pantofelki, których zresztą nie potrzebowała – stwierdził z przekąsem.

– Te kobiety – odparł komisarz i zaciągnął się papierosem – kiedyś nas zrujnują.

– Zresztą miałem szczęście, że Inga Bittner także okazała się klientką Waleckiego. Inaczej wydałbym tylko pieniądze, a niczego nie znalazł – przyznał Jendrysek.

– Sami widzicie – podsumował komisarz z nieskrywanym zadowoleniem.

Wtem zadzwonił stojący na biurku telefonu. Komisarz podniósł słuchawkę.

– Słucham... tak... oczywiście. – Jego głos stawał się coraz bardziej nerwowy. – Tak jest... zrozumiałem.

– Jedziecie ze mną – zwrócił się do Adolfa, odkładając słuchawkę.

– Nie rozumiem. Przecież miałem się nie mieszać w sprawę policji – odparł zdziwiony radca.

– Owszem, ale teraz możecie się przydać – rzucił szybko.

– Nie mamy czasu. – Podniósł słuchawkę i szybko wykręcił jakiś numer. – Belka, szykujcie samochód.

– Przy Wolności 9 był napad na bank. Wszystkiego dowiemy się na miejscu.

Gdy zbiegli po schodach, przed głównym wejściem czekał już policyjny ford. Esterski włączył sygnał i po dwóch minutach zatrzymał auto przed drzwiami Banku Ludowego. Zegar na wieży kościoła wybił dwunastą.

– Rozejść się! – krzyczał Esterski, torując komisarzowi i radcy drogę wśród zebranego przed bankiem ciekawskiego tłumu.

– Sõm żeście. – Do Bargieła i Jendryska jako pierwszy podszedł młody wysoki mężczyzna w uniformie pracownika banku. – Joachim Świerk – przedstawił się. – Robia tukej za kasjera.

– A reszta? – zapytał komisarz, a Esterski machinalnie wyciągnął z kieszeni notatnik.

– Dwa mode terminatory – Tyjo Labusi i Jan Mason. – Kasjer wskazał na siedzących na krzesłach młodych chłopców, którzy spoglądali wokół wielkimi z przerażenia oczami. Przed nimi leżał przewrócony solidny dębowy stół, wokół którego walały się porozrzucane kwity i pieczętki. Znajdujące się za wielką masywną szybą skrytki były pootwierane. Podobnie szuflady, z których całą zawartość wyrzucono na podłogę.

– Przepraszam szanownych panów. – Do komisarza i radcy podszedł wytworny starszy mężczyzna o krępej posturze.

– Tak? – Bargieł odwrócił się w jego kierunku.

– Nazywam się Walenty Siedlaczek. – Uchylił kapelusza.

– Jestem długoletnim klientem tego banku i właścicielem

restauracji w Szarlocińcu. Proszę zanotować, że te zbiry mnie poturbowały i zrabowały mój portfel – zwrócił się do Ester-skiego tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Pozwoli pan, że zajmiemy się tym później – odparł Bar-gieł. – Dzwońcie po kryminalnych – zawołał do wchodzącego właśnie posterunkowego Alberta Melcera.

– Poódcinali nōm wszystkie kable, bezto trza zwōnić z ôberże Leksa. – wtrącił kasjer.

– Słyszeliście, Melcer?

– Ja. Już leca – odparł posterunkowy, znikając w drzwiach.

– A mój portfel? – zawołał wzburzony restaurator.

– Szanowny panie. – Bargieł odwrócił się do Siedlaczka i omiół go zimnym spojrzeniem bladoniebieskich oczu. – W tej chwili ważniejszy jest napad na bank.

– Esterski – zwrócił się do starszego posterunkowego trzy-mającego w rękach notatnik i kopiowy ołówek – przesłuchamy pracowników banku, a wy notujcie każde słowo.

Pierwszy zeznawał kasjer Joachim Świerk.

– Wele pół dwanōstyj wlazło do banku trzech modych karlusōw. Zarōzki miał zech na nich pozōr, bo wyglōndali jak ôstatnie chachary. W tyn czas jedyn – taki srogi z czōrnōm welōm – wyciōng pistoula i ryknął: „Rynce do góry!”. Drugi – miyńszy – kōzoł wszystkim lygać na zōl, a mie ôtworzić kasa.

– Trzeci jeszcze wcześnij znōd klucz i zawar dźwyrza – dodał przysłuchujący się opowieści Świerka Tyjo Labusi.

– Ja, recht – przyznał kasjer.

– Wielu porwali? – zapytał stojący dotąd w milczeniu Jen-drysek.

– Trzi tauzyny i sztyrysta złotych, strzybrny zygōrek i wek-sel – krzyknął drobniutki Jan Mason, przeglądający właśnie otwartą kasę i skrytki.

– A mój portfel? – wtrącił się zniecierpliwiony restaurator.

– Właśnie – odpowiedział komisarz. – Ile pieniędzy mieliście w portfelu?

– Dziewięć złotych – odpowiedział z powagą.

– Zapisaliście, Esterski? – zaśmiał się Bargieł.

– Zaróżki bydõm – zameldował Melcer, powróciwszy z oberży Leksa.

– Poczekamy tu na nich – stwierdził komisarz. – A wy, Melcer, pojedziecie na komisariat po teczkę ze zdjęciami poszukiwanych zbirów. A nuż panowie któregoś rozpoznają.

## Rozdział XI

Po wyjściu posterunkowego Melcera w banku pojawiło się dwóch rosyłych mężczyzn w towarzystwie nadkomisarza Józefa Potyki.

– A to kto? – zapytał nadkomisarz, wskazując na Jendryska.

– Radca prawny Adolf Jendrysek. – Bargieł przedstawił Adolfa Potyce. – Pracuje dla nas przy jednym śledztwie.

– W porządku – stwierdził nadkomisarz. – Zatem co udało się wam do tej pory ustalić?

Bargieł i Jendrysek przekazali Potyce i kryminalnym wszystkie informacje zdobyte podczas przesłuchania świadków, a w międzyczasie posterunkowy Melcer wrócił z teczką pełną zdjęć poszukiwanych przestępców.

– Pokażcie zdjęcia poszkodowanym. Może to któryś z poszukiwanych gagatków. – Komisarz zwrócił się do Melcera.

– Tak jest – odpowiedział posterunkowy i chwilę później restaurator Siedlaczek i kasjer Świerk wraz z uczniami przegladali fotografie poszukiwanych, próbując sobie przypomnieć wygląd napastników.

– To bōł tyn. – Uczeń Tyjo Labusi wskazał jedno ze zdjęć przedstawiające gładko ogolonego bruneta o gęstych, zaczesanych do tyłu włosach.

– Jes żeś zicher? – zapytał posterunkowy.

– Ja – odparł chłopak.

– To je Hoffmann z Bykowiny – wyjaśnił Melcer i odłożył fotografię na bok.

– Pokożcie mi ino jeszcze róż ta teczka – odparł Labusi. – Zdówo mi sie, co zech widzioł jeszcze jednego. – Wziął teczkę na kolana i zaczął gorączkowo przeglądać dokumenty.

– Tyn – stwierdził chłopak, wskazując na zdjęcie mężczyzny z wielkimi uszami. – I tyn. – Tym razem wyjął z teczki fotografię blondyna z wydatną szramą nad lewą brwią.

– Toć to kamraty ôd Hoffmanna – Szampera z Bykowiny i Szmus z Fryny – odparł posterunkowy i zwrócił się do rozmawiających przy wejściu do banku wyższych rangą policjantów: – Mōmy jich. Hoffmann, Szampera i Szmus. Na zicher citli na Bykowina.

– Abo do Chebziõ – wtrącił Jendrysek.

– Pewnie chcą przekroczyć granicę w Porębie albo w Bytomiu – dodał nadkomisarz i zaraz wydał rozkazy: – Dzwoncie na posterunki do Chebzia i Nowego Bytomia. Podajcie nazwiska. Niech sprawdzą rysopisy i natychmiast szukają zbiegów. Wy, Melcer, jedźcie do Chebzia wspomóc komendanta Kubicę. Esterski jedzie z nami do Nowego Bytomia.

– Możecie, panowie, posprzątać już ten bałagan. – Komisarz Bargieł zwrócił się do pracowników banku, po czym pospiesznie dołączył do wychodzących policjantów.

– Adolf, jedziesz sy mnõm? – Melcer zapytał Jendryska.

– Toć – odparł radca, wychodząc z budynku.

Od strony Chorzowa właśnie nadjeżdżał tramwaj, powoli tocząc się po torach.

– Lecymy. – Albert krzyknął na Jendryska i obaj puścili się biegiem w kierunku kościoła Świętych Piotra i Pawła, przy którym znajdował się najbliższy przystanek. Chwilę potem jechali w górę Bytomskiej, aby na skrzyżowaniu w Piaśnikach przesiąść się do następnego tramwaju, jadącego przez Lipiny do Chebzia.



– Mõmy szczyńście – odparł zadowolony Albert. – Tre-fiylimy õbie banki narõz – dodał z uśmiechem na pociągłej twarzy.

Kilkanaście minut później wysiedli w Chebziu niedaleko dworca kolejowego, z którego dochodził dźwięk gwizdka oznajmujący odjazd pociągu. Pospieszyli w stronę posterunku policji – niewielkiego ceglanego budynku wtopionego w szereg stojących w tym samym rzędzie familoków.

– Dostołech telefõn, co jakiś karlus leci w strõna Karmańskigo z pistoulõm w rynce – stwierdził na powitanie Melcera i Jendryska komendant Ewald Kubica – niewysoki, krępy mężczyzna w średnim wieku z czerwoną, nalaną twarzą. – Jada tam na kole. Wy biercie co popadnie i jedźcie za mnõm – poinstruował nieco zdziwionych posterunkowego i radcę.

– Muszimy cosik õbsztalować. – Melcer zwrócił się do Jendryska. – Posterunek w Chebziu mõ ino jedne koło.

Wybiegli na drogę prowadzącą na Karmańskie, gorączkowo wypatrując jakiegoś środka transportu. Wtem zza zakrętu wyskoczył motor. Melcer zatrzymał maszynę w ostatniej chwili.

– Rekwirujemy motor! Zgłoście się po niego na posterunek dziś wieczorem – krzyknął w stronę osłupiałego motocyklisty.

– Wskakuj, Adolf. Jadymy za Kubicõm.

Pognali w ślad za rowerem komendanta. Motocykl radził sobie nieźle i za dziesięć minut byli na miejscu. Gdy przyjechali na Karmańskie – robotniczą kolonię jednopiętrowych kamieniczek przycupniętych przy skrzyżowaniu dróg do niemieckiego Hindenburga, Rudy Południowej i Czarnego Lasu – Kubica rozpytywał o Hoffmanna, pokazując przechodniom zdjęcie zbiega.

– Lecioł taki w strõna leńniczõwki. – Starsza kobieta z dzieckiem wskazała ręką ostatni murowany dom na gra-

nicy z lasem. Nie czekając na pedałującego co sił w nogach komendanta, Melcer i Jendrysek popędzili w ślad za Hoffmannem. Dojeżdżając do zabudowań, usłyszeli strzał. Porzucili motocykl na środku drogi i pobiegli w stronę najbliższego budynku, który okazał się szopą na drewno. Odczekali chwilę. Melcer wychylił się zza budynku. Padł następnym strzał.

– Skrył się za stodołom – odparł pośpiesznie do zeszywniałego Jendryska. – Ôstõn tukej, jõ leca ôd zadku.

Zanim Adolf zdążył się odezwać, posterunkowy, strzelając przed siebie, biegł w kierunku stodoły. Jendrysek usłyszał jeszcze kilka strzałów. Potem wszystko ucichło.

– Põdz sam, Adolf. – Znajomy głos wyrwał go z osłupienia.

Gdy wyrzał zza szopy, zobaczył, że Albert prowadzi Hoffmanna, trzymającego się za lewe ramię. W tym samym momencie nadjechał komendant. Twarz miał czerwoną, a skroń mu pulsowała. Dysząc z nadmiernego wysiłku, nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa.

– To je Hoffmann – stwierdził Melcer, a widząc, że Kubica ledwo stoi na nogach, dodał:

– Trza zadzwõnić po sanitarka, to można ôbu wõs weźnie.

– Ty nij bydź taki mõndrõk. Mõsz szczyńście, coś chycił tego pierõńskiego gizda – odparł Kubica, sapiąc niemiłosiernie.

– Adolf, weź koło ôd komyndanta i karnij sie sam kajś za telefõnym. – Widząc stan Kubicy, Albert wziął sprawy w swoje ręce.

– Juź jada. – Adolf wszedł na rower i popedałował w stronę pobliskich domów.

Posterunkowy posadził na ławce pod leśniczówką syczącego z bólu więźnia. Obok siadł sapiący komendant. Melcer obejrzał odebraną wcześniej oprychowi broń. Wyciągnął z niej naboje i schował do kieszeni. Za parę chwil na drodze biegnącej przez środek Karmańskiego zobaczył znajomy rower.

– Zarōzki przjadōm – odparł zasapany Jendrysek, opierając rower o ścianę stodoły. – Nale nazōd jadymy na motorze – zwrōcił się do przyjaciela z uśmiechem.

– Mōcie cufal, Melcer – odezwał się niepokieszony Kubi-ca. – Zōwdy znōjdziecie jakōś fajnō maszina, a jō musza zaś nazōd pyndalować.

– Radza sie, jak moga – odparł Albert z uśmiechem.

Chwilę pōźniej nadjechała karetka pogotowia. Okazało się, że komendant musiał jechać razem ze zbiegiem nie z powodu swojego stanu zdrowia, ale aby przypilnować więźnia. Rower zostawił do następnego ranka u jednej z zaprzyjaźnionych rodzin i ambulansem odjechał do szpitala w Nowej Wsi. Melcer i Jendrysek wrócili na posterunek do Chebzia, zawiadomili nadkomisarza o schwytaniu zbiega, odstawili motocykl i udali się na przystanek tramwajowy do Lipin. Jedyna kwestia, która nie dawała im spokoju, to fakt, że Albert nie znalazł przy Hoffmannie ani złotówki. Mieli jednak nadzieję, że skradzione pieniądze odnajdą się wraz z pozostałymi bandytami.



## Rozdział XII

Następnego dnia Adolf nie umiał znaleźć sobie miejsca. Wstał wcześniej i przyszykował się do wyjścia.

– Wybiyrösz sie dzisiaj do biöra? – zapytała Hajdelka, widząc podenerwowanie na twarzy męża.

– Niy, zarözki leca na policyjö. Po wczorajszym pościgu musza złożyć zeznanie – odparł pośpiesznie, odkładając pusty kubek po kawie.

– Chytöcie bandytöw? – Nagle spod stołu wynurzyła się mała Helga, trzymając w rączkach szmacianą lalkę. – Jö tyz chca chytać bandytöw. Kej byda wielgö, chca östać policajym. Byda mieć pistoula i wszystkie bydöm sie mie böc – dodała z wyrazem zadowolenia na małej piegowatej twarzączce.

– Można lepij niy – odpowiedział ojciec z uśmiechem i pogłaskał córkę po głowie. – Jeszcze sie kajś klupniesz w gowa abo co inkszego nawynokwiösz.

Gdy wyszedł z domu, padał ciepły letni deszcz, który oczyszczał powietrze z wszechobecnej sadzy. Adolf popatrzył na rozjaśniające się niebo i poczuł, jak ciepłe strużki spływają mu po twarzy. Założył kapelusz i udał się na przystanek. Od strony Chebzia właśnie nadjeżdżał tramwaj. W Piśni-kach na następny radca musiał chwilę poczekać. Patrząc na przechodniów, zastanawiał się, czy w obliczu tak poważnej sprawy jak napad na bank kradzież U Mally'ego nie zejdzie na drugi plan. W tramwaju do Świątochłowic zajął miejsce bliżej szyby i przyglądał się spływającym po niej kroplom

deszczu, w których odbijały się promienie wychodzącego zza chmur słońca. Podróżnym towarzyszył zapach wędzonych ryb, rozchodzący się po całej Bytomskiej z wędzarni śledzi Wrzeciono i Spółka. Wsiadłszy z tramwaju, radca zwrócił uwagę na kościół ewangelicki schowany nieco w głębi rozległego skweru dzielącego stojące naprzeciw siebie świątynię i budynek Dyrekcji Hut i Kopalń Donnersmarcka. Podniósł głowę i skierował wzrok na kościelną wieżę. Przyglądając się balkonom, które zamontowano wokół niej, zapragnął wspiąć się na górę i zobaczyć miasto z lotu ptaka. Westchnąwszy jednak, szybkim krokiem skierował się w stronę komisariatu.

Gdy wszedł do budynku, panowała tam nerwowa atmosfera. Mijali go biegający w różne strony policjanci – jedni dźwigali stosy akt, inni prowadzili zatrzymanego na przesłuchanie, a jeszcze inni odbierali dzwoniące nachalnie telefony. Kiedy radca wchodził do gabinetu starszego posterunkowego, mijało go dwóch policjantów wyprowadzających wielkiego jak dąb więźnia. Aby zbyt długo nie rozmawiać z Esterskim, którego nie darzył sympatią, starał się szczegółowo opowiedzieć o wczorajszym pościgu. Kiedy podpisał zeznania, udał się wprost do gabinetu komisarza.

– Witajcie, Jendrysku. – Tym razem na okrągłej twarzy Bargieła pojawił się szczerzy uśmiech.

– Musimy uczcić wczorajszy sukces – stwierdził i wyciągnął z szuflady paczkę cygar Coronas, którymi poczęstował gości.

– Rozumiem, że złapaliście całą trójkę – odparł Jendrysek, częstując się cygarem.

– Oczywiście. I to razem z łupami. – Komisarz zaznaczył z zadowoleniem.

– Pewnie sprawa kradzieży U Mally’ego zejdzie teraz na drugi plan – stwierdził Adolf z obawą.

– Niestety tak, ale nie martwcie się, radco – pocieszył go Bargieł. – Apetyczna panna Bittner nadal gości w naszych skromnych progach i nie zamierzamy ani nigdzie jej wysłać, ani tym bardziej wypuszczać – dodał, szczerząc żółtawe zęby.

– Uspokoiliście mnie nieco, komendancie – odpowiedział Jendrysek i głęboko wciągnął dym z cygara. – Wracając do sprawy wczorajszego napadu, powiadomiliście już kierownika banku?

– Jakże by inaczej. Ponieważ kierownik wyjechał na urlop, wysłaliśmy stosowny telegram – stwierdził Bargieł. – Ale żeby nie dostał zawału, umieściliśmy dopisek o odzyskaniu skradzionych rzeczy. Pracownicy banku sporządzili listę poszkodowanych, a przy nazwiskach dopisali wysokość kwot, które zniknęły z ich skrytek – ciągnął komisarz.

– Czy mogę obejrzeć tę listę? – wtrącił radca.

– Myślę, że tak. Choć nie sądzę, aby miała jakkolwiek związek ze śmiercią Salzmanna, a tym bardziej z kradzieżami U Mally’ego. – Bargieł odłożył cygaro do stojącej na biurku białej porcelanowej popielniczki i podniósł słuchawkę telefonu.

– Esterski, przynieście mi teczkę z dokumentacją z wczorajszego napadu.

Za parę chwil w gabinecie komisarza pojawił się posterunkowy z pokazną szarą teczką wypełnioną mnóstwem różnej wielkości kartek. Policjant położył teczkę na biurku szefa, z wyższością popatrzył na Jendryska i wyszedł. Bargieł zaczął przeglądać dokumenty.

– Zeznanie Hoffmanna, zeznanie Szampery, raport Melcera... o, jest, proszę. – Podał radcy białą kartkę, na której widniały nazwiska i kwoty zapisane równym pismem pracownika Banku Ludowego. Adolf od razu poznał to pismo. Ta sama osoba sporządziła listę wierzycieli Salzmanna. Tę, która nie

dawała Jendryskowi spokoju i doprowadziła go aż tutaj. Powoli zaczął czytać nazwiska poszkodowanych w napadzie na bank:

Ewald Janiszek – sto pięćdziesiąt złotych, Jan Heblik – sto złotych, Erwin Cichutek – dwieście złotych, Wilhelm Michalik – pięćset złotych, Georg Salzmann – Adolf wstrzymał oddech – tysiąc dwieście złotych i srebrny zegarek.

– Który z pracowników sporządził tę listę? – zapytał, odkładając dokument do teczki.

– Kasjer Joachim Świerk – odpowiedział komisarz, gasząc cygaro.

– Macie już raporty z przesłuchań Hoffmanna i pozostałych?

– Jeszcze nie. Kryminalni zazwyczaj się nie spieszą – odparł Bargieł. – Poza tym Szmus nic już nam nie powie.

– Jak to? – zdziwił się Jendrysek. – Mówiliście, że wszyscy zostali złapani.

– Zgadza się. Podczas pościgu Szmus schronił się w jednym z domów w Kolonii Otylia i zaoferował gospodyni, że jeśli go nie wyda, zapłaci jej sześćset złotych. Kobieta go jednak nie posłuchała i wezwała policję. Gdy nasi otoczyli budynek, Szmus uciekł na strych. A kiedy policjanci wchodzili za nim na górę, usłyszeli strzał. Okazało się, że zbieg postrzelił się w głowę. Chyba nie widział dla siebie innego wyjścia. Zmarł dziś nad ranem w szpitalu w Nowej Wsi. Na szczęście pieniędzy nie zdążył wydać. – Komisarz z zadowoleniem pokiwał głową.

– Zatem zostali Szampera i Hoffmann – stwierdził Jendrysek i wstał z krzesła. – Wybaczcie, ale muszę załatwić jeszcze parę spraw.

– Jeśli będziecie, radco, potrzebni, wyślę po was posterunkowego Melcera. A jeśli wy się czegoś dowiecie, zapraszam prosto do mnie – odparł komisarz na do widzenia i ucisnął Jendryskowi dłoń.



W drodze powrotnej Adolf postanowił zajść do banku. Miał nadzieję spotkać tam Joachima Świerka. Wolał porozmawiać osobiście. Zawsze można zapytać o coś, czego nie ma w zeznaniach. Przyszło mu na myśl, że jeśli Inga kradła w restauracji, między pokrzywdzonymi wierzycielami Salzmann'a mógł znaleźć się ktoś, kto zorganizował skok na bank, w którym restaurator trzymał nieuczciwie pozyskane pieniądze. Kiedy stanął przed wejściem, okazało się, że bank jest zamknięty. Aby zobaczyć, czy w środku jest ktoś z obsługi, przyłożył twarz do szyby i zakrył oczy dłonią. Wewnątrz zauważył jakiś ruch, zapukał w szybę i gestem poprosił o otwarcie drzwi.

– Dobry dziyń. – Do Jendryska wyszedł Tyjo Labusi. – Policyjõ ô czymś zapõmniała?

– Dobry dziyń – odparł radca, podchodząc do drzwi. – Niy, jõ prywatnie. Jes kasjer Świerk?

– Ja. Wlyżcie rajn. – Labusi wpuścił Jendryska do środka. – Poczeejcie sam ino. Zarõzki go zawoõm – powiedział chłopak i wyszedł na zaplecze.

W tym czasie Adolf rozejrzał się po banku. Wnętrze uprzątnięto, skrytki pozamykano, pokryty fornirem masywny stół postawiono na miejsce, a jego blat wypolerowano na wysoki połysk. Z zaplecza wyszedł kasjer – wysoki, szczupły mężczyzna, dziś ubrany tylko w spodnie na szelkach i rozpiętą pod szyją koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami.

– Uszanowanie – przywitał się. – Czym moga służyć?

– Wyście narychtowali lista mian właścicieli õkradziõnych skrytek? – zapytał Adolf.

– Ja. A cosik tam niy sztimuje?

– Niy. Chca ino pogõdać – odparł radca. – Prowadza własnõ sprawa i musza cosik wyeklerować. Wyście przirychtowali tyż ta lista? – dodał, kładąc na błyszczącym blacie stołu kartkę z nazwiskami wierzycieli Salzmann'a.

– Ja – odparł Świerk. – Można sie tukej siednymy. Sam lepij bydzie nōm pogōdać. – Dostawił do stołu dwa krzesła. – Co chcecie wiedzieć?

– Po drodze tukej myśloł żech, eli te chachary same przirychtowały tyn napad, abo ftoś ich nasłoł. Jak myślicie? – spytał radca, patrząc Świerkowi prosto w oczy.

Kasjer wyprostował się, co czyniło go jeszcze wyższym, i pogładził dłonią gładko ogoloną brodę.

– Można ôni sami sie prziznajōm – odparł po krótkim namyśle.

– Jō by niy bōł taki zicher – stwierdził Adolf, zakładając nogę na nogę. – Spōmnijcie sie dziyń napadu abo pora dni do zadku. Można zdarziło sie cosik ekstra, co wōs zastanowiło?

– Niych pōmyśla. – Świerk znów pogładził brodę. – Na dwa dni przed napadym prziszło jedyn chop i gōdoł z Labusim. Padoł, co chce wynajōnić u nōs skrytka, i pytoł, eli nasza szporkasa je na zicher bezpiycznō.

– I co Tyjo mu pedzioł?

– Że ja. Niy mō sie co starać, bo na nōs jeszcze żōdyn niy napōd, a jego piyniōndze bydōm sie miały dobrze choby u Pōnbōczka.

– Pokōżoł sie jeszcze?

– Niy, nale niy ô to idzie.

– A ô co?

– Niy myślołech wcześnij ô tym, nale kej tyn chop ôd nōs wyłaził, minylimy sie we dźwiryzach. Bliknył żech na niego, a ôn ôbrōciył gowa. Zdoło mi sie, że kajś już żech go widzioł, nale wtedy niy wiedzioł żech kaj.

– A terōzki już wiyecie? – zapytał Adolf ze zniecierpliwieniem.

– Ja, nale to je gupie. – Kasjer znów pogładził brodę. – Bo zdōwało mi sie, co tyn chop bōł blank podany na Salzmanna.

Nale richtich musiało mi sie zdōwać, bo przeca ôn już ôd marca niy żyje – dokończył z powagą.

– A jak wyglōndoł tyn istny? – dopytywał Jendrysek, choć wiedział, że kasjerowi rzeczywiście musiało się coś zdawać.

– Mioł take... blōnd wosy. Taki swiński blōnd. Ône mu tak stoły na sztyjc. – Świerk pokazał ręką. – I bōł gładko ôgolōny.

– To richtich musiało sie wōm zdōwać, bo przeca Salzmann mioł wosy czōrne jak wōngel i czesoł je do zadku. A, i mioł wōnsa – skwitował Jendrysek.

– Labusi gōdoł jeszcze, co tego chopa piyrszy rōz widziōł. Padoł tyż, co tyn istny mioł taki śmieszny akcynt, choby niemiecki, nale gōdoł czysto po polsku.

– To je richtich ciekawe – odparł Adolf. – Mōcie już naprawiōny telefōn?

– Ja. Nale musicie iś na zadek. – Świerk zaprowadził Adolfa na zaplecze. Jendrysek wykręcił numer 4557.

– Komisariat policji w Świętochłowicach. – Głos dyżurnego odezwał się po drugiej stronie słuchawki.

– Tu radca Adolf Jendrysek. Połączcie mnie z komisarzem.

– Proszę czekać, łączę.

Przez chwilę Adolf słyszał trzaski przepinanych w centralce kabli.

– Komisarz Romuald Bargieł, słucham.

– Adolf Jendrysek. Dostaliście już z Chorzowa zeznania Szampery i Hoffmanna?

– Przyszły przed chwilą. Właśnie do nich siadam. Macie coś nowego? – zapytał komisarz.

– Mam pewien pomysł, ale zastanawiam się, czy to przypadkiem nie ślepy trop. Właśnie się do was wybieram. Mam prośbę: kiedy będziecie czytać zeznania, zwróćcie uwagę, czy nie ma tam czegoś na temat zleceniodawcy tego napadu.

– Nie pomyślałem o tym – odparł Bargieł. – Oczywiście. Czekałem na was u siebie.

Jendrysek pożegnał się z kasjerem i wyszedł z banku. Nie zwracając uwagi na mijających go przechodniów, zatopiony w myślach szybkim krokiem szedł w stronę komisariatu. Jeśli napad został zlecony, to przez kogo? Może znów przez jakiegoś zdesperowanego wierzyciela Salzmanna. Ciekawe, czy Inga coś na ten temat wie. Jest w zasięgu ręki, zawsze można ją przesłuchać jeszcze raz. Perspektywa kolejnej rozmowy z Ingą nie była dla Adolfa zbyt kusząca. Ponieważ wchodził do budynku komisariatu, na razie odłożył tę myśl na bok. Wbiegając po schodach, szybko znalazł się pod drzwiami gabinetu komisarza. Wszyscy już go tu znali, dlatego nikt go nie wylegitymował.

– Wejść. – Usłyszał po drugiej stronie drzwi. – A, to wy, Jendrysku. – Bargieł zapraszająco kiwnął dłonią.

– Znaleźliście coś? – zapytał Adolf, wchodząc do gabinetu.

– Na razie nie. Czytam zeznania Szampery. Macie tu teczkę Hoffmanna, będzie szybciej.

Mimo przedpołudniowego deszczu w niewielkim gabinecie komisarza zrobiło się gorąco. Zanim Jendrysek otworzył teczkę z zeznaniami Hoffmanna, sięgnął do kieszeni po chusteczkę i wytarł nią spocone czoło. Czytając, odtwarzał w myślach strzelaninę i wczorajszy pościg, jednak nigdzie nie znalazł informacji o zleceniodawcy napadu. Z zeznań Hoffmanna wynikało, że za zrabowane pieniądze banda chciała zacząć dostatnie życie w niemieckiej części Górnego Śląska.

– Trzeba by przesłuchać ich jeszcze raz – stwierdził Jendrysek, odkładając teczkę. – Zwłaszcza że wśród okradzionych nie ma wierzycieli Salzmanna z wyjątkiem jego samego.

– Rzeczywiście. Myślicie, że napad zlecił jakiś zdesperowany wierzyciel? – zapytał Bargieł, otwierając szerzej okno.

– Mogło tak być, ale nie musiało. Trzeba sprawdzić wszystkie możliwości – Jendrysek znów przetarł spocone czoło.

– Z zeznań wynika, że mózgiem operacji był Szampera – zauważył komisarz, obracając w palcach niezapalonego jeszcze papierosa. – Zapalicie?

– Chętnie – Jendrysek sięgnął do papierośnicy Bargieła.

– Dlatego wydaje mi się, że właśnie jego trzeba przycisnąć – ciągnął dalej komisarz. – Hoffmann nie należy raczej do rozgarniętych. Zadzwonię do śledczych, mam tam dobrego znajomego. Poproszę, żeby przycisnęła Szamperę, może dowiemy się czegoś więcej.

– Dobry pomysł – zgodził się Jendrysek i strzepnął popiół do przepelnionej popielniczki.

Bargieł czym prędzej poprosił dyżurkę o połączenie ze śledczym Erwinem Kusiem. Po krótkiej rozmowie, w trakcie której otrzymał zapewnienie szybkiego załatwienia sprawy, zadowolony odłożył słuchawkę.

– Jest jeszcze coś – odezwał się radca.

– Tak? – zapytał komisarz.

– Czy odzyskane łupy wróciły już do Świętochłowic?

– Owszem. Przywieźli je razem z dokumentacją. A dlaczego pytaacie? – odparł Bargieł, wycierając spływające mu po skroniach stróżki potu.

– Chciałbym obejrzeć zegarek ze skrytki Salzmanna. – Adolf poszedł w ślady policjanta, wyciągając z kieszeni chusteczkę i przecierając wilgotną od potu twarz.

– Dobrze – powiedział Bargieł. Podniósł słuchawkę i za parę chwil starszy posterunkowy Esterski przyniósł szare niczym teczkę z dokumentacją, niewielkie pudełko. Postawił je na biurku przed przełożonym, jak zwykle obrzucił radcę niechętnym spojrzeniem i wyszedł.

Na dnie tekturowego pudełka leżało czarne, skórzane etui z wybitym na wieczku znakiem firmowym Sachweh i Ska – chorzowskiego zegarmistrza i sprzedawcy wysokiej klasy zegarków. Wewnątrz etui znajdował się masywny, srebrny zegarek z dewizką. Grawerowane w delikatny kwiatowy wzór wieczko pokrywała patyna. Aby je otworzyć, Adolf nacisnął wypustkę z boku zegarka. Wnętrze skrywało biały cyferblat, a czarne wskazówki pokazywały trzecią piętnaście. Kiedy dotknął spodniej strony wieczka, wyczuł pod palcami jakies nierówności.

– Macie lupę? – zapytał komisarza, który wraz z nim w milczeniu oglądał zegarek.

– Proszę – Bargieł wyciągnął lupę z szuflady biurka i podał ją Adolfowi.

Kiedy ten wytarł zebraną pod wieczkiem patynę i przyłożył lupę, odczytał napis:

– „I.B. für G.S. mit Liebe. Januar 1932”. To prezent – dodał.

– G.S. to z pewnością Georg Salzmann – stwierdził Bargieł, chowając lupę do szuflady.

– A I.B. to Inga Bittner – dokończył Adolf. – To, że Inga była ukochaną Salzmanną, obaj doskonale wiemy, a na bank napadnięto, gdy już była tutaj.

– Mogła wszystko zorganizować wcześniej. Do takiego skoku trzeba się przecież przygotować – stwierdził Bargieł. – Radzę poczekać na wieści od kryminalnych. Jeśli to była ta mała Bittner, Kuś się postara, aby Szampera podał nam ją na tacy.

– Zgoda – stwierdził Jendrysek. – Na dziś wystarczy.

– Jak tylko czegoś się dowiem, zaraz wyślę do was Melcera – odparł komisarz i uściśnął dłoń Adolfa na pożegnanie.

## Rozdział XIII

Kiedy radca opuszczał budynek komisariatu przy ulicy Vogta 20, dochodziła czwarta. O tej porze kawiarnie i cukiernie zapełniały się klientami, a z otwartych okien kamienic i familoków dochodził zapach parzonej kawy. „Kołocz i bönkawa” – pomyślał Jendrysek, gdy nagle ścisnęło go w gardle. Wyobraził sobie Hajdelkę, która jak co dzień przygotowała kawę i na stole w jadalni postawiła kołocz z posypką w nadziei, że mąż wróci na podwieczorek. Wychodząc na ulicę Wolności, spojrział w kierunku Hajduk, ale żaden tramwaj stamtąd nie nadjeżdżał. Szedł dalej. Znów dało o sobie znać to nieznośne poczucie winy. Pomyślał, że kiedy wróci do domu, nie ominie go rozmowa z żoną. I będzie to ta z gatunku poważnych.

Mijając sklep Antoniego Franka, przypomniał sobie, że w drodze powrotnej chciał tu zajrzeć. Witryna kusila piramidkami czekoladek pakowanych w błyszczące kolorowe sreberka, a z szeroko otwartych drzwi sklepu rozchodziła się woń pierników. Pokonawszy trzy schodki, radca znalazł się w słodkim królestwie. Niewysoki sprzedawca o łagodnym spojrzeniu z pietyzmem układał na półkach pudełka z czekoladkami, traktując je jak największe skarby.

– Czym mogę służyć szanownemu panu? – powiedział, odwróciwszy się do wchodzącego Jendryska.

Adolf spojrział na ladę, na której stały prostokątne pojemniki wypełnione po brzegi liebesperlami – ulubionymi

cukiereczkami małej Helgi. Żółte, czerwone, zielone – jakie tylko dusza zapagnie. Obok leżały ułożone w stożki tabliczki czekolady. A na półkach za plecami sprzedawcy stały kolorowe, wymyślnie zdobione pudełka pełne czekoladek o różnych smakach.

– Poproszę pół funta liebesperli. Po garści z każdego koloru – zaczął Jendrysek.

Sprzedawca nałożył do papierowej torebki kolorowych, pachnących cukierków i postawił ją na wadze:

– Pięćdziesiąt groszy. Coś jeszcze? – zapytał.

– Owszem – odparł radca. – Dwie tabliczki czekolady i pudełko pralinek – tych z tyłu po lewej. – Wskazał granatowe pudełko zdobione w roślinne wzory. Sprzedawca ściągnął z półki pojemnik w kształcie serca, na wieczku którego złotymi literami napisano: „Praliny wykwiłtne”.

– Razem trzy złote i pięćdziesiąt groszy. – Sprzedawca zapakował słodycze do papierowej torby z napisem „Antoni Franek. Fabryka cukierków, pierników i czekolady. Świętochłowice, Wolności 21”. – Zapraszam znowu. W przyszłym tygodniu ruszamy ze sprzedażą nowych pralin z malinowym nadzieniem.

– Dziękuję. Jeśli znajdę czas, na pewno przyjdę. Moje uszanowanie. – Jendrysek w geście pożegnania uniósł kapelusz i wyszedł.

Szedł dalej ulicą Wolności. Popołudniowe słońce przeglądało się w witrynach sklepów. Kwaciarka pod numerem trzynastym wносиła do sklepu wiadra z niesprzedanymi tego dnia różami, mieczykami i frezjami. Wokół sklepu rozchodził się zapach świeżych kwiatów. Idąc wzdłuż kutego, żelaznego ogrodzenia kościoła Świętych Piotra i Pawła, Adolf poczuł lekki powiew, który wprawił w ruch liście wysokich drzew w ogrodzie naprzeciw głównego wejścia do świątyni. Szum kołysanych wiatrem liści nieco go uspokoił. Ulica opustoszała.



Radca skręcił w Bytomską i zmierzając w kierunku Mally'ego, przyglądał się rzeźnikowi Szaremu, który z witryny swego sklepu zbierał pęta podsuszanej kiełbasy. Od Janicy – oferującego artykuły kolonialne – wyszła elegancka młoda kobieta. Niosła torbę, z której unosiła się przyjemna woń kawy. Jendrysek wciągnął powietrze i przyspieszył kroku, by jak najszybciej znaleźć się w restauracji.

– Kafyj i kōncek kołōcza – zawołał od progu.

Słyszając głos przyjaciela, Alfred Tomalla polecił kelnerce przynieść dwie białe kawy i dwa kawałki kołōcza z posypką. Adolf zajął stolik blisko okna.

– Serwus. – Tomalla dosiadł się do Jendryska. – Słyszōtech, co na Wolności ōbkradli szporkasa.

– Ja, nale jich chycyli i wszystkie piyniōndze majōm nazōd – odpowiedział Jendrysek.

– A co z Ingōm?

– Trzimiōm jōm u nōs i forsztelujōm, eli ōna niy mō cosik spōlnego z tym napadym.

– Przeca ōna juź bōła wtynczōs w hereszcie – zauważył Alfred.

– Mōsz recht. Ino taki napad trza pryndzjy ōbsztalować. Musiałyby wiedzieć, co we strzoda do szporkasy prziwiezōm piyniōndze.

– A szandary jij niy przesuchali? – drążył dalej Tomalla.

– Przesuchajōm. Ino nōjsōmprzōd muszōm przicisnōć Szampery – majstra ōd tych chachōrōw. Kej ōd niego sie wywiedzōm, fto zleciył napad, leko bydzie gōdać z Ingōm.

– No ja. To je prōwda – przytaknął Alfred i pośodził kawę, którą właśnie postawiła przed nim kelnerka. Adolf zrobił to samo i ugryzł kawałek kołōcza.

– Zapōmniołbych. – Jendrysek odłożył ciasto na talerzyk. – Dwa dni przed napadym do szporkasy prziszōł istny

i rozpytował się o skrytkę. Kej tyn istny wylaził, trefił go kasjer Świerk – wiysz – tyn co miyszko na Barbce.

– Wele Sprusa? – upewnił się Alfred.

– Ja. Zdowało mu się, co tyn istny bół blank podany na Salzmanna, ino miał siwe wosy i ôgolonego wõnsa.

– Dyc takigo chopa zech widzioł na szpilu! – Tomalla aż podskoczył na krześle. – I wtynczõs żeście się zy mie z Albertym lachali.

– Jerõnie. Dyc jõ o tym zapõmniõł. – Jendrysek zakrył usta ręką. – Nale Salzmann oð wiosny niy żyje. Dõchtõr Wolnik bół zicher. A można õn tyż się lajstnoł – pomyślał głošno radca.

– Abo niy pedzioł cołkij prõwdy – dokończył Alfred.

– Ino to by õznaczało, co Salzmann żyje i robi policyjõ za bõzna. I nõs tyż. – Jendrysek drżącą ręką zapalił papierosa i głęboko wciãgnął dym. – Forsztelujesz się, wiela z tego wiy Bargieł i wiela mi niy pedzioł? – dodał poirytowanym głosem.

– A kej Salzmann żyje, to fto leży na smyntõrzu? – podsumował Alfred.

– Pierõn wiy. – Adolf machnął nerwowo ręką. – Już zech dzisiõj jes za fest wykamany, coby się nad tym wszystkim gowa łõmac – odparł, dopijając kawę i wkładając do ust ostatni kawałek kołõcza. – Dziynki za swaczyna.

A wstając od stołu, dodał:

– Myśla, co Bargieł wiy tyła, wiela musi. Spõmniało mi się terõzki, co dõchtõr Wolnik pedzioł, co sõm ludzie, kere niy chcõm, coby ta sprawa wyszła na jaw. I padoł, co mõm dõwać pozõr, bo õne sõm fest geferlich.

– Można dõchtõr richtich cosik wiy – stwierdził Tomalla, drapiąc się po czole, jak miał w zwyczaju, gdy się denerwował.

– Kej się ino czegoś dowiym, zarõz dõm ci wiedziec – oznajmił radca, zabrał torbę z zakupami, uchylił kapelusza i skierował się do wyjścia.

W drodze powrotnej próbował poukładać sobie wszystkie nowe informacje. Już dwie osoby – niezależnie od siebie – stwierdziły, że widziały Salzmanna, a przynajmniej tak im się wydawało. Wszyscy, którzy w nieboszczyku z piwnicy rozpoznali zaginionego restauratora, mogli działać pod presją i w wielkim stresie. Adolf zastanawiał się, jak on sam zareagowałby, gdyby kazano mu zidentyfikować zmumifikowane zwłoki. Dlaczego ze wszystkich znajomych Salzmanna tylko jedna Inga Bittner nie rozpoznała trupa? Może chodziło o to, aby policja uznała, że kobieta nie potrafi się pogodzić ze śmiercią ukochanego i dlatego nie myśli racjonalnie? Dzięki temu przestali się nią interesować. Czy o to właśnie chodziło sprytniej Indze Bittner? Czy ostrzegając Adolfa, doktor Wolnik wiedział więcej niż się radcy wydawało? A ile wiedział komisarz? Raczaj nie wyglądał na dobrego aktora. A może radca się myli?

W tej sytuacji nie pozostało Adolfowi nic innego, jak tylko poczekać na dodatkowe zeznania Szampery. Po drodze zauważył jadący w stronę Piaśnik tramwaj. Wszedł do wagonu, aby za chwilę wysiąść na skrzyżowaniu Bytomskiej i Piłsudskiego. Resztę drogi do domu postanowił przejść piechotą. Z powodu dzisiejszego podwieczorku ogarnęło go uczucie wstydu. I z powodu wszystkich innych podwieczorków, na których był nieobecny. Z ogródka gospody Lindnera dochodził gwar wesołych rozmów, który z każdym krokiem Adolfa cichł coraz bardziej. W głębi po lewej stronie drogi majaczyły kominy Kopalni Matylda Zachód, w której pracowali bracia Jendryska. Idąc dalej niewielkim mostem, minął leżący niedaleko kościoła cmentarz, na który przed niespełna tygodniem wpadła wybita nieszczęśliwie przez Michalskiego piłka, grzebiąc tym samym nadzieje na wejście ukochanego klubu radcy do pierwszej ligi. Minąwszy

katolicką świątynię pod wezwaniem Świętego Augustyna i farę tegoż kościoła, szybkim krokiem wszedł do przestronnej, choć ciemnej klatki schodowej. Wchodząc na górę, pod stopniami schodów szukał wzrokiem miejsc, w których mała Helga często przyklejała gumę do żucia, aby ukryć swą dziecięcą słabość przed zasadniczą matką. Hajdelka nie pochwałała żucia gumy, a słodczyce wydzielala dzieciom z zamykanej na kluczyk szafki.

– Myślałach, co już żeś sie stracił na amynt. – Dochodzący z kuchni niezadowolony głos żony powitał Adolfa w progu.

– Gödołech ci, co ida na policyjõ i niy wiym, kej byda nazõd – odpowiedział poirytowany, odkładając na garderobę kapelusz i torbę z zakupami.

– Abo żeś zaś kajś na biyrze siedziõ? – Hajdelka weszła do przedpokoju, wycierając ręce o fartuch. – Lepij pogõdej z Helgõm. Chyba mõ ci cosik do powiedzyniõ.

– Zaś coś nazgobiyla? – Od razu zrobiło mu się gorąco.

– Kejbyś zgõd. I zaś mõ sztubynareszt.

– Nale nic jij niy je? – zapytał, kierując się do pokoju córki.

– Niy – uspokoila go Hajdelka.

Gdy wszedł do środka, wydawało mu się, że pokój jest pusty. Na półce grzecznie siedziały dwie lalki ubrane w kolorowe, letnie sukienki. Obok brązowy pluszowy miś z czerwoną kokardką pod szyją. Na stoliku pod otwartym oknem stał drewniany domek dla lalek. Małe rączki ustawiły miniaturowe mebelki w idealnym porządku. Mieszkające w domku lalki spały w swoich łóżeczkach, przykryte maleńkimi kołderkami w biało-czerwoną kratkę. Adolf powoli siadł na łóżku córki.

– Helga, jes żeś tukej? – zapytał najłagodniej, jak potrafił.

– Niy. – Spod białej w niebieskie kwiatuszki kołdry dobiegł cienki, ledwie słyszalny głosik.

- Wyłyż.
- Niy, bo bydziecie sie gorszyć. – Kołdra lekko się poruszyła.
- Wyłyż, bo zarōzki sie znerwuja. – Ojciec zaczął tracić cierpliwość.
- Wylyza, ino ôbiecejcie, co sie niy pogorszycie.
- Ôbiecuj. – Aby potwierdzić obietnicę, Adolf położył trzy palce na sercu.

Kołdra zaczęła się powoli odsuwać. Pierwsze pokazały się małe rączki, potem ciemne loczki. W pierwszej chwili Adolf niczego nie zauważył. Kiedy jednak dłużej patrzył na buzię dziewczynki, okazało się, że zniknęły długie warkocze, które jeszcze rano wesoło tańczyły wokół piegowatej twarzyczki małej Helgi.

– Kaj ty mõsz bibiki? – zapytał ojciec.

Helga wtuliła głowę w róg kołdry i cichutko zapłakała.

– Chca być policajym, a ône przeca niy mogõm mieć dugich wosõw. Widzieliście kejsik policajja z dugimi wosami? – zapytała, wycierając nos w chusteczkę, którą wyjęła spod poduszki.

– I bezto żeś sie tak rzadnie zetła? – odparł nerwowym tonem, obracając głowę córki.

– Jõ niy wiedziała. Mama gõdajõm, co jutro põdymy do Baruckigo i ôgoli mie na glaca. – Teraz zaczęła płakać jeszcze głośniej.

– Ôbiecałaś, co juź wiyncyj niy narobisz żõdnych gupot, a tu zaś. Jakõś sztrõfa musi być.

Na te słowa Helga schowała głowę pod kołdrę i zaniósła się płaczem.

– Dobra. Niy ślimtej. Pogõdõm z mamõm, coby Barucki ôstawiyl ci te twoje wele. Nale jeszcze rõż mi cosik napochõsz, niy byda mioł żõdnyj litości.

Helga wyskoczyła spod kołdry i objęła ojca małymi rączkami. Adolf poczuł na swoim policzku jej ciepłe łzy.

– Őbiecuja. JuŹ nic niy napochōm. Őbiecuja – powtarzała niczym mantrę.

– Őstōń dzisiej w izbie. – Radca pocałował cōrkę w czoło, wstał z łōŹka, odsunął zašlony i skierował się ku drzwiom. WychodŹąc, usłyszał cieniutki głōsik:

– JuŹ niy chca być policajym. Z tym ino mocka auflaufu. TerōŹki ôstana prywatnym detektywym.

Na te słowa po plecach Adolfa przeleciał dreszcz. WchodŹąc do kuchni, modlił się w duchu, aby mała Helga wreszcie zmądrzała i dała sobie spokōj z dziwacznymi pomysłami. Hajdelka, stojąc przy stole, smarowała kromki chleba tustym, które przygotowała poprzedniego dnia. Zapach czosnku i majeranku zapraszał do jedzenia. Adolf poczuł głōd.

– Niy bydŹ do Helgi takō surowō – przerwał denerwujacŹ ciszę. – Őna sie starō, co jōm kōŹesz ôgolić na glaca.

– Za koŹdym razym, kej cie niy ma, ta małō zōwdy cosik nawynokwiō – odparła do męŹa z wyrzutem. – Jutro pōdymy do Baruckigo, wyrōwnō jij te wosy i bydzie fertich. Jō je fest ciekawō, co ôna zaš nawywijō – dodała, odwracajac Ź się do Adolfa plecami.

– Potrzebuja jeszcze trocha czasu – stwierdził Jendrysek. – Mōmy blank nowy trop i musimy go ôbadać. Ta cołkō sprawa nōm sie kōmplikuje i niy wiym, kej bydymy fertich. – ZbliŹył się do Źony, objął jŹ i pocałował. – Chciołech być dzisiej na swacynie, ino Źōdno banka niy jechała. Nale kupiył Źech na Świyntochłowicach u Franka cosik do pomaszkecyniō. Mōsz tam szekulada i praliny do ciebie, a do Helgi i Wenera liesperle. Őbiecuja, co jutro byda na ôbiod.

– Ty juŹ mi niy ôbiecuj, bo potym nic z tego niy wyłazi – odpowiedziała Hajdelka i uwolniła się z objęć męŹa. – Bier

zbōnek z tyjym i pōdź na wieczerzō. – Wzięła do ręki talerzyk i przekładając na niego kilka kromek, dodała:

– Werner przileci z placu, bydzie mieć na wieczerzō.

Oboje przeszli z kuchni do jadalni, siedli za stołem i popijając gorzką herbatą, w milczeniu jedli sznity z tustym.





## Rozdział XIV

Następnego ranka Adolf spokojnie zjadł śniadanie i gdy dopijając kawę, czytał poranną prasę, w której od dwóch dni głównym tematem był środowy skok na bank, do drzwi zadzwonił dzwonek.

– Albert do ciebie – zawołała Hajdelka z przedpokoju.

Jendrysek zerwał się z krzesła i pobiegł do drzwi.

– Serwus. – W przedpokoju stał posterunkowy Melcer. – Zbiyrej sie a gibko. Bargieł chce cie widzieć.

– Mõ coś? – Adolf odpowiedział pytaniem.

– Kõzoł mi cie przywiyż. Nic wyncyj mi niy pedzioł – odparł Albert. – Przirychtuj sie, jõ poczekõm na dole.

– Ino dopija kafyj i już leca. – Adolf skończył kawę i wyniósł filiżankę do kuchni. – Őbiecołech ci spõlny õbiod, nale dzisiej moga być jeszcze niyskorzij jak wczorej – zwrócił się do żony szykującej dzieciom śniadanie i pocałował ją w czoło.

– Niy starej sie – odparła. – Lauf und passt auf dich auf, damit dir nichts passiert, denn das würde ich nicht überleben\*.

– Hajdelka odwzajemniła pocałunek. Zawsze, kiedy mówili o czymś, czego nie powinny słuchać dzieci, automatycznie przechodzili na niemiecki.

Adolfowi zrobiło się nieswojo. Odkrył, że woli, kiedy jest na niego zła. Złość usypiała w nim poczucie winy.

---

\* Leć a dej pozõr, co ci sie nic niy przitrefi, bobych tego niy przeżyła.

Założył kapelusz, wziął do ręki płaszcz i zbiegł na dół. Przed domem stał nowiutki policyjny ford – czarny niczym węgiel z pobliskiej Matyldy. Radca miał wrażenie, że podobne auto już gdzieś widział.

– Wsiadej. – Głos Melcera uchylającego drzwi samochodu wytrącił Jendryska z chwilowego zamyślenia.

Wsiadł w pośpiechu. Wyściełane skórą fotele samochodu były bardzo wygodne. Kierowca, którym okazał się Paweł Esterski, sprawnie prowadził. Widać było, że kierowanie tą elegancką maszyną sprawia mu przyjemność. Mimo że obaj panowie nie darzyli się sympatią, Jendrysek był pełen podziwu dla zręczności starszego posterunkowego. Ani się obejrżeli, kiedy samochód stanął przy ulicy Vogta 20, przed komisariatem policji w Świętochłowicach.

– Dobrze, że jesteście, Jendrysku. – Bargieł przywitał radcę, stojąc przy oknie z papierosem w dłoni. – Mieliście rację. – Skinieniem ręki wskazał Adolfowi krzesło i kontynuował: – Co prawda na początku Szampera nie pisnął ani słowa, ale kiedy śledczy Erwin Kuś wybrał się do szpitala w Nowej Wsi, wystraszony Hoffmann przyznał, że jego wspólnik wspomniał o jakimś nieznanym mu, czyli Hoffmannowi, człowieku.

– Znacie nazwisko tego człowieka? – przerwał mu Jendrysek.

– Anton Lipa – odpowiedział komisarz, gasząc papierosa. – Coś wam to mówi?

– Niestety nie – odparł Adolf z rezygnacją w głosie, ale zaraz się ożywił. – A ten wasz śledczy? To chyba nie jakiś żółtodziób? Pewnie ustalił rysopis tego całego Lippy.

– Owszem – potwierdził Bargieł. – Nie wiem, czy jego rysopis w ogóle się do czegoś przyda. Takich rysopisów mamy na pięćdziesiąt.

– Mimo wszystko chciałbym się z nim zapoznać – nalegał radca.

– W porządku. Czytajcie. – Z leżącej na biurku szarej teczki policjant wyciągnął niedużą zapisaną atramentem kartkę.

Adolf zaczął przeglądać zeznanie Szampery, aż w końcu trafił na interesujący go fragment: „(...) wysoki, jasne włosy, tzw. świński blond (...)”. W miarę czytania robiło mu się coraz bardziej gorąco. „(...) gładko ogolony, mówił po polsku z silnym niemieckim akcentem (...)”. Ostatnia informacja przypieczętowała przypuszczenia Jendryska.

– Mam pewne podejrzenie – oznajmił, podnosząc głowę znad kartki i jednocześnie starając się ukryć wzburzenie.

– Jakie? – Okrągłe oczy komisarza zrobiły się jeszcze większe. – Macie kogoś na myśli?

– Nie jestem całkownie pewien. Musiałbym przeprowadzić jeszcze jedną rozmowę – zaczął Adolf zagadkowo. – Ale wy, komisarzu, musicie mi to umożliwić. – Mówiąc to, obrzucił Bargieła badawczym spojrzeniem.

– Ja? Nie rozumiem. – Komisarz zaczął machinalnie przesuwając stojące na biurku kałamarz i popielniczkę. – A z kim to chcecie rozmawiać?

– Z Ingą Bittner. – Jendrysek postanowił więcej nie kluczyć.

– Chyba nie sądzicie, że ta mała Bittner przebrała się za wysokiego blondyna i zaplanowała skok na bank? – Komisarz zaśmiał się nerwowo.

– Oczywiście, że nie. Sądzę, że może znać tego mężczyznę i nas do niego doprowadzić – odrzekł nieporuszony radca.

– Jeśli nalegacie. Ale posterunkowy Melcer będzie notował jej zeznania. – Bargieł zaznaczył twardo.

– Zgoda – potwierdził Jendrysek. – Jest jeszcze coś.

– Co znowu? – Policjant powoli tracił cierpliwość, a jego okrągła twarz nabierała pąsowych barw.

– Polećcie Melcerowi zabrać ze sobą zegarek zrabowany ze skrytki Salzmanna.

– Róbcie, jak chcecie. Tylko nie przeholujcie – przestrzegł komisarz. – Ta mała jest bardzo wrażliwa.

– I sprytna – odparł Jendrysek z uśmiechem, wstał z krzesła i skierował się ku drzwiom.

Bargieł chwycił za telefon, polecił posterunkowemu zaprowadzić radcę do celi Ingi i notować każde jej słowo.

Kiedy Adolf schodził po schodach, Albert już czekał na niego z pękiem kluczy w ręce.

– Dobrze słyszołech, co idymy gōdać ze Ingōm Bittner? – zapytał, widząc schodzącego po schodach Adolfa.

– Ja. Niy chiołech nic gōdać przy Esterskim, nale myśla, co ôna jes wmiyszanō w tyn napad na szporkasa – tłumaczył ściszonym głosem Jendrysek.

– Dyc tak zech pōmyślō – odparł Albert z tajemniczym uśmiechem.

– Niy gōdej nic, nawet, kej pōmyślisz, co fanzōla choby potrzaskany – dodał radca na koniec.

Główne schody prowadziły do piwnic, w których znajdował się areszt. Większość z więziennych cel była pusta. Z wyjątkiem dwóch – tej, w której trzymano Ingę, i jeszcze jednej, którą chwilowo zajmował drobny kieszonkowiec ujęty dwa dni wcześniej przez Esterskiego i Belkę. Jadąca tym samym tramwajem co złodziej elegantka miała wielkie szczęście, ponieważ uciekający rabuś wpadł prosto na przechodzących właśnie nieopodal przystanku policjantów.

Idąc wąskim ciemnym korytarzem, minęli rzędy masywnych, stalowych drzwi, opatrzonych po środku niewielkimi okienkami, przez które strażnicy obserwowali osadzonych. Zanim otworzyli celę młodej Bittnerówny, spojrzeli do środka. Promienie wpadające przez niewielkie, okratowane okno,

które umieszczono tuż pod sufitem, oświetlały szarozielone ściany. W rogu obok stało metalowe łóżko, a na nim siedziała przykryta kocem Inga, przewracając kartki jakiegoś czasopisma. Pewnie modowego, co dało się wywnioskować po okładce. Przy łóżku ustawiono stół i dwa krzesła.

Kiedy weszli do środka, Inga na chwilę położyła gazetę na kolanach, ale zaraz ją podniosła, zasłaniając twarz. Po prawej stronie drzwi Adolf zauważył szafkę, na której stały miska i dzbanek na wodę do mycia. Dalej za kotarą najpewniej znajdowała się toaleta albo coś, co miało ją zastąpić. Mimo uchylonego okienka cela była zimna i przesiąknięta zapachem wilgoci. Adolf pomyślał, że jeśli Inga szybko stąd nie wyjdzie, niechybnie zachoruje.

– Dzień dobry – powiedział radca, nie wiedząc, od czego zacząć.

– Nie wiem, czy taki dobry – odezwała się dziewczyna i odkładając żurnal, wbiła w Adolfa zimne spojrzenie.

Oliwkowa cera Ingi przybrała niezdrowy żółty odcień, a pod wielkimi, brązowymi oczami pojawiły się sińce. Letnia sukienka koloru zielonego groszku, którą miała na sobie, była brudna i nieświeża. Mizerna, poskurczana postać w niczym nie przypominała zjawiskowej piękności, dla której Adolf przez chwilę stracił głowę. Za to jej wrogość wobec radcy stłumiła w nim resztki współczucia dla trudnego położenia dziewczyny.

– Dla nas dobry – odparł Adolf z zadowoleniem, chcąc ją rozdrażnić jeszcze bardziej. Rozsiadł się na krześle przy stole, drugie zaś zajął posterunkowy Melcer, kładąc na blacie papier i pióro.

– Czego chcesz? Wszystko już powiedziałam policji – wycedziła przez zęby.

– A ja myślę, że masz nam jeszcze dużo do powiedzenia – zaśmiał się Adolf, nie zwracając uwagi na złość Ingi.

- Nawet jeśli, to nie tobie...
- Nie kończ, proszę – przerwał jej radca łagodnym tonem.
- Nie wiesz, po co przyszedłem.  
Zaciskając szczęki, spojrzała na niego ze złością.
- Kim jest Anton Lippa? – zapytał Jendrysek.
- Nie znam żadnego Antona Lippy – odpowiedziała spokojnie, ale stanowczo, odgarniając z twarzy kosmyk lekko przetłuszczonych włosów.
- Zatem odświeżę ci pamięć – odparł sarkastycznie. – Niejaki Anton Lippa to wysoki blondyn mówiący po polsku z wyraźnym niemieckim akcentem. Ale nie to jest najważniejsze.
- A co? – zapytała wyzywającym tonem.
- To, że łudząco przypomina niejakiego Georga Salzmana – oznajmił, obserwując przy tym reakcję dziewczyny.
- Inga jakby nieco zeszywniała.
- Nie pojmuję, do czego zmierzasz. Przecież Salzmann od wiosny nie żyje – stwierdziła nerwowo.
- Jestem tego świadom tak samo jak ty – odparł spokojnie Jendrysek. – Ale ciekawi mnie jedno: skoro dziś twierdzisz, że restaurator nie żyje od wiosny, dlaczego po odnalezieniu jego ciała ty, jako jedyna, twierdziłaś, że nieboszczyk z piwnicy to nie Salzmann. O co właściwie chodziło? O to, aby uznali cię za nieszkodliwą wariatkę i zostawili w spokoju?
- Bzdura! – zachnęła się. – Wierutna bzdura!
- Bzdurą były twoje rzekome podróże za pieniądze ze sprzedaży skradzionych U Mally'ego rzeczy. Żadnych podróży nie było. Sprawdziłem to. Co zatem robiłaś z pieniędzmi?
- Wszystko już powiedziałam! – krzyknęła, ale widząc dezaprobatę na twarzy posterunkowego, opanowała się.
- Albert skrupulatnie notował, patrząc to na Jendryską, to na Ingę. Adolf uznał, że przesłuchanie zmierza we właściwym kierunku i teraz nadszedł odpowiedni moment na blef.

– Powiem ci, co robiłaś z pieniędzmi – zaczął spokojnym tonem. – Przekazywałaś podstawionej przez Salzmanna osobie, a ta lokowała je w skrytkach Banku Ludowego, aby potem w czasie napadu ktoś inny zrabował je razem z okazałą wartością skrytki restauratora. – Mówiąc to, wziął do ręki szare pudełko i wyciągnął z niego czarne skórzane etui. Odwracając je w stronę dziewczyny, kontynuował: – Aby wszystkiego dopilnować przed napadem, w banku pojawił się sam Salzman. Można zafarbować włosy, zgolić wąsy, ubrać się inaczej, nawet zachowywać, a i tak znajdzie się ktoś, na kogo ten doskonały kamuflaż po prostu nie zadziała – dokończył z ironicznym uśmiechem, otwierając etui i wyciągając zegarek.

– Po co pokazujesz mi ten zegarek? Chcesz mi wmówić, że Salzman żyje?

– Więcej. Zwłoki pochowane w grobie Salzmanna nie należą do niego. To ktoś zupełnie inny. Ktoś, komu ty także pomogłaś umrzeć – oznajmił, patrząc Indze głęboko w oczy.

– Nieprawda! Nikogo nie zabiłam! – krzyknęła.

– Nie mnie to oceniać – odrzekł spokojnie radca. – Na razie jesteś jedyną osobą w rękach policji, która mogła mieć coś wspólnego ze śmiercią mężczyzny mylnie uznanego za Salzmanna. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji. Nie mówimy o kradzieży paru butelek wina... mówimy o morderstwie – ostatnie słowo wypowiedział najwolniej, jak potrafił.

– Ale ja naprawdę nikogo nie zabiłam – odparła cicho.

– Jeśli chcesz oczyścić się z zarzutów, musisz współpracować z policją – przekonywał. – Inaczej czeka cię wiele lat w więzieniu. Może nigdy z niego nie wyjdiesz, a jeśli nawet, będziesz stara, brzydka i biedna jak mysz kościelna.

Inga spuściła głowę, a gdy ją podniosła, po zmęczonych policzkach płynęły łzy. Adolf wyciągnął z kieszeni czystą chusteczkę i podał dziewczynie. Wytarła oczy drżącą dłonią.

– Dobrze. Powiem wszystko, ale chcę mieć gwarancję, że mnie stąd wypuścicie. Dłużej tu nie wytrzymam. – Spojrzała na Jendryka niczym małe, wystraszone dziecko.

Melcer podniósł wzrok znad notatek. Adolf dopiął swego. Zadowolony radca wstał z krzesła i spokojnym tonem zwrócił się do posterunkowego:

– Zostańcie tu z więźniem, ja pójdę po komisarza. To zeznanie powinien usłyszeć osobiście. Choćby po to, aby nikt nie oskarżył nas o próbę wymuszenia.

W rzeczywistości Adolf nie chciał zostać z Ingą sam na sam. Zostawiając ją z Melcerem, uniknął nieprzyjemnej rozmowy, a może nawet próby szantażu ze strony dziewczyny.

\*\*\*

Kiedy radca wyszedł, Inga wycierała łzy. Posterunkowy Melcer postanowił milczeć i czekać, aż Adolf wróci w towarzystwie komisarza. Inga wystraszyła się nie na żarty. Do tej pory miała nadzieję, że za niedługo wypuszczą ją z aresztu, a cała sprawa rozejdzie się po kościach. Teraz sytuacja zmieniła się całkowicie. Dlaczego Georg był tak nieostrożny? Kto go rozpoznał? Może ktoś z banku? Nie miała pojęcia. Obiecał, że kiedy to się skończy, wyjadą razem do Szwajcarii. Tam się pobiorą i otworzą restaurację. Wyobrażała sobie, że zostanie panią Salzmann i będzie prowadzić dobrze prosperujący elegancki lokal. Już nigdy nie miało jej brakować pieniędzy. Przecież wszystko było tak dobrze zaplanowane.



## Rozdział XV

Jendrysek podszedł do dyżurki i poprosił, aby zadzwoniono po komisarza.

– Powiedźcie, żeby zszedł do celi Ingi Bittner. To pilne – zaznaczył i udał się z powrotem do piwnic.

– Komisarz już idzie – oznajmił, stanąwszy w drzwiach celi.

– Poczekamy – odparł spokojnie Melcer. – Zapalicie? – zwrócił się do Adolfa, podając mu paczkę papierosów Silesia.

– Z przyjemnością. – Jendrysek wyciągnął jednego.

– Czy ja też mogłabym się poczęstować? – Inga prosząco spojrzała na Melcera.

– Oczywiście. Tego więźniom nie odmawiamy. – Postęrunkowy z uśmiechem podał jej papierosa.

Dziewczyna postawiła na stole swój kubek na herbatę, który miał posłużyć za popielniczkę. Kiedy zapaliła, łapczywie wciągnęła dym, jakby to było najlepsze lekarstwo na skołatanę nerwy. W tym momencie w celi pojawił się komisarz Romuald Bargieł.

– Dzwoniliście, Jendrysku? – zwrócił się do Adolfa.

– Owszem. Inga Bittner ma wam do powiedzenia coś bardzo ważnego – wyjaśnił radca. – Ale zanim posłuchacie tej niecodziennej historii, radzę zapalić.

– Skoro tak? – odparł komisarz z uśmiechem. – Papierosa nigdy nie odmawiam, zwłaszcza w takim towarzystwie. – Spojrzał filuternie na Ingę, a ta spuściła wzrok.

– Zatem cóż ma nam do powiedzenia ta przemiła osóbką? – zapytał. – Jeszcze niedawno twierdziła, że wszystko już powiedziała.

– Melcer, jesteście gotowi do notowania? – Adolf zwrócił się do posterunkowego.

– Tak jest.

– Ta przemiła osóbką – jak nazwał ją komisarz – wszystkich nas wyprowadziła w pole, ale dzięki kilku szczęśliwym zbiegom okoliczności udało nam się przejrzeć jej doskonały plan. – Jendrysek, jak przystało na radcę, wygłosił odpowiedni wstęp.

Twarz Ingi spąsowała, ale za moment znów przybrała odcień zgniłej żółci.

– Chciałem jeszcze dodać, że historia nie będzie dotyczyć jedynie kradzieży, ale też zamkniętej już sprawy Salzmanna oraz niedawnego napadu na Bank Ludowy.

– Jak doszłicie do tego, że wszystkie te sprawy się łączą? – zapytał nieco zdziwiony Bargieł.

– Zupełnie przypadkowo, ale o tym później – odpowiedział Jendrysek. – Teraz oddamy głos panie Bittner. Dodam tylko, że w jednym mieliście, komisarzu, rację.

– A mianowicie?

– Georg Salzmann nie został zamordowany – stwierdził przewrotnie Jendrysek.

– A mówiłem, radco? Mówiłem? – Bargieł pogroził Adolfowi palcem, a na jego okrągłej twarzy pojawił się triumfalny uśmiech.

– Nie popełnił też samobójstwa – włączyła się nagle do rozmowy Inga, uznając, że to najlepszy moment.

– Jak to? – zdziwił się komisarz. – Jeśli to nie było zabójstwo ani samobójstwo, to co? Chyba nie śmierć z przyczyn naturalnych? Nie pamiętam, żeby doktor Wolnik kiedykolwiek

się pomylił – uśmiech z ust komisarza zniknął tak szybko, jak się pojawił.

– Tym razem doktor Wolnik napisał w raporcie to, czego życzyli sobie wasi przełożeni z Katowic – wyjaśnił Jendrysek.

– W istocie. – Bargieł się zastanowił. – Dzwonili parę razy z poleceniem, żeby jak najszybciej zamknąć śledztwo. Zbyttno mnie to nie zdziwiło, bo takich interwencji mieliśmy więcej, także przy innych sprawach. Ale dalej nie wiem, co z Salzmannem. Mówcie, bo zaraz... – walnął pięścią w stół.

– Georg Salzmann żyje – oznajmił radca z grobową miną.

– Jak to żyje? – Komisarz podskoczył na krześle, a pociągła twarz Melcera ze zdziwienia wydłużyła się jeszcze bardziej.

– To kto leży na cmentarzu? – huknął komisarz i zaczął chodzić po celi z papierosem w ręku.

– Nie wiemy. Trzeba będzie zarządzić ekshumację. – Tym razem do rozmowy włączył się posterunkowy.

– Nie bardzo chce mi się w to wszystko wierzyć. – Bargieł oparł się o szarozieloną ścianę i zaciągnął papierosem. – Niech ta mała zacznie śpiewać.

Wystraszona Inga spojrzała wymownie na Jendryską, a ten skinął głową na znak, że może zaczynać. Wygładziła sukienkę, odłożyła papierosa na talerzyk, który postawiła obok kubka udającego popielniczkę, i zaczęła mówić:

– Kiedy Georg Salzmann przejmował restaurację Roberta Mally'ego, ciążyły na niej ogromne długi. Aby ratować interes, musiał zaciągnąć kredyty, które jak się później okazało, nie starczyły na pokrycie wszystkich zobowiązań. Żaden bank nie chciał dać mu kolejnej pożyczki, dlatego zaczął zadłużać się u osób prywatnych. Kiedy okazało się, że lokal jest nie do uratowania, a Georgowi grozi bankructwo, postanowił upozorować samobójstwo i zniknąć z resztą pieniędzy, jaka mu

została. – Inga na chwilę przerwała, aby nabrać powietrza, a Melcer rozluźnił zmęczoną od pisania dłoń.

– Jeżeli upozorował samobójstwo, znaczy, że dopuścił się morderstwa. – Komisarz zgasił papierosa i zaraz sięgnął po następnego.

Inga na chwilę zawiesiła głos.

– Do tego zmierzam – przyznała. – Długo szukał mężczyzny podobnego do siebie. Prócz tego najlepiej, żeby był bezdomny, bez rodziny, żeby nikt go nie szukał. Gdy już takiego znalazł, przed zamknięciem restauracji, gdy większość załogi wyszła już do domów, zaprosił go na talerz gorącej zupy, w której wcześniej utopił całą fiolkę Veronalu.

– To by się zgadzało – wtrącił Melcer.

– A potem wysmarował go Salwarsanem i płynem Fowlera – dodał Jendrysek.

– W istocie – odparła Inga. – Wannę w łazience jednego z hotelowych pokoi wypełnił płynami, o których wspomniał radca.

– Musiał mieć tych płynów chyba kilka galonów – zauważył komisarz.

– Owszem. Zbierał fiolki, hodując na ramieniu chorobę skóry. Chodził do różnych lekarzy, żeby nie wzbudzać zbyt-nych podejrzeń, a zaopatrywał się na całym Śląsku, także tym niemieckim – wyjaśniła Inga. – Po paru dniach, kiedy uznał, że ciało jest odpowiednio zмумifikowane i nie będzie się dało go zidentyfikować, ubrał zwłoki w swoje stare ubranie, włożył do kieszeni płaszcza własne dokumenty, przetransportował do otwartej piwnicy w domu przy ulicy Farnej, po czym zniknął. Okoliczności odnalezienia zwłok znacie – podsumowała. – Mogę jeszcze papierosa?

– Oczywiście – odparł posterunkowy, podając kobiecie zapalnik.

Komisarz siedział jak odurzony, wpatrując się nieobecnym wzrokiem w kubek pełen popiołu i niedopałków.

– Jakim sposobem udało mu się przetransportować zwłoki na Farną? Niemożliwe, żeby nikt go nie widział – odezwał się nagle.

– A oprócz starej Aleksowej, która znalazła nieboszczyka, przesłuchaliście jeszcze kogoś? – zapytał Adolf.

– Nie. Nie było czasu – stwierdził Bargieł, drapiąc się w czoło. – Pracowałem pod presją, nie miałem czasu myśleć o wszystkim. Zresztą nie tego ode mnie wymagano – dodał z przekąsem.

Inga postanowiła opowiadać dalej:

– Salzmann zniknął na jakiś czas, ale napisał do mnie, że kiedy wszystko ucichnie, zabierze mnie za granicę. Zanim to nastąpi, miałam mu pomóc w zdobyciu pieniędzy, dlatego zaczęłam kraść w restauracji. Część pieniędzy zostawiałam sobie, a większą część chowałam w skrytce na poczcie w Chorzowie. Stamtąd ktoś je odbierał i najwyraźniej lokował w Banku Ludowym w Świętochłowicach. Radca pokazał mi zegarek, który dałam Georgowi w prezencie. Nosił ten zegarek tylko na specjalne okazje. Potem oddawał go z powrotem do banku. Jeśli macie ten zegarek, to znaczy, że skrytka Salzmana także padła łupem bandytów.

– Możliwe, że Salzmann lokował pieniądze w kilku skrytkach. Po pierwsze dlatego, że trup raczej nie odkłada oszczędności, a po drugie, żeby zrabowanie zawartości jego skrytki umknęło policji w tłumie reszty okradzionych schowków – wtrącił Adolf. – Ale Salzmann był nieostrożny. W przebraniu wybrał się na mecz Śląska Świętochłowice z Naprzodem Lipiny i wtedy zobaczył go kierownik baru U Mally'ego Alfred Tomalla. Potem osobiście wybrał się do Banku Ludowego i tam rozpoznał go kasjer Joachim Świerk. Opryszkom, których

najął do przeprowadzenia napadu, przedstawił się jako Anton Lippa, ale rysopis, który podali, zgadza się z opisami Tomalli i Świerka, zwłaszcza tego drugiego – podsumował radca.

Komisarz chodził po celi w milczeniu, zaciągając się papierosem. Wszyscy czekali na to, co powie.

– Nie do wiary. Żeby tak nas wodzić za nos? – Bargieł nie mógł się uspokoić. – Ingo, wiesz, gdzie Salzman może teraz być? – zwrócił się do dziewczyny.

– Nie mam pojęcia. W ostatnim liście pisał, że na jakiś czas będzie musiał wyjechać za granicę i że wkrótce po mnie pośle – odpowiedziała ze łzami w oczach.

– Podał nazwę kraju, do którego się wybiera? – zapytał komisarz.

– Kiedyś obiecywał, że zabierze mnie do Szwajcarii, tam się pobierzemy i otworzymy restaurację. Nazywał mnie swoim „Dzióbeczkiem”.

– Szukanie Salzmanna w Szwajcarii to jak szukanie igły w stogu siana – stwierdził Bargieł z zafrasowana miną.

– Przypomniało mi się, że ostatnią wiadomość miał zostawić w skrytce na poczcie w Chorzowie. – Po raz pierwszy od pamiętnej nocy spędzonej z Adolfem na twarzy Ingi zagościł uśmiech.

– Jeśli tam nie będzie żadnej wskazówki, będziemy bezsilni – stwierdził komisarz i zwrócił się do radcy:

– Dobra robota, Jendrysku. Winny wam jestem przeprosiny. Od początku widzieliście, że coś tu nie gra. Gdyby nie wasze prywatne śledztwo, błędzilibyśmy po omacku. – Ścisnął Adolfowi dłoń i mówił dalej: – Na początek czekają nas dwa zadania: po pierwsze jutro z samego rana zlecam ekshumację zwłok naszego przebierańca, którą przeprowadzicie z doktorem Wolnikiem. Od razu też dokonacie ponownej identyfikacji zwłok i ustalicie prawdziwą przyczynę zgonu.

– Ale jutro jest niedziela – zauważył posterunkowy Melcer.  
– Musimy działać szybko. Niedziela, poniedziałek – jeden diabeł – odparł Bargieł. – Po drugie – i to zadanie dla ciebie, Ingo – jeszcze dziś w asyście posterunkowych Melcera i Esterskiego pojedziesz na pocztę do Chorzowa i sprawdzisz zawartość skrytki.

– A czy mogłabym przynajmniej umyć się i przebrać? – zapytała Inga ze strachem w oczach. – Nie mogę pokazać się ludziom w takim stanie. Wyjść na ulicę w brudnej sukience z tłustymi włosami, bez kapelusza i rękawiczek – to nie do pomyslenia.

– Dobrze. Melcer i Esterski zawiozą cię do domu, poczekają na dole, a ty doprowadzisz się do porządku – zgodził się komisarz. – Tylko nie próbuj żadnych sztuczek. – Pogroził jej palcem. – Pamiętaj, że od pozytywnego zakończenia tej sprawy zależy twój los. – Potem zwrócił się do pozostałych: – Oby wszystko poszło, jak trzeba. Do zobaczenia jutro albo jeszcze dziś. – Spojrzał na Ingę i wyszedł.

W celi nastała krępująca cisza.

– Dziękuję ci, Ingo, za współpracę. – Adolf odezwał się jako pierwszy. – Bardzo nam pomogłaś.

– Proszę. Mam nadzieję, że dotrzymasz słowa i jak najszybciej mnie stąd wyciągniesz. – Jej ton był teraz o wiele łagodniejszy niż na początku dzisiejszego spotkania.

– Jeśli ty dotrzymasz danego słowa i pomożesz nam złapać Salzmanna, zapewniam cię, że odzyskasz wolność. – Adolf podał rękę Melcerowi i ukłonił się Indze.





## Rozdział XVI

Sobotni obiad był prosty, ale smaczny – karminadle, do tego sztamfkartöfle i zasmażana kapusta. Tym razem Adolfowi udało się zdążyć i zasiąść do stołu z rodziną.

– Coś taki zadowolony? – zapytała Hajdelka, gdy zobaczyła męża w progu.

– Dzisiaj rozwiñożołech moja piyrszõ kryminalnõ sprawa – odparł z dumą, wieszając kapelusz na haczyku w przedpokoju.

– To musicie nõm õ wszyjskim poõsprawiać. – Zza spõdnicy matki wyrzała mała brązowa główka pełna ślicznych loczków.

– Widza, co glacõk cie õszczynõdzijł – zwrócił się do córki z pobłażliwym uśmiechem.

– Ja, ino pedzioł, co nastympnym razym bydzie mi richtich musioł zrobić glaca, bo niy mõm za nic grafki do strizyniõ i lepij, cobych sie już za to wiyncyj niy brała – odparła z troską w głosie.

– Boś je za maõ. I za maõ tyż żeś je na policaja, a tym bardzij na prywatnego detektywa. – Ojciec pogroził Heldze palcem. – Bezto ta õsprõwka õstawimy sie z mamõm na wieczõr, kej małe bajtle idõm nynać.

– A jõ tak chciała posuchać. – Helga zrobiła obrażoną minę.

– A potym ci sie w gowie przewrõcõ – zganiła ją matka.

Po ostatnich przeżyciach Adolf potrzebował spokoju domowego zacisza. Miał już dość tej niekończącej się sprawy.

Kto wie, gdzie Salzman teraz przebywa i jak głośno śmieje się z niezdarności policjantów. Ale chyba nie za głośno, skoro skok na bank mu się nie udał.

Poobiednie rozmyślenia Adolfa przerwała Hajdelka, stawiając na stole pudełko zakupionych przez męża pralin. Pozwoliła dzieciom wybrać po jednej. Helga upatrzyła sobie serduszko ze śmietankowym nadzieniem, a Werner wziął trójkąt z nugatem. Przypilnowała, aż dzieci opróżnią przygotowane wcześniej kubki mleka, i odesłała rodzeństwo do swoich pokoiów.

– Jutro musza asystować przy ekshumacji na smyntörzu we Świnyntochłowicach – oznajmił Adolf, odkładając filiżankę z kawą.

– Niy mõsz kej kopać w ziymy, ino przy niydzieli? – stwierdziła Hajdelka z wyrzutem. – Czekej, aże cie Pönböczek pokarö.

– Muszimy działać gibko – odparł Adolf. – Może być i tak, co byda musioł na jakiś czas wyjechać za granica.

– Inkszego niy mogöm posłać, ino zaś ciebie? – Hajdelka spojrziała na niego z dezaprobatą i wzięła do ręki zaczętą robótkę.

– Myślołech, coś już przywykła do tego mojigo znikaniö – zaśmiał się nerwowo.

– Bezmaść nigdy do tego niy przywykna i žödne szekulady ani szczewiki tego niy zmiyniöm. – Popatrzyła Adolfowi prosto w oczy. – A možno jö siedza w döma kej ta kwoka, a ty mõsz kogoś na boku? – rzuciła ni stąd, ni zowąd.

Adolfowi zrobiło się duszno i od razu sięgnął po papierosa.

– Co ty to gödösz. Jö niy mõm czasu dlö ciebie, a co dopiyo do inkszych baböw. Jö bych ci tak brzidko niy pedzioł – odparł urażony.

– Pedzioł niy pedzioł, baba swoje wiy. Kej chop sie co chwila traci, nic dobrego z tego niy bydzie – odparła niewzruszona.

– Gödej, co chcesz, jö wiyim swoje. – Jakże trudno było mu się bronić. Nie umiał sobie darować nocy z Ingą, ale nie potrafił też przyznać się żonie do zdrady. – Kej to wszystko bydzie fertich, pojadymy nad morze – do Danzig abo do polskij Gdynie. Tam mõ być fest gryfnie, a i bajtle jeszcze morza niy widziały. – Podszedł do żony, objął ją i pocałował w czoło.

\*\*\*

Paweł Esterski i Albert Melcer zawieźli Ingę do domu przy ulicy Kolejowej. Na szczęście dla dziewczyny mieszkanie było puste. Szybko zrzuciła z siebie brudną sukienkę i nieświeżą bieliznę. Na ciepłą kąpiel nie było czasu, dlatego do dużej miski naląła zimnej wody, po czym umyła się, jak potrafiła najszybciej. Przetłuszczone włosy zaczesła gładko do tyłu i spięła w kok. Umalowała oczy i usta. Wyciągnęła z szafy blad różową sukienkę, a na nogi założyła pantofelki tej samej barwy. Całość stroju dopełniły białe koronkowe rękawiczki i ażurowy kapelusz. Jeszcze odrobina perfum i była gotowa do wyjścia. Wzięła do ręki torebkę i zbiegła po schodach.

Kiedy starszy posterunkowy Paweł Esterski zobaczył wychodzącą z domu Ingę, otworzył szeroko usta, z których wypadł zapalony przed chwilą papieros. Zaklął pod nosem i uchylił drzwi auta.

– Na pocztę do Chorzowa – powiedział Melcer, kiedy siedzieli w samochodzie.

Podczas podróży żadne z nich nie wymówiło ani słowa. Inga zaczęła się w duchu nawet modlić, aby w skrytce czekała na nią wiadomość od Salzmanna. Perspektywa kilkunastu, a nawet kilku lat za kratami była dla niej nie do zniesienia. Melcer myślał o tym samym. Co stanie się z piękną Bittnerówną,

jeśli skrytka okaże się pusta? Czy komisarz nie zaprzestanie poszukiwań?

Pogrążeni w myślach stanęli niedaleko chorzowskiej poczty. Gdy szli do głównego wejścia, Inga spojrzała w górę. Z boku budynek przypominał jeden z tych pięknych gotyckich kościołów, które zwiedzała jako dziecko, a których wysokie wieże zdawały się sięgać chmur. Wielkie ostrołukowe okna zapowiadały spotkanie z Bogiem. Jak bardzo Inga potrzebowała teraz Bożej opieki, wiedziała tylko ona sama. W tej świątyni władza należała jednak do kogoś innego. Tutaj królowała bogini dobrych i złych wiadomości. Zatrzymawszy się przed głównym wejściem, nad którym górował balkon, spojrzała na wielki, okrągły zegar umieszczony tuż nad drzwiami. Dochodziła trzecia. Wstrzymała oddech i weszła do środka, policjanci pozostali w bezpiecznej odległości. Podeszła do jednego z okienek i chwilę poczekała.

– Panna Bittner. Czym możemy służyć? – Pracownik poczty od razu rozpoznał dziewczynę.

– Chciałam sprawdzić zawartość skrytki numer siedem – odpowiedziała, odwzajemniając uśmiech.

– Proszę ze mną. – Pracownik wyciągnął z szuflady klucz i podszedł do skrytki. Inga miała wrażenie, że na chwilę stanęło jej serce.

– Proszę. – Odwrócił się do dziewczyny, podając jej białą kopertę opatrzoną jedynie jej nazwiskiem.

– Dziękuję – odpowiedziała drżącym głosem. – Czy mógłby pan otworzyć mi tę kopertę? – zapytała zalotnie.

– Oczywiście. – Mężczyzna wziął do ręki rzeźbiony nóż do otwierania korespondencji i rozciął kopertę, po czym oddał Indze.

– To wszystko. Jeszcze raz dziękuję – odpowiedziała dziewczyna i skierowała się do wyjścia.

Kiedy wyciągała z koperty pojedynczą kartkę, słyszała bicie własnego serca.

„Dzióbeczku. Hotel Schweizerhof Zürich. Bahnhofplatz 7, pokój nr 13. Dalsze wskazówki czekają w recepcji. Twój Georg”.

Przeczytawszy wiadomość, z ulgą, a jednocześnie z ciężkim sercem, oddała kartkę policjantom. Już nigdy nie spotka Salzmann, ominie ją własna restauracja i dostatnie życie u boku ukochanego. Wolność ma jednak gorzki smak. Bez słowa ruszyła w stronę samochodu, dziękując Bogu za wysłuchanie modlitw.

\*\*\*

Komisarz zmęczony pełnym rewelacji dniem siedział przy biurku i przeglądał dzisiejszą prasę. Napad w Świątchłowicach nie schodził z pierwszych stron. Westchnął ciężko na myśl, że ta sprawa skomplikowała się jeszcze bardziej. Wtedy do jego gabinetu weszła Inga. W niczym nie przypominała umęczonej, mizernej postaci, którą przesłuchiwał przed dwiema godzinami. Silny kwiatowy zapach jej perfum przypomniał mu, że nadal trwa lato, a on nie wykorzystał jeszcze ani jednego dnia urlopu. Bładoróżowy kolor sukni dziewczyny kontrastował z oliwkowym odcieniem jej cery, a biały koronkowy kapelusz zasłaniał jej wielkie oczy. Zamiast otworzyć kopertę, którą podała mu Inga, zastanawiał się nad ich barwą. Nie pamiętał. Delikatnym chrząknięciem wyrwała go z zamyślenia. Od razu zeszytniał, otworzył list i odczytał wiadomość.

– Zurych – stwierdził lakonicznie. – Trzeba będzie tam posłać kogoś rozzarniętego. Dlaczego od początku nie była pani z nami szczerą? – zapytał.

– Nie wiem. – Zastanowiła się na chwilę. – Łudziłam się, że szybko stąd wyjdę, ale jak widać, stało się inaczej.

– Ależ nie – odpowiedział komisarz. – Jeśli tylko obieca pani, że nie wybierze się na poszukiwanie Salzmann, puszczę panią wolno. Inaczej...

– Obiecuję – przerwała mu w pół słowa. – Za nic w świecie nie chcę tu wrócić. W celi miałam dużo czasu na myślenie i postanowiłam, że nie zamierzam zmarnować sobie życia – dodała i podniosła głowę.

– Słuszna decyzja – odpowiedział i spojrzał prosto w jej wielkie brązowe oczy. „Ależ ona piękna” – pomyślał.

Inga wstała z krzesła i skierowała się ku drzwiom.

– Czy ma pani na jutro jakieś plany, panno Bittner? – zapytał, kiedy nacisnęła klamkę.

– Raczej nie – odparła, odwracając głowę w stronę komisarza.

– Pozwoli się pani zaprosić na obiad? – zapytał i jednocześnie pomyślał, że robi najgłupszą rzecz na świecie.

– Czy policjant może umawiać się na spotkanie ze złodziejką, a może nawet morderczynią? – zapytała z ironią w głosie.

– Raczej nie powinien, dlatego pozwoli pani, że zjemy u mnie – odparł z uśmiechem. – Moja gospośnia gotuje wyśmienicie i co najważniejsze, jest najbardziej dyskretną osobą, jaką znam.

– Zatem zgoda – odpowiedziała Inga. – Gdzie pan mieszka?

– Przy Aptecznej 7. Trzeba wejść do bramy za sklepem Waznera – wyjaśnił. – Wie pani, gdzie to jest?

– Oczywiście – uśmiechnęła się i wyszła.

Schodząc na dół przypomniała sobie o Jendrysku, ale już nie chciała się mścić. Pomyślała, że może uda się jej wymienić restauratora na komisarza.

## Rozdział XVII

W niedzielę przed świtem komisarz Bargieł wysłał po Jendryska policyjny samochód. Uspione miasto tonęło w porannej mgle. Światła samochodu niczym nóż cięły gęste powietrze. Ze Szpitalnej skręcili w ulicę Vogta, którą prostopadle przecinała prowadząca na cmentarz droga. Mijając po dwóch stronach ulicy rzędy jednakowych ceglanych familoków, mieli wrażenie, że samochód stoi w miejscu, a one powoli odpływają, jakby we śnie. Kiedy zatrzymali się pod główną bramą cmentarza, doktor już czekał. Obok palącego cygaro Wolnika stał zaprzężony w gniadego konia wóz należący do grabarza Jerzego Krupy. Jendrysek podszedł do doktora.

– Uszanowanie – przywitał się.

– Uszanowanie. Gratuluję rozwiązania sprawy. Przy okazji narobiliście mi roboty – zaśmiał się Wolnik, strzepując popiół z cygara.

– Chciałem... musiałem dociec prawdy – odparł radca poważnym tonem. – Byłem to winien moim klientom. Choć nie mam pewności, czy otrzymają jakiegokolwiek zadośćuczynienie.

– To się okaże – stwierdził doktor. – Póki co czeka nas żmudna identyfikacja. Mam nadzieję, że coś z niego zostało. Pospieszmy się, wolę zacząć przed świtem. Po co wzbudzać nadmierną sensację.

Adolf podniósł głowę. Ze spowitego mgłą portalu neobarokowej bramy cmentarza spoglądał kamienny anioł. Pod jego

skrzydłami umieszczono łaciński napis: „Ego sum resurrectio et vita”, co oznacza „Jam jest zmartwychwstaniem i życiem”. Dziś to zdanie nabrało dla Adolfa szczególnego znaczenia. Miał nadzieję, że Inga mówiła prawdę i w grobie Salzmanna znajdują ciało innego mężczyzny. Obawiał się jednak, że widok rozłożonych zwłok przyprawi go o mdłości.

– Nie obawiajcie się, Jendrysku. – Doktor jakby czytał w myślach Adolfa. – Trup był wysuszony na wiór, nie powinien się rozłożyć, a nawet jeśli, wtedy wyciągniemy same kości.

Podniesiony na duchu radca przyspieszył kroku. O tej porze cmentarz był pusty. Gdy weszli w główną aleję, ich oczom ukazał się spowity poranną mgłą kamienny krzyż, który wzniesiono w 1896 roku z datków parafian kościoła Świętych Piotra i Pawła. Minęli groby rodziny Schwierk i rodziny Mallich, z której pochodził Robert – zmarły samobójczą śmiercią pierwszy właściciel restauracji przy ulicy Bytomskiej 26. Samobójcę Salzmanna pochowano pod murem na końcu jednej z bocznych alejek. Ponieważ od pogrzebu nie minął jeszcze rok, grób był świeży, a ziemia miękka z powodu padających nocami deszczów. Po kilkunastu minutach kopania łopata grabarza Krupy uderzyła w drewniane wieko trumny.

– Jest. – Grabarz podniósł głowę.

– Ostrożnie – odrzekł doktor.

W miarę kopania spod ziemi zaczęła wyłaniać się zapadnięta, jak się później okazało, trumna. Adolf zapalił papierosa. Wolnik spojrział na radcę, ale nic nie powiedział. Założył rękawiczki i razem z Krupą usunęli pęknięte wieko. Pod nim leżał trup mężczyzny, który na pierwszy rzut oka wyglądał jak zmumifikowany Salzmann. „Richtich sie chop naszukoł” – pomyślał radca.

Obawy Jendryska nie potwierdziły się. Zwłoki ani się nie rozłożyły, ani nie rozpadły. Doktor pochylił się nad ciałem,



odgrzebując ziemię, a radca i grabarz przyglądali się jego zabiegom. Wtem usłyszeli huk, a raczej strzał. Na początku nie wiedzieli, co się stało, ale kierując się instynktem, wskoczyli za nagrobki. Wolnik przylgnął do wieka trumny. Strzelano coraz bliżej i głośniej. Chcąc dojrzeć napastników, Jendrysek wychylił się zza nagrobka. Wtedy jedna z kul raniła go w ramię. Radca jęknął. Grabarz znieruchomiał. Nagle strzały ucichły, a dochodzące z drugiej części nekropolii dźwięki zmieniły się w odgłosy oddalających się kroków. Ale i te za chwilę umilkły.

– Co to było? – Adolf odezwał się ledwo słyszalnym głosem. Spojrzał na czerwoną od krwi dłoń i marynarkę, w której w okolicy lewego ramienia pojawiła się zakrwawiona dziura.

– Ściągnijcie mu marynarkę i oderwijcie rękaw koszuli – krzyknął doktor, który, rozejrzawszy się na boki, przed momentem wyszedł z dołu.

Rękaw posłużył Wolnikowi jako opaska uciskowa, którą zatamował płynący z rany strumień krwi.

– Bierzemy go na wóz i do szpitala, inaczej się wykrwawi – zakomenderował.

Ostrożnie ułożyli Jendryska na wozie, a grabarz popędził konia. Kiedy zbliżali się do zakrętu, zza rogu wybiegł posterunkowy Melcer.

– Słyszeliście strzały? – krzyknął. Co tu robili kryminalni z Katowic? A gdzie Jendrysek?

– Postrzelony – odparł szybko Wolnik.

– Jak to? – Melcer aż znieruchomiał.

– To do nas ktoś strzelał. Ale teraz nie ma czasu na rozmowy. Biegnijcie przypilnować nieboszczyka, a my wieziemy radcę do szpitala. Stracił dużo krwi – wyjaśnił doktor i dał znak Krupie, aby ruszał dalej.

– Nie wiem, kto to był, ale uważajcie. Oni mogą tu wrócić!  
– krzyknął do posterunkowego.

Szczęśliwie dla Jendryska budynek szpitala stał za rogiem, tuż przy komisariacie policji. Doktor zajął się radcą osobiście. Kula uszkodziła ramię, co spowodowało utratę znacznej ilości krwi. Wolnik kazał jednej z sióstr boromeuszek, które opiekowały się pacjentami, stale doglądać Adolfa, a sam wsiadł do czekającego pod szpitalem wozu i razem z grabarzem udali się z powrotem na cmentarz. Zgłoszenie napadu postanowił pozostawić na później, musiał jak najszybciej przetransportować wydobyte z grobu ciało. Obawiał się, że ktoś może chcieć wykraść zwłoki i je zniszczyć, a to koronny dowód w sprawie Salzmanna. Gdy dotarli na miejsce, posterunkowy pilnował rozkopanego grobu.

– Co z Adolfem? – zapytał Melcer z troską w głosie.

– Dostał w ramię, ale wyjdzie z tego – odparł Wolnik.

– Co się właściwie stało?

– Już mówiłem. Ktoś do nas strzelał – wyjaśnił doktor, pochylając się nad trupem. – Nic więcej nie wiem. Stałem w rozkopanym grobie i oglądałem cholernego nieboszczyka.

– Jõ tyż żõdneho niy widzioł – odezwał się grabarz. – Kej zech usłyszõł piyrszy strzał, zarõz zech sie skrył za grõb i zech sie niy ruszoł. W takij mgle i tak nic bych niy õbõczył. Možno radca cosik widzioł, bo sie wychylył i bezto dostõł – głoõno się zastanawiał.

– Tutaj do tego nie dojdziemy – przerwał mu doktor. – Teraz trzeba jak najszybciej zabrać stąd trupa.

Powoli wydobyli ciało z rozpadającej się trumny, ułożyli na desce, przykryli przygotowaną wcześniej czarną tkaniną w rodzaju całunu i zanieśli do wozu. Krupa popędył konia i za parę chwil zatrzymali się na niewielkim przyszpitalnym

placyku. Kiedy wnieśli ciało do kostnicy, Wolnik zamknął drzwi na klucz i wetknął w dłoń grabarza zwinięty banknot.

– O mało nie straciliście życia – stwierdził doktor. – Idę kroić tego umarlaka, a wy z posterunkowym przejdźcie na komisariat i złożcie zeznanie w sprawie dzisiejszej strzelaniny. Ktoś ewidentnie nie chciał, abyśmy ruszali tego nieboszczyka.

– Zastanawia mnie to policyjne auto z Katowic – wtrącił Melcer. – Skąd oni się tu wzięli o tak wczesnej porze?

– Jesteście pewni, że to byli śledczy z Katowic?

– Poznałem po rejestracji. Przejechali obok mnie. – Po-drapał się w czoło. – Może mieli u nas coś do załatwienia. Zapytam komisarza.

– Dobrze – zgodził się doktor. – Ja zajrzę do Jendryska i wracam do pracy. – A, mam jeszcze jedną prośbę – powiedz na odchodnym. – Zawiadomcie żonę radcy, ale tak, żeby jej zanadto nie zdenerwować.

– Ma się rozumieć. – Posterunkowy skinął głową.

\*\*\*

Mgła zdążyła się już podnieść. Łóżko, na którym leżał radca, oświetlały blade promienie porannego słońca, podkreślając sterylną biel szpitalnej sali. Gdy doktor odsunął parawan, pacjent spał. Wolnik uznał, że nie będzie go budził. Sen jest najlepszym lekarstwem. Wychodząc, natknął się na siostrę, której zlecił doglądanie Jendryska.

– Pacjent śpi – oznajmiła. – Nie stracił tak dużo krwi, jak się na początku wydawało. Myślę, że jutro, najpóźniej we wtorek, wyjdzie do domu.

– To bardzo dobra wiadomość. Bóg zapłać, siostró – podziękował doktor. – Zaraz zaczynam sekcję. Gdyby pa-

cient się obudził, proszę mnie zawiadomić. Chciałbym z nim porozmawiać.

– Oczywiście – odpowiedziała zakonnica.

Doktor nie miał zbyt wiele pracy. Wyciągnął z szuflady tajny raport, który sporządził przy okazji pierwszej sekcji. Wynikało z niego, że przyczyną zgonu nieznanego mężczyzny było zatrucie arsenikiem, nie Veronalem. Pobrał jeszcze raz próbkę skóry denata i powtórzył badanie na obecność arsenu, które potwierdziło poprzedni wynik. Rozmyślenia doktora przerwało delikatne pukanie do drzwi kostnicy. Na progu stał komisarz w towarzystwie Ingi Bittner.

– Dzień dobry – przywitał się Bargieł.

– Dzień dobry – odparł doktor. – Pani wybaczy, panno Bittner, ale myślałem, że przebywa pani w odosobnieniu aresztu śledczego tutejszej policji.

– Zgadza się – odpowiedział komisarz. – Dziewczyna zaczęła współpracować i przyprowadziłem ją, aby potwierdziła wcześniejsze zeznania, które, jako niedorzeczne, na początku śledztwa odrzuciłem.

– Rozumiem – odparł doktor. – Proszę ze mną – zwrócił się do Ingi. – Mam nadzieję, że wytrzyma pani ten widok.

– Jestem przygotowana – stwierdziła dziewczyna. – Już go przecież widziałam.

– Zatem zapraszam do środka. – Doktor wprowadził Inge do sali operacyjnej.

– Na szczęście trup nie wydziela nieprzyjemnego, słodkawego zapachu, tak charakterystycznego dla rozkładających się zwłok – wyjaśnił Wolnik, ale na widok grymasu na twarzy Ingi zamilkł.

Dziewczyna spojrzała na wyschniętą twarz nieznanego mężczyzny. Jego cienka jak pergamin skóra miała brązowy

odcień, a zamknięte oczy sprawiały wrażenie, jakby spał od stuleci.

– To na pewno nie Salzmann – powiedziała Inga, podnosząc głowę znad zwłok. – Nic więcej nie mogę powiedzieć. Nie znam go.

– Tak myślałem – powiedział komisarz. – Przynajmniej możemy zacząć poszukiwania restauratora. Może on powie nam więcej na temat tego nieszczęśnika. A, żeby nikt nie posądził mnie o przekroczenie uprawnień, będę musiał przysłać do was jeszcze jedną osobę – kupca Henryka Bonka – właściciela sklepu kolonialnego przy Wolności, nie pamiętam numeru – u którego Salzmann się zaopatrywał i z którym się przyjaźnił.

– Bonk także na początku uważał, że denat to nie Salzmann, ale policja przekonała go, że się myli. – Doktor uśmiechnął się z przekąsem.

– A tak przy okazji – komisarz zmienił temat – dziś, najdalej jutro z rana, zapraszam do siebie. Grabarz Krupa już złożył zeznania. Do Jendryska pójdzie posterunkowy Melcer. Jak on się czuje?

– Stracił trochę krwi, ale rana okazała się niegroźna. Jutro albo pojutrze wyjdzie do domu – wyjaśnił Wolnik.

– Toście mnie uspokoili. – Komisarz uśmiechnął się szeroko.

– Posterunkowy Melcer twierdził, że kiedy wracał ze służby, niedaleko cmentarza minął go samochód śledczych z Katowic. Byli u was dziś rano? – Doktor zapytał kierującego się do wyjścia Bargieła.

– Nic mi o tym nie wiadomo – zdziwił się komisarz. – Z Melcerem nie rozmawiałem. Spieszył się, żeby zawiadomić żonę radcy o wypadku. Osobiście zadzwonię do Katowic w tej sprawie – obiecał i wyszedł, przepuszczając Ingę przed sobą.

Chwilę później do drzwi kostnicy zapukała jedna z sióstr boromeuszek.

– Radca się obudził – oznajmiła.

– Jak się czuje?

– Wygląda dobrze. Nawet nie narzeka na ból ramienia.

Teraz jest u niego żona.

– Bóg zapłać, siostró. Zaraz do niego zajrzę.

\*\*\*

– A gōdałach, co w niydziela sie niy robi. – Hajdelka przywitała męża swoim zwyczajem. – Jō ino czekała, aże cosik napochōsz. Choby ta Helga.

– Po kimś to musi mieć – zaśmiał się Adolf.

– Klōsztornō panna padała, coś miał kupa szczyńściō. – Pocałowała Adolfa w czoło.

– Na smyntōrzu ftoś dō nōs strzyłoł, ino niy wiym fto. Ftoś chce nōs zmusić do zawarciō tego ślydztwa, nale my sōm już przy kōńcu. Terōzki żōdyn nōs niy zatrzymie – odgrażał się radca.

– Terōzki to ty mōsz nynać, a jutro przywieszōm cie do dōm i cuzamyn z Helgōm bydziecie mieć sztubynareszt – odparła z pobłażliwym uśmiechem.

– Ty wiysz swoje, jō wiym swoje. – Adolf wiedział, że jeśli Hajdelka coś postanowi, tak będzie. Ale tym razem obiecał sobie, że postawi na swoim.

– Ida do dōm. Ino dej pozōr, co sie zaś w coś niy wplōntōsz – pogroziła mu palcem jak dziecku.

– Kaj? W lazarycie? – oburzył się Adolf.

Jakiś czas później przyszedł doktor.

– Siostra mówiła, że już jutro idziecie do domu – zaczął z uśmiechem. – Co was podkusiło, żeby się wychylić? Przecież

możliście zginąć. Wtedy robiłbym waszą sekcję, a nie sobowtóra Salzmanna.

– Chciałem zobaczyć, kto do nas strzela. Ale niestety... – stwierdził Jendrysek. – Nie tak łatwo mnie zabić. – Na twarzy radcy pojawił się słaby uśmiech. – Wiecie już, kto do nas strzelał?

– Niestety nie, ale komisarz obiecał śledztwo w tej sprawie. Strzelanina w środku miasta to nie drobna kradzież kilku butelek wina – odparł Wolnik. – Ale do rzeczy. Kiedy po raz drugi oglądałem zwłoki, próbowałem znaleźć sposób na ich identyfikację, ale nie zauważyłem niczego szczególnego. Mężczyzna, lat około trzydziestu, brunet, wysoki – metr osiemdziesiąt pięć. Nienaturalny kolor skóry wywołany działaniem arszeniku. Nic więcej. Ale przy okazji pierwszej sekcji sporządziłem tajny raport, który ukryłem. Dzisiejsze testy potwierdziły wyniki tamtych badań.

– Brzmi interesująco. – Jendrysek wsparł się na poduszce. – Wydaje mi się, że podczas naszej ostatniej rozmowy nie dowiedziałem się wszystkiego.

– Owszem. Część moich odkryć zostawiłem na później – odpowiedział spokojnie doktor. – Przy okazji przeprowadziłem ponowne oględziny zwłok. Wspominałem, że trup wyglądał niczym egipska mumia, tyle że w połowie procesu mumifikacji – po wysuszeniu natronem.

– A co to takiego? – zapytał zaciekawiony radca.

– Właściwości tego rzadkiego minerału znali dobrze starożytni egipscy balsamiści, którzy używali go do usuwania płynów z przygotowywanych przez nich do ostatniej drogi zwłok faraonów lub bogatych dostojników. Do oczyszczonego uprzednio brzucha i klatki piersiowej, w której pozostawiano jedynie serce, wkładano woreczki z sypkim natronem. Następnie ciało pokrywano warstwami suchego natronu

i pozostawiano je w takim stanie co najmniej czterdzieści dni. Po tym czasie zwłoki stawały się tylko szkieletem pokrytym wygarbowaną skórą. Podobnie jest z naszym nieboszczykiem. Różnica polega na tym, że naszego trupa wykąpano w roztworze arszeniku. Podobnie robiono z ciałami osób zmarłych w Palermo we Włoszech. Kąpiele zwłok w arszeniku praktykowano zwłaszcza podczas epidemii.

– Ciekawa lekcja historii, doktorze, ale czy dowiedzieliście się, kim jest ten zmumifikowany nieszczęśnik? – przerwał radca.

– Cóż, nadal nie wiem, kim jest denat. Obawiam się, że odpowiedź na to pytanie zna tylko Salzman.



## Rozdział XVIII

Cały poniedziałek Adolf samotnie przeleżał w szpitalu. Jediną rozrywką były odwiedziny komisarza Bargieła, który przyszedł, aby przesłuchać radcę na okoliczność niedzielnej strzelaniny. Zaczął jednak od czegoś zupełnie innego.

– Niczego sobie ta młoda Bittnerówna – powiedział ni stąd, ni zowąd.

– Rzeczywiście. Wygląda na taką, która potrafi uszczęśliwić mężczyznę – odparł Adolf i pomyślał o nocy spędzonej z Ingą.

– Zjedliśmy razem obiad. Wydaje się bardzo roztropna.

– I sprytna – uśmiechnął się Adolf.

– Ale wróćmy do sprawy – poprawił się Bargieł, jakby poczuł, że powiedział zbyt dużo. – Posterunkowy Melcer twierdził, że minął go czarny ford, którym jeżdżą kryminalni z Katowic – oznajmił komisarz. – Dzwoniłem do nich, ale utrzymują, że żadne auto tak wcześnie nie wyjeżdżało. Nie ma też śladu w księdze ewidencji wyjazdów.

– To, że nie ma notatki, nie znaczy, że nie wyjechali – odpowiedział Jendrysek.

– Oficer dyżurny zeznał, że nikogo o tej porze nie wypuszczał – ciągnął Bargieł. – Ale nie martwcie się. Nie spocznjemy, dopóki nie znajdziemy tych, którzy do was strzelali. Przesłuchamy mieszkańców okolicznych domów. Ktoś musiał coś zauważyć.

– Być może – odparł Jendrysek, podnosząc się na poduszce.

– Obawiam się, że mogą chcieć dokończyć dzieła – stwierdził komisarz, rozglądając się po szpitalnej sali, jakby sprawdzał, czy to miejsce jest bezpiecznie dla pacjenta. – Powinniście jak najszybciej wyjechać.

– Owszem, myślałem o urlopie – przyznał radca z lekkim uśmiechem. – Ale dopiero, kiedy zakończę tę sprawę.

– Wyjazd, który wam proponuję, to nie urlop – powiedział tajemniczo komisarz. – To misja. I to w pełni związana ze sprawą.

– Brzmi ciekawie – stwierdził Jendrysek.

– W skrytce pocztowej w Chorzowie Salzman pozostawił dla Ingi ostatnią wiadomość, którą odebrała w dyskretnym towarzystwie naszych policjantów. – Bargieł wydobyl z kieszeni przepisaną na kartkę informację i podał radcy.

– Schweizerhof Zurych – przeczytał głośno Jendrysek. – Wytworne miejsce.

– Mam rozumieć, że się zgadzacie?

– Oczywiście. Z przyjemnością dopadnę Salzmana osobiście.

– Rozmawiałem z doktorem. Za tydzień powinniście już wydobrzeć. Zarezerwowałem pociąg z Katowic do Berlina na przyszły wtorek, dwudziestego pierwszego sierpnia o dziewiętnastej pięćdziesiąt trzy. Oczywiście kuszетка w pierwszej klasie – uśmiechnął się komisarz.

– Za dużo zachodu. – Adolf machnął zdrową ręką.

– Absolutnie. O mało nie straciliście życia – oburzył się Bargieł. – Dostaniecie też dodatkowe fundusze na pociąg do Zurychu i pieniądze na nieprzewidziane wydatki. Kto wie, gdzie nasz ptaszek odfrunął – uśmiechnął się.

\*\*\*

Na łóżku w przestronnej sypialni Jendrysków, wyposażonej w dębowe meble wykonane na specjalne zamówienie u jednego ze stolarzy w niemieckim Bytomiu, leżała skórzana walizka do połowy wypełniona różnymi elementami męskiej garderoby. Rysy na masywnych okuciach i liczne przetarcia skórzanych boków dowodziły częstych podróży. Idealnie wyprasowane przez Hajdelkę błękitne koszule czekały na wyjazd w towarzystwie dobrze skrojonych spodni i złożonej w kostkę bielizny. Jeszcze zapasowa marynarka i oczywiście kapelusz – nieodłączna część stroju eleganckiego mężczyzny. Do tego parę męskich drobiazgów i można zamknąć masywne wieko leciwego kufra.

Oddając się skrupulatnym przygotowaniom, Hajdelka próbowała opanować dręczące ją przed wyjazdem męża obawy. Nie lubiła, kiedy wyjeżdżał, zwłaszcza tak daleko. Czuła się wtedy, jakby wraz z jego wyjazdem ulatywała z niej cała pewność siebie.

– Wielu cie niy bydzie? – zapytała ze łzami w oczach.

– Pierōn wiy. Podwiela niy dopadna tego gizda – odparł Adolf, jeszcze raz przeglądając rzeczy w walizce. – Przeca niy wyjyżdżōm piyrszy rōz. Niy je żech mały bajtel.

– Breslau abo Berlin to je blisko, nale Zurych to już je hań daleko.

– Kej przijada, zarōzki wyśła telegram, cobyś sie już niy nerwowała – powiedział i przytulił żonę do siebie.

– Dej pokōj, bo bajtle zarōzki wlezōm. – Wyrwała się z jego objęć ze śmiechem.

– Niych włazōm. Przeca my ich niy znōdli w kapuście – udał oburzenie.

– Lauf und passt auf dich auf, damit dir nichts passiert, denn das würde ich nicht überleben\*. – Spod stolika nakry-

---

\* Leć a dej pozōr, co ci sie nic niy przitrefi, bobych tego niy przeżyła.

tego haftowanym w żółte kwiaty obrusem wyjrzała ciemna główka małej Helgi.

– Co ty to gōdōsz? – oburzyła się Hajdelka. – Tata zōwdy dōwajōm pozōr.

– Przeca ôstatnim razym tyż żeście gōdali. I co? Ôjciec przisli z poharatanōm rynkōm – stwierdziła Helga z przekazem, który na małej dziecięcej twarzyczce wyglądał dość zabawnie.

– A skōnd ty wiysz, co zech tacie gōdała? – zapytała zdziwiona Hajdelka. Dopiero teraz zorientowała się, że córka mówiła po niemiecku. – A skōnd ty znōsz niymiecki?

– Grousmuter mie szkolōm – stwierdziła. – Jymy społym żur i czytōmy rōmanse.

– O jerōnie. Rōmanse? Kej tam przileca, te ksiōnżki bydōm furgać bez ôkno! – krzyknęła wytrącona z równowagi Hajdelka.

– Nale niy bydź zaś takō nerwyjs – uspokajał Adolf. – Niych sie uczy jynzykōw. Moja krew – stwierdził z dumą i pocałował Helgę w czoło. – Prziwieza ci coś ekstra – dodał i odstawił spakowaną walizkę pod szafę.

\*\*\*

Na dworzec do Katowic Adolf miał zamiar pojechać tramwajem, ale komisarz stanowczo zaprotestował. Obawiał się, że ktoś może nastawać na życie radcy i nie dopuścić do jego wyjazdu. Posterunkowi Esterski i Melcer dostali rozkaz zawiezienia Jendryska do Katowic i – cytując słowa komisarza – „wsadzenia go do pociągu”.

Budynek dworca stał przy ulicy, która swą nazwę wzięła właśnie od niego i stała się jedną z najbardziej reprezentacyjnych części tętniącego życiem miasta. Główne wejście zwieńczono

półokrągłym portalem i wyłożono prostokątnymi szybami, które w całości tworzyły szary witraż. W centralnym miejscu szklanego portalu wmontowano zegar, aby spóźniony podróżny wiedział, jak bardzo musi się spieszyć, żeby zdążyć na pociąg.

Gdy Adolf w towarzystwie policjantów znalazł się na dworcu, do odjazdu pociągu relacji Bukareszt – Berlin został jeszcze kwadrans. Pociąg czekał na peronie, a podróżni z biletami w rękach szukali swoich miejsc.

– Dej pozõr, co przijedziesz nazõd w jednym kõncku – odezwał się Melcer i poklepał przyjaciela po plecach, przy okazji przekazując mu wiadomość odebraną przez Ingę na poczcie w Chorzowie.

– Bądźcie czujni, radco – dodał Esterski, który odkąd tamten udowodnił, że Salzman żyje, przestał uważać Jendryka za „detektywa od siedmiu boleści”. – Będziemy czekać na wiadomości – dodał i uściśnął Adolfowi dłoń.

Kiedy Adolf odnalazł przedział, odłożył walizkę i udał się do wagonu restauracyjnego. Zamówił kufel piwa. Pociąg ruszył i powoli rozpędzał się, aby osiągnąć prędkość, która pozwoli maszynie dotrzeć do Berlina na czas. Ostatnie przeżycia, zwłaszcza strzelanina na cmentarzu, nieco nadwężyły nerwy Jendryka, dlatego pomyślał, że aby szybciej zasnąć, zamówi jeszcze jedno piwo. Po czwartym kuflu postanowił pójść spać. Wrócił do przedziału, położył się i natychmiast zasnął. Na polsko-niemieckiej granicy zbudziła go kontrola, po której zapadł w głęboki sen.

\*\*\*

– Uwaga, uwaga! Achtung, Achtung! Za dziesięć minut stacja Berlin Lehrter Bahnhof. – Głos konduktora

wyrwał Adolfa z głębokiego snu. Wydawało mu się, że położył się przed chwilą. Przez okno przedziału wpadały smugi światła stojących przy torach latarni. Był to znak, że maszyna istotnie zbliża się do dworca. Radca spojrzął na zegarek. Dochodziła za kwadrans druga. Za dziesięć minut pociąg wjechał na oświetloną stację. Adolf w duchu podziękował komisarzowi, który pomyślał o wykupieniu dla niego kuszetki z łazienką. Odświeżył się i za chwilę wyszedł na peron, który wraz z przyjazdem pociągu zapełnił się pasażerami. Radca wypatrzył konduktora, a ten wskazał mu drogę do kasy.

– Eine Karte nach Zürich, bitte. – Kupił bilet do Zurychu i udał się do poczekalni. Pociąg odjeżdżał za godzinę, aby o ósmej dziesięć wjechać na Hauptbahnhof w Zurychu. Tym razem radca zrezygnował z piwa, chłód sierpniowej nocy sprzyjał zasypianiu. Jediną przerwą w podróży była następna kontrola, tym razem na granicy niemiecko-szwajcarskiej. Adolf nie miał nic do oclenia. Okazał paszport i służbowe pismo wyjaśniające cel jego wizyty w Zurychu, po czym położył się z powrotem. Punktualnie o ósmej dziesięć pociąg wjechał na zurski Hauptbahnhof.

Kiedy stanął u wyjścia na Bahnhofplatz, słońce było dość wysoko. Adolf poczuł chłód poranka i zapiął płaszcz. Wciągnął powietrze i poczuł woń wielkiego miasta. Inną niż Katowic. Brakowało zapachu węgla i stali. Na przystanku przed dworcem zatrzymał się tramwaj. Radca rozglądnął się i wyciągnął papierosa. Po dwóch stronach głównego wejścia na dworzec stały rzędy samochodów. Z lewej zauważył wysoką czteropiętrową budowlę. Jasnoszara elewacja nadawała budynkowi elegancji i sprawiała wrażenie, że jest lekki i delikatny niczym domek z kart. Na wysokości pierwszego piętra biegł balkon, na którego balustradzie umieszczono

napis: „Hotel Schweizerhof”. „Gynau wele banhofa” – pomyślał radca i skierował się wprost do głównego wejścia.

– Guten Morgen, bitte? – zapytał elegancki recepcjonista, widząc wchodzącego gościa.

– Guten Morgen – odpowiedział Adolf. – Chciałbym wynająć pokój.

– Szanowny pan ma jakieś specjalne życzenia?

– W istocie – odparł Jendrysek. – Chciałbym wynająć pokój numer siedem.

– Rozumiem. – Recepcjonista sięgnął do księgi gości. – Pokój numer siedem jest opłacony na dwa tygodnie z góry. Czy zna pan nazwisko osoby, która go wynajęła?

Jendrysek zdziwił się nieco, ale zaraz odpowiedział:

– Georg Salzmann.

– Przykro mi, szanowny panie. Mogę zaproponować inny pokój? – Mężczyzna przewrócił kartę księgi gości.

– Anton Lippa. – Adolf wypalił jak z karabinu.

– Bitte – odpowiedział recepcjonista. – Oto klucze do pokoju numer siedem. Wiadomość dla pana leży w kasetce na stoliku nocnym. Pokój znajdzie pan na pierwszym piętrze po prawej stronie korytarza.

– Danke – odpowiedział radca i odetchnął z ulgą. Za daleko zaszedł, żeby teraz rezygnować. Już więcej nie może popełniać takich błędów.

Adolf wszedł na górę głównymi schodami. Przekręcił klucz w zamku i znalazł się w wytwornym, białym pokoju urządzonym w kobiecym stylu. „Przeca to mioł być szlafcimer dlō Ingi, a niy dō mie” – pomyślał. Położył walizkę na dużym łóżku przykrytym błękitną połyskliwą narzutą. Wielkie lustro w środkowej części trzydrzwiowej szafy odbijało postać eleganckiego, szczupłego mężczyzny średniego wzrostu o nieco zmęczonej twarzy, pokrytej jednodniowym zarostem. Usiadł

w fotelu obitym niebieskim welurem. Na nocnym stoliku stała złota kasetka zamykana na fikuśny kluczyk, wystający z miniaturowego zamka. Przekręcił kluczyk i z wnętrza wyciągnął niewielką kopertę, która zawierała wiadomość:

„Dzióbeczku, Bank Julius Barer & Co, Bahnhofstrasse 36. Skrytka nr 166. Hasło znasz. Do zobaczenia wkrótce. PS Nie mogę się doczekać, gdy wezmę Cię w ramiona. Twój Georg”.

Adolf załamał ręce. Przecież nie zna hasła. W jaki sposób otworzy skrytkę? Telefon do Bargieła! Ale rozmowa będzie go kosztować fortunę. Za daleko zaszedł, żeby teraz się wycofać. Wyszedł na balkon i spojrzął na obudzone już miasto. Nieopodal dworca minęły się tramwaje, a ulice wypełniali przechodnie. Niektórzy zmierzali na dworzec, inni właśnie z niego wychodzili. Każdy z nich miał tego dnia coś do załatwienia. Radca również. Postanowił, że nie zadzwoni do komisarza. Coś wymyśli.

Odświeżył się, ogolił, przebrał w czystą koszulę i zbiegł po schodach. Wychodząc z hotelu, poczuł słodki zapach francuskich rogalików i świeżo parzonej kawy. Obiecał sobie, że gdy pomyślnie załatwi sprawę, wpadnie na śniadanie do francuskiej restauracji mieszczącej się nieopodal głównego wejścia do hotelu.

Bank Juliusa Barera znajdował się niedaleko hotelu po tej samej stronie ulicy. Gdy wszedł do środka, przestronny hol był pusty. Mimo ciepłego poranka po plecach radcy przebiegł dreszcz. Nie znał hasła i po drodze tutaj też nie wymyślił niczego sensownego.

– Guten Morgen – powitał go ubrany w granatowy garnitur kasjer.

– Guten Morgen – odpowiedział Jendrysek.

– Czym możemy szanownemu panu służyć?

– Chciałbym opróżnić skrytkę numer 166.



– Oczywiście. Proszę chwileczkę poczekać – odparł kasjer i zniknął za wielkimi dębowymi drzwiami.

Za chwilę zza drzwi wyszedł starszy, poważny, wręcz sztywny mężczyzna z pękiem kluczy w ręce

– Gustaw Zoll. Kierownik zmiany – przedstawił się i podał Adolfowi rękę.

– Adolf Jendrysek. Radca prawny.

– Proszę ze mną.

Skręcił w lewo, w stronę szarych, metalowych drzwi. Wybrał jeden z kluczy, włożył do zamka i przekręcił dwa razy. Weszli w ciemny, wąski korytarz. Jendrysek szedł za kierownikiem. Nadal niczego nie wymyślił, na domiar złego zaczęła boleć go głowa. Gdy stanęli przed następnymi drzwiami, na wystającym w centralnym miejscu pokrętle kierownik ustawił odpowiedni szyfr. Otworzył drzwi, a przed oczami radcy ukazały się dwie ściany szarych metalowych skrytek opatrzonych srebrnymi tabliczkami z numerami od 100 do 200. Na środku pomieszczenia stał owalny stół. Radcy zakręciło się w głowie. Skrytki wirowały przed oczami niczym karuzele podczas odpustu w Lipinach. Kierownik wyszukał klucz o numerze 166.

– Proszę podać hasło.

To polecenie zatrzymało Jendryskę w pół obrotu. Wirowanie ustało, a radca głęboko wciągnął metaliczne powietrze.

– Dzióbeczek – wypalił.

Ne miał pojęcia, dlaczego właśnie „dzióbeczek”. Blefował.

Pracownik banku jak gdyby nigdy nic otworzył skrytkę i wydobył z wnętrza metalowe, prostokątne pudełko, które podał Jendryskowi.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał z troską w głosie.

– Tak. Tak – odpowiedział radca. – Od czasu do czasu cierpię na migreny. Ale to nic takiego – dodał, nie wierząc własnym oczom.

Oparł się o stół i otworzył pudełko. W środku znajdowały się pieniądze, bilet i list. Radca z niechęcią odczytał kolejną wiadomość:

„Dzióbeczku, złap najbliższy pociąg do Triestu. Tam wsiądź na statek do Hajfy. Dołączam bilet i trochę pieniędzy na niezbędne wydatki. Kiedy dopłyniesz na miejsce, zapytaj w porcie o Salzmanna. Tam mnie znajdą i wskażą Ci drogę. Twój na zawsze Georg. PS Czekam na Ciebie z niespodzianką”.

Oszołomiony Adolf podniósł wzrok na kierownika, który uważnie mu się przyglądał.

– To ważna wiadomość – odezwał się nagle. – Dziękuję.

– Proszę. Czy skrytka będzie jeszcze potrzebna? – zapytał kierownik. – Jest opłacona do jutra.

– Nie, nie będzie już potrzebna – odparł radca i schował zawartość skrytki do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Gdy wyszedł z banku, poczuł, jak po twarzy spływa mu strużka potu. Był roztrzęsiony. Zastanawiał się, czy jechać do Hajfy. Tam nie aresztuje Salzmanna. Policja autonomicznego województwa śląskiego nie ma przecież w Palestynie żadnej władzy. Zdecydował jednak, że pojedzie. Choćby tylko po to, żeby spojrzeć byłemu restauratorowi w oczy i zmusić go do przyznania się do zabójstwa. To mu wystarczy. Poczul, że aby uspokoić nerwy, potrzebuje napić się czegoś mocniejszego. Przyspieszył kroku, żeby jak najszybciej znaleźć się w restauracji.

Zamówiwszy lampkę koniaku, białą kawę i rogalika z czekoladą, uświadomił sobie, że musi koniecznie nadać telegram do komisarza Bargieła i poinformować o postępach w śledztwie, ale przede wszystkim o podróży do Hajfy. Szybko zjadł, zapłacił rachunek i skierował się wprost do recepcji. Nadał telegram. Potem pobiegł na dworzec.

Najbliższy pociąg do Triestu odchodził o drugiej po południu. Czekala go dość długa podróż, która miała trwać aż czternaście godzin. Opłacił kuszetkę. Pomyślał, że to dobra okazja, aby porządnie się wypaść, odpocząć i pomyśleć co dalej.

Po zajęciu przedziału odnalazł wagon restauracyjny. Z obszernej karty zamówił rösti – szwajcarski specjał – prosty, a zarazem pożywny. Przypomniał mu domową kuchnię Hajdelki. Placek ziemniaczany z sadzonym jajkiem, kiełbasą i roztopionym serem smakował wyśmienicie. Do tego kilka kufli piwa, które podobnie jak jednostajny stukot pociągowych kół pomogło radcy szybko zapaść w głęboki sen. Kiedy się obudził, nie miał czym oddychać, a strużki potu lały mu się po plecach. Otworzył okno, przez które do przedziału wpadł podmuch gorącego powietrza. Pociąg hamował. „Verona” – głosił napis na peronie. „Miasto Romea i Julii” – pomyślał Jendrysek. W czasie studiów nie przepadał za twórczością Szekspira, ale teraz chętnie powłóczyłby się śladami wielkich kochanków. Cóż, może kiedyś zabierze tutaj Hajdelkę mimo jej wielkiej niechęci do podróży.

Do Triestu pociąg przyjechał z niewielkim opóźnieniem. Po wyjściu z dworca Adolf szybko skierował się do portu. Ta niekończąca się podróż zaczynała go powoli denerwować. Gdy dochodził do portu, zrobiło się tłoczno. Mijało go mnóstwo ludzi z różnymi pakunkami, tobołami i walizkami. Kobiety trzymały na rękach dzieci, a mężczyźni, wymachując bagażami, torowali im drogę. Ustawieni po obu stronach drogi sprzedawcy głośno zachęcali do kupowania swoich specjałów.

Okazało się, że statek do Hajfy wypływa o drugiej po południu.

– O której będzie na miejscu? – zapytał Jendrysek po niemiecku.

– Za szesnaście godzin od wypłynięcia – usłyszał odpowiedź.

Załatwiwszy w porcie wszelkie formalności, zdecydował się poszukać jakiejś restauracji. Wzdłuż nadbrzeża napotkał parę piwiarni, które oprócz miejscowego piwa serwowały także kielbaski po wiedeńsku, gulasz, a nawet zająca.

„Wuszt i zimny biyr to je to” – stwierdził radca i wszedł do jednego z nabrzeżnych lokali. Wnętrze nie przypominało francuskiej restauracji hotelu Schweizerhof ani nawet restauracji U Mally’ego, raczej tanią i podłą spelunę w stylu lipińskiego Ostatniego Grosza, o którym opowiadał Adolfowi ojciec.

– Kufel zimnego piwa, a do tego wiedeńskie kielbaski – zawołał na kelnera.

Z drewnianego stołu, przy którym usiadł Jendrysek, kelner jednym ruchem usunął okruchy po ostatnim gościu, po czym przyjął zamówienie. Za chwilę przed radcą wylądował talerz kiełbasek, które biorąc pod uwagę stopień wysmażenia, a raczej wysuszenia, z pewnością nie zasłużyły na miano wiedeńskich. Do tego kufel zimnego piwa z wysoką pianą, które, dzięki Bogu, okazało się całkiem niezłe, chociaż nie mogło się równać z ulubionym przez radcę Gleiwitzer Löwenbrau.

Czas do wypłynięcia Adolf przeznaczył na włóczenie się po nadbrzeżu i podziwianie morza. W czasie studiów udało mu się zobaczyć Bałtyk, ale to morze wyglądało inaczej. Wydawało mu się bardziej błękitne i mniej dzikie. Może to z powodu tłumów nieustannie okupujących port. Jendrysek zauważył, że podróżnych wsiadających na statki jest dużo więcej niż tych schodzących na ląd.

Kiedy przed drugą wchodził na statek, poniżej, próbując wejść pod pokład, tłoczyły się całe rodziny niemiłosiernie obciążone bagażami. Niedawno czytał, że mnóstwo Żydów

wyjeżdża do Palestyny na pielgrzymki. Ale to, co zobaczył w Trieście, wyglądało raczej na podróż w jedną stronę.

Gdy wszedł do kajuty, rzucił walizkę na koję i zaraz udał się na pokład. Widok zapierał dech w piersiach. Z jednej strony bezkresne morze, z drugiej zatłoczony port, nad którym górowała okrągła wieża latarni. Kiedy podniesiono kotwice, Jendrysek patrzył na oddalający się ląd. Nagle poczuł, że zbiera mu się na wymioty. Ledwo zdążył do kajuty. Parę torsji i wiedeńskie kiełbaski zostały jedynie przykrym wspomnieniem niefortunnego obiadu. Okazało się, że radca cierpi na chorobę morską, która na czas podróży całkowicie uwięziła go w kajucie.

Opuszczając statek, Adolf wyglądał jak cień samego siebie. Ledwo powłóczył nogami. Starał się zebrać myśli. Zastanawiał się, kogo w Hajfie zapytać o Salzmanna. Kierując się ku miastu, mijał stragany z egzotycznymi owocami, których nazw albo nie znał, albo nie pamiętał. Pomyślał, że jeśli Salzmann otworzył tu restaurację, sprzedawcy powinni go znać. Stanął przed jednym ze straganów. Krępy śniady mężczyzna rozkładał pomarańcze. Radca nie wiedział, w jakim języku ma do niego mówić, ale niebawem okazało się, że handlarz nieźle radzi sobie po niemiecku.

– Pójdzie pan prosto – wskazał koniec drogi wychodzącej z portu – i skręci w prawo. Trzeci budynek po lewej to Salzmann Cafe.

Z wdzięczności Jendrysek kupił u śniadego sprzedawcy cztery soczyste pomarańcze. To były jedyne egzotyczne owoce, jakie znał.

Oddalając się od portu, mijał Żydów, których rozpoznał po długich pejsach i czarnych kapeluszach z szerokim rondem, Arabów w turbanach, czarnych, noszących długie kolorowe tuniki, i wreszcie białych – ubranych na modłę europejską.

Gdy skręcił w prawo, w miejscu wskazanym przez sprzedawcę zobaczył napis: „Salzmann Cafe”.

W środku panował półmrok, a nozdrza drażnił zapach mocno palonej kawy. Rozglądając się po schludnym, choć nieco ascetycznym wnętrzu, zauważył światło prowadzące na wewnętrzny dziedziniec, który okazał się kolorowym od kwiatów ogródkiem.

– Czym mogę służyć? – zapytał kelner, który wyłonił się jakby spod ziemi.

– Macie tu herbatę? – zapytał radca.

– Owszem. Życzy pan sobie English Breakfast czy Earl Grey? – zapytał kelner.

– English Breakfast.

– Czy podać coś jeszcze?

– Popielniczkę, jeśli można – odparł Adolf. – Czy zastałem właściciela?

– Zaraz go zawołam. A kto prosi?

– Proszę powiedzieć, że stary znajomy.

Chwilę później do ogrodu wszedł właściciel. Od zniknięcia niewiele się zmienił. Jedynie na kruczoczarnych włosach pojawiły się pojedyncze szpakowate pasma. Kiedy zobaczył radcę, zatrzymał się w pół drogi.

– Guten Morgen, Herr Salzmann. – Adolf podniósł się z krzesła.

– Guten Morgen, Herr Jendrysek – odpowiedział restaurator, próbując ukryć zdziwienie. – Prawdę powiedziawszy, spodziewałem się kogoś innego.

– Niestety mam złe wieści – odparł radca. – Inga nie przyjedzie. Oczarował ją pewien przystojny komisarz i zamiast Hajfy wybrała Świętochłowiec.

Salzmann spochmurniał, ale zaraz odpowiedział jakby nigdy nic:

– Cóż, w życiu nie zawsze dostajemy to, czego chcemy. Chyba pan nie przyjechał tu tylko po to, aby mi powiedzieć o zdradzie Ingi?

– Nie. Przyjechałem, aby zapytać pana o dwie sprawy.

– Jeśli pan zadał sobie tyle trudu i dotarł aż tutaj, chętnie zaspokoję pańską ciekawość – restaurator usiadł obok Adolfa.

– Zatem chciałem zadać panu dwa pytania: Po pierwsze – kim był zamordowany przez pana człowiek? I po drugie – co skłoniło pana do popełnienia tego morderstwa? – zapytał radca.

– To długa historia. – Salzmann zapalił papierosa. Jendrysek poszedł w jego ślady. – Gdy przejąłem restaurację U Mally’ego byłem pewny, że wystarczy trochę zainwestować i niedługo lokal zacznie przynosić zyski. Tak też się stało, ale wkrótce – jesienią 1929 roku – wybuchł wielki kryzys. Przez trzy lata jakoś przędłem. Brałem kredyty. Część udało mi się spłacić, części nie. Zwolniłem kilku pracowników, zmniejszyłem koszty utrzymania i na chwilę oddaliłem widmo bankructwa. Ale w połowie 1933 roku inflacja wywindowała odsetki do granic możliwości i stałem się niewypłacalny. Wtedy nadarzyła się okazja, aby szybko stanąć na nogi.

Jendrysek słuchał uważnie. Starał się nie zadawać pytań, aby Salzmann się nie rozmyślił i nie przerwał opowieści.

– Poznałem pewnego bankiera i jego przyjaciela – wysoko postawionego funkcjonariusza katowickiej policji, którzy zaproponowali mi udział w pewnym przedsięwzięciu i – co najważniejsze – pokaźny zysk. Naturalnie zgodziłem się bez wahania, nie pytając nawet, jaka będzie moja rola w tym przedsięwzięciu. Niestety okazało się, że chodzi o handel kobietami. Kiedy się dowiedziałem, nie było już odwrotu. Zagrozili mi, że mnie znajdą i zabiją.

– Na czym polegała pańska rola w tym – jak pan to ujął – przedsięwzięciu? – zapytał radca i pomyślał o czarnym

policyjnym fordzie, którego w niedzielny poranek widział posterunkowy Melcer.

– Mój nieco egzotyczny wygląd pozwalał mi udawać bogatego Amerykanina o śląskich korzeniach, który przyjechał do kraju swoich rodziców w poszukiwaniu żony. Wybierałem biedne, ale ładne dziewczyny. Zaczepiałem, umawiałem się, obsypywałem prezentami, biżuterią, drogimi strojami.

– Jak Ingę Bittner? – przerwał Adolf

– Z Ingą było inaczej – odparł restaurator. Tym razem nie ukrywał swoich uczuć. – Kochałem ją. Czekałem na nią, chciałem się żenić.

– Co działo się z innymi dziewczętami?

– Przedstawały mnie swoim rodzicom, którzy najczęściej witali mnie jak syna. Braliśmy ślub w urzędzie stanu cywilnego w Katowicach. Znajomy policjant, zdaje się jakiś śledczy, załatwiał formalności z wtajemniczonym urzędnikiem. Po ślubie brałem dziewczynę do hotelu, a potem z Katowic odjeżdżaliśmy pociągiem do Niemiec. Zabierałem jej dokumenty i przekazywałem ludziom, których zresztą nie znałem, a oni zawozili dziewczynę statkiem do Ameryki, konkretnie do Brazylii. Uprawdzone w ten sposób młode kobiety podobno zostawały prostytutkami i trafiały do tamtejszych burdeli.

– Ile dziewcząt ma pan na sumieniu? – zapytał Adolf, dopijając herbatę.

– Dziewięć. Dziesiątą miała być Inga Bittner, ale zakochałem się i postanowiłem się wycofać.

– Dlatego sfingował pan swoją śmierć?

– Zgadza się. Znalazłem mężczyznę podobnego do mnie. Bezdomnego. Bez rodziny. Żeby nikt go nie szukał...

– To udało nam się ustalić, ale nie znamy jego tożsamości. Jak nazywał się ten człowiek?



– Joachim Pradelok. Tylko tyle o nim wiem – odparł Salzmann. – Nie mogłem inaczej. Żeby już więcej nie wysyłać żadnej dziewczyny na pewną śmierć, musiałem zniknąć raz na zawsze.

– I zabił pan człowieka – stwierdził stanowczo Adolf, gasząc papierosa w przyniesionej przez kelnera popielniczce.

– Tak, ale miałem pewność, że to będzie ostatnia śmierć, że w ten sposób uwolnię się od tamtych ludzi i już nikogo więcej nie skrzywdzę. Dzięki dalekiej rodzinie zdobyłem brytyjskie obywatelstwo i przyjechałem tutaj. Marzyłem, aby z Ingą ułożyć sobie życie.

– I to pana zgubiło – powiedział radca. – Pocieszeniem dla pana może być wiadomość, że Inga nie zdradziła. Nawet kradła dla pana. Miała do wyboru współpracę z policją albo wieloletnie więzienie za czyn, którego nie popełniła. Zdecydowała się współpracować i pomogła nam pana odnaleźć. Dobrze pan wie, że nie mogę pana aresztować, mogą to zrobić tylko Anglicy. Ale przynajmniej poznałem kulisy tej sprawy. Zaręczam, że nie spocznę, dopóki ludzie, którzy pana wynajęli, nie odpowiedzą za swoje czyny.

Salzmann wykrzywił twarz w grymasie strachu pomieszanego ze zdziwieniem.

– Za nic w świecie nie dam się aresztować – oznajmił z irytacją w głosie.

Adolf wstał z krzesła. Położył na stole pieniądze, uchylił kapelusz i wyszedł. Restaurator pozostał na miejscu, jakby był sparaliżowany. „Mogą to zrobić tylko Anglicy” – pomyślał wystraszony. Najbardziej na świecie bał się więzienia.

Radca skierował się wprost do portu. Mocna herbata uspokoiła nieco jego nadwerżony żołądek. Teraz myślał o tym, żeby jak najszybciej dostać się z powrotem na statek i wrócić do Europy. W Hajfie dowiedział się jednej rzeczy: ci, którzy

próbowali go zabić, to policjanci – i to była najważniejsza informacja, po którą warto było wyprawić się na drugi koniec świata. Zresztą to brudne i zatłoczone miasto wywarło na nim przygnębiające wrażenie. Nie rozumiał Salzmann. Za nic w świecie by się tu nie przeniósł. Tęsknił za gęstym powietrzem Górnego Śląska, za dymami z kopalń i hut, za Lipinami, a nade wszystko za rodziną.

W porcie okazało się, że statek do Triestu wypływa za dwie godziny. Szczęśliwy, choć nieco zdenerwowany perspektywą ponownego wejścia na pokład, Jendrysek opłacił kajutę z łazienką.

– Obowiązkowo – podkreślił, płacąc za bilet.

Czas do wejścia na pokład postanowił spędzić w najbliższej kawiarni, zamawiając następną szklankę mocnej czarnej herbaty. Na godzinę przed wypłynięciem dołączył do kolejki oczekującej u wejścia na pokład. W drodze powrotnej choroba morska już mu tak bardzo nie dokuczała. Porządnie zgłodniał, ale obawiał się, że jeśli coś zje, znów wyląduje w toalecie. Żeby zapomnieć o głodzie, trzymał się daleko od restauracji i spacerował po pokładzie. Nagle poczuł, że słabnie. Zszedł do kajuty, zamknął drzwi i zasnął.

Obudziło go głośnie pukanie do drzwi.

– Niebawem wpływamy do portu w Trieście – brzmiał głos za drzwiami.

W nocy statek wpłynął do portu. Radca wychodził na ląd poganiany przez hałaśliwe towarzystwo angielskich turystów. Światła latarni morskiej odbijały się w spokojnej wodzie. Przyjemny chłód delikatnie muskał twarz. Nawet nieznośny zapach ryb nie dokuczał tak bardzo jak za dnia. Niewielkie grupki spacerowiczów przechadzały się po mieście, odwiedzając okoliczne lokale w poszukiwaniu wolnych stolików. Radca z portu skierował się wprost na dworzec

kolejowy, marząc o specjałach serwowanych w wagonie restauracyjnym. Tym razem wybrał pociąg do Wiednia, który zgodnie z rozkładem miał dotrzeć na miejsce za pięć godzin. Na dworcu udało się Adolfowi kupić gazetę wydawaną po niemiecku. W Trieście na każdym kroku nadal było widać silne austriackie wpływy.

Kiedy zajął miejsce w wagonie restauracyjnym, zamówił chrupkie pieczywo z serem i kufel piwa. Zrobił pierwszy łyk i przypomniał sobie, że po rozwiązaniu sprawy umówił się z Melcerem i Tomallą na zasłużone piwo. Przeglądanie gazety zaczął od wiadomości sportowych. Podczas mistrzostw w Londynie Niemka Ruth Engelhard ustanowiła rekord świata w biegu przez płotki na osiemdziesiąt metrów. Głównym tematem wydania było referendum w Niemczech, w którym dziewięćdziesiąt procent obywateli uznało objęcie przez Adolfa Hitlera stanowiska führera. Jendrysek zastanawiał się, czy rządy silnej ręki aby nie wyjdą Niemcom na złe. „Cesarz, führer – jeden pierōn”. Nie spodziewał się wojny. Większość pamiętała ostatnią wielką rzeź Europy. Chyba nie było rodziny, która nie straciłaby kogoś bliskiego. Kiedy popijając piwo, przewracał kartki, jego uwagę przyciągnął tytuł: „Zamach bombowy w Hajfie”. Radca zaczął czytać. W lakonicznej, pewnie przesłanej telegrafem informacji, anonimowy korespondent donosił o niespodziewanym wybuchu bomby w najruchliwszej części miasta niedaleko portu. Stojące na linii eksplozji budynki zniknęły z powierzchni ziemi. Gazeta informowała o wielu zabitych, rannych i zaginionych. Adolf zbytnio się nie zdziwił, kiedy wśród tych ostatnich znalazł nazwisko Salzman.



## Posłowie

Książka to produkt, który wymaga pracy wielu ludzi, nie tylko autora. Dlatego czas na podziękowania, które kieruję do mojego wydawcy Pejtra Długosza, redaktora Bartłumjeja Wanota i autora okładki Rafała Szmy.

Niezwykle ważne są też osoby, które uczestniczą w procesie powstawania książki i służą autorowi dobrymi radami, cennymi uwagami, a przede wszystkim motywują do pracy. Stąd chciałabym podziękować specjalście od historii Świętochłowic – Marianowi Piegzie – za cenne merytoryczne uwagi, mojej przyjaciółce Annie Dziadzio za motywowanie do pracy i za godziny spędzone przy telefonie, mojemu mężowi Jarkowi Kassnerowi za cierpliwe czytanie i celne spostrzeżenia, Janowi Kołodziejowi za mnóstwo informacji dotyczących przedwojennych środków transportu oraz Marcinowi Melonowi za to, że znalazł czas na czytanie mojej książki.

Dziękuję również Halinie Biedzie – dyrektor Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach – za użyczenie na okładkę pocztówki przedstawiającej budynek restauracji U Mally'ego.

Monika Kassner  
Świętochłowice, listopad 2018 r.





